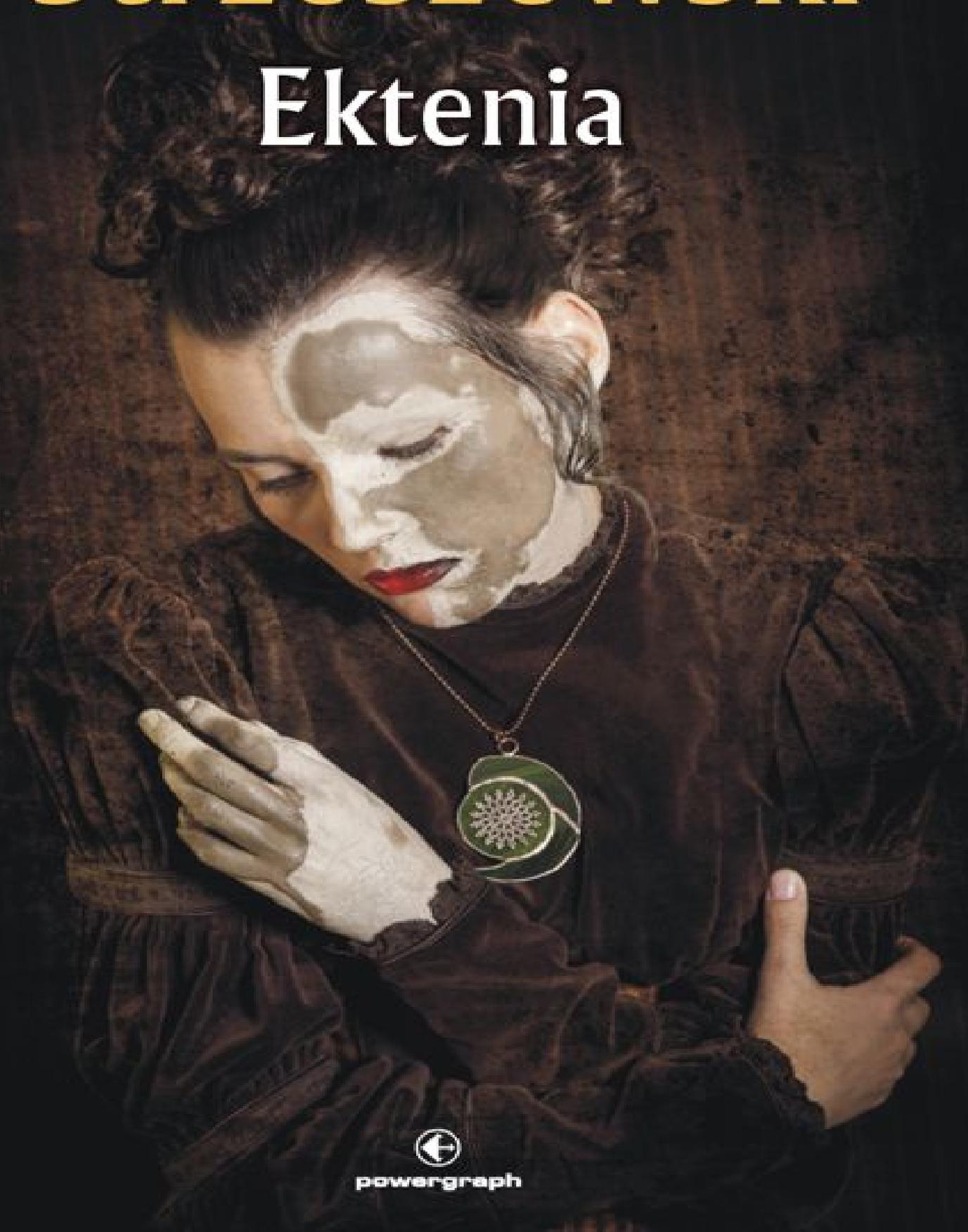


Emil Strzeszewski

Ektenia



powergraph

Ektenia

Emil Strzeszewski



powergraph

Warszawa 2013

Emil Strzeszewski
Ektenia
ISBN: 978-83-64384-05-9

Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2
01-803 Warszawa
tel. 22 834 18 25
e-mail: powergraph@powergraph.pl
www.powergraph.pl

COPYRIGHT © 2013 by Emil Strzeszewski
COPYRIGHT © 2013 by Powergraph
COPYRIGHT © 2013 for the cover by Rafał Kosik
COPYRIGHT © 2013 for the illustration by AlterSteam

PROJEKT GRAFICZNY: Rafał Kosik
ILUSTRACJE: fotografia i fotomanipulacja Nivelis, modelka Magdalena Mysłowska, wizaż Ewa Szcześniak
REDAKCJA: Kasia Sienkiewicz-Kosik
KOREKTA: Maria Aleksandrow

Wyłączna dystrybucja:



Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00 / 11

|| Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Spis treści

[Widmo przyszłości](#)

[Gliniany golem](#)

[Karna kolej](#)

[Tarot dla ułomnych](#)

Rozdział I

Widmo przyszłości

Noc przyniosła upragniony chłód oraz ciało na podłodze mieszkania przy Berlinerstrasse 10. Krew na dywanie i nożu była jeszcze ciepła, a w ponurym świetle okopconej lampki naftowej posoka zdawała się parować. Otwarte oczy martwego zakonnika patrzyły bez wyrazu na oblicze mordercy.

Wacław Sarment zapiął kamizelkę w tureckie wzory. Właśnie docierało do niego, co zrobił, choć planował to przecież od dłuższego czasu. Aż do ostatniej chwili miał jednak nadzieję, że sprawy ułożą się inaczej, przyszedł wszak się tylko rozmówić. Zaproponować korzystne warunki odstąpienia od interesu. Mógł zapłacić, miał pieniądze. Przywiózł je z rodzinnego Krakowa, starczyłoby na wykupienie połowy Allenstein. Dostać niezłą sumkę tylko za to, żeby czegoś nie kupić? Któż by się nie skusił?

Paul Hodmann jednak nie przystał na to. Ani myślał o odstąpieniu. Nie zadziałała żadna prośba. Zakonnik nie bał się też gróźb. Nie wiedział, że powinien.

— Nic z tego. Zabieraj siebie i swoje pieniądze z mojego domu — powiedział z kpiącym uśmieszkiem. Patrzył na Sarmentę pełnym pogardy wzrokiem. To było jeszcze do zniesienia. Czarę goryczy przelała odrobina współczucia, którą mężczyzna wypatrzył w spojrzeniu Hodmanna.

Sarment nie mógł znieść współczucia.

Wyjął więc nóż i jednym płynnym, zamaszystym ruchem przeciął Prusakowi gardło. Ostrze aż zazgrzytało o kręgi szyjne. Choć zakonnik umarł w okamgnieniu, kabalista kroił go dalej, patrząc w martwe oczy – sprawdzał, czy prysło z nich pożałowanie.

Już po wszystkim ucieszył się, że zawczasu zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Nadal była czysta, mógł więc ukryć pod nią plamy krwi na koszuli i kamizeli. Z twarzy oraz rąk zmyć resztę, a potem wyjść, po czym wrócić tu. Z samochodem, prototypem wytworzonym w stadninie parowej niejakiego Kanta z Königsbergu, który niegdyś parał się filozofią, ale na stare lata zamarzył o byciu wynalazcą. W gruncie rzeczy Sarment nie wiedział, dlaczego od razu nie przyjechał swym czarnym pojazdem. Może chciał uniknąć popełnienia jakiegoś głupstwa? W głębi duszy łudził się, że nie jest zdolny do morderstwa, ale jeśli przyjechałby swym wehikułem o pojemnym bagażniku, jedyne, co zaprzętałoby jego myśli, to jak najszybsze załatwienie sprawy. Ostateczne.

A jednak doszło do zbrodni. I Sarment, sam nie wiedząc czemu, cieszył się, że to już za nim. Może wreszcie ruszyć dalej, może przyjąć na swe barki każdy ciężar. Prawie nic już mu bowiem nie stało na przeszkodzie. Plan miał się dopełnić, cel zrealizować, a to było warte nawet i zabójstwa.

Wreszcie ujrzy twarz Boga.

Opłukał się ciepłą wodą, przelotnie zerknął na „Allensteiner Zeitung” leżący na konsoli w hallu. Dla pewności wziął gazetę, aby sprawiać wrażenie zwykłego spacerowicza, i wyszedł. Przemierzanie miasta nocą z gazetą pod pachą nie miało wielkiego sensu, uznał jednak, że potrzebuje czegoś, co pozwoli mu zapomnieć o ostatnich wydarzeniach. Nie sądził, że wyda się przechodniom podejrzany, ale nigdy nic nie wiadomo. Gdyby ktoś próbował go zaczepiać, pokaże gazetę i najzwyczajniej w świecie, łamanym niemieckim z polskim akcentem, spyta, jak dojść do Kortau, do szpitala dla ułomnych i obłąkanych, o którym pisano na pierwszej stronie. Tym odwróci

uwagę – po prostu udając, że nie zna języka i jest przejazdem, z wizytą u pacjenta.

Układanie odpowiednio koślawych i nienaturalnych słów pozwalało mu nie roztrząsać sprawy Paula Hodmanna. Ciało zakonnika jednak wciąż majaczyło mu się pod powiekami. Widział już wielu martwych, ale nigdy wcześniej sam nie przyczynił się do czyjejś śmierci.

Bóg kazał Abrahamowi zabić syna. Nieistotne, że zatrzymał w końcu jego rękę. Ważne, że wydał rozkaz. Gdyby chciał, powstrzymałby i jego dłoń.

Powietrze orzeźwiło nieco Sarmenta. Pozwoliło przetrwać pierwszy paralizujący szok i ułatwiało myślenie. Szeptem wymieniał sprawy, którymi powinien się zająć. Po pierwsze zwłoki – zapakować do odpowiednio dużego worka, a potem niepostrzeżenie znieść do samochodu. Było to trudne, ale – pod osłoną mroku – nie niemożliwe. Wracając, musi więc stłuc latarnię. Łatwiej byłoby przenieść poćwiartowane ciało, ale potrzebował je w jednym kawałku. Po drugie – poszukać papierów. Zakonnik, jako człowiek lubiący porządek, gdzieś zapewne trzymał swoje formuły, całą dokumentację. Wacław tak właśnie by zrobił, a Paul był bardzo podobny do niego. Łączyła ich ta sama pasja. Czy też – ta sama obsesja.

A formuła, której obaj szukali, była bezcenna. Ten, kto żądał za nią pieniędzy, był głupcem największym z możliwych. Analizując wszystko na chłodno, Sarment pojął wreszcie, że od początku oszukiwał sam siebie.

Tak, znalazł się w tym domu, by zabić.

A teraz szedł przez noc, starając się nie rozglądać. Na szczęście do wynajmowanej przez Sarmenta kamienicy nie było daleko. Bezpośrednie sąsiedztwo puszczy zapewniało prywatność niezbędną do eksperymentów. Na dodatek większość mieszkańców miasta nie zapuszczała się w te rejony. Szpital psychiatryczny w Kortau nie był ulubionym celem ich spacerów.

Na niebie kilka gwiazd przebijało się przez chmury. Wilgoć w powietrzu – pozostałość po dusznym dniu – osiadała na wąsach i dłoniach, cudownie orzeźwiająco. Pomyślał, że zanoszą się na deszcz.

— Fenomenalnie — wyszeptał. — Fenomenalnie...

Gdy otwierał drzwi swojego pojazdu, spadły pierwsze krople. Wacław uśmiechnął się.

* * *

Mistrz policji śledczej siedział na widowni. Był człowiekiem w podeszłym wieku, o wiele starszym od niezbyt młodego Sarmenta. Brodę strzygł na wzór austriackiego *Kaisera*, a była ona równie siwa, jak u owego monarchy. Na nienagannym mundurze-habicie nie nosił orderów – zgodnie ze starym zwyczajem zakonników, którzy za czasów młodości Gerharda von Gertha nie potrzebowali podkreślać swoich dokonań byle błyskotkami. Ubierali się skromnie, a blizny na ich twarzach mówiły więcej niż medale.

Obok niego spoczął wierny jak pies, do psa zresztą podobny, Andres Biedemayer – o wiele młodszy niż jego przełożony, według plotek równie bystry i tak samo bezlitosny. Głowę pochylał tylko przed swoim oficerem oraz przed Wielkim Mistrzem, a zarazem cesarzem Hohenzollernem.

Dwóch twardych ludzi żywo zainteresowanych wykładem kabalisty. Odczyt dotyczył niuansów sztuki golemicznej, w którą notabene nie wierzył nikt z Towarzystwa Ezoterycznego. Sarment dostrzegł, że – paradoksalnie – do tematu o wiele przychylniej nastawieni byli policmajstrzy niż jego koledzy i koleżanki po fachu.

I musiał to przyznać – podziwiał ich. Nie wiedział, czy wpadli już na właściwy trop, minęła wszak zaledwie doba od zniknięcia Hodmanna i z pewnością nikt jeszcze nie wiedział, co tak naprawdę się zdarzyło, ale służby już węszyły. Słyszał, jak skuteczna jest tutejsza policja zakonna, lecz

nie spodziewał się, że zwykle przecucie (bo przecież cóż więcej?) tak szybko zaprowadzi detektywów do niego.

— Wśród moich, nazwijmy to, pacynek — kontynuował swój odczyt jak gdyby nigdy nic — wśród więc moich pacynek odnaleźć można częściowe potwierdzenie teorii, jakoby stworzenie golema z ciała było możliwe. Spójrzcie, proszę, szanowne audytorium, na ów pokaz kinograficzny.

Sarment nacisnął przycisk, który od początku wykładu dzierżył w dłoni. Mały wskaźnik połączony parą miedzianych przewodów z resztą maszyny włączył spore pudło z wyświetlaczem. Wewnętrzne sprężyny, uwolnione z haczyka, rozprężyły się i zaczęły wirować, przesuwając taśmę z fotografiami dymnymi tak szybko, że zgromadzonym wydawało się, iż obraz na białej płachcie się porusza. Cudowne złudzenie optyczne. Najnowszy wynalazek z Małopolski, autorstwa braci Lumierskich.

Pierwsza scena kinografu ukazywała polskich lekarzy amputujących mały palec u stopy pacjentowi w początkowym stadium gangreny. Sarment, uprzedzając pytania, poinformował słuchaczy, że mężczyzna ten zgodził się na udział w eksperymencie i przeznaczył część swojego ciała na cele naukowe. Oczywiście za niewygórowaną sumkę.

Potem pojawił się obraz zabiegów nad palcem – wypisywanie kabalistycznych inskrypcji na zasuszonej skórze i oblepianie go gliną. Wacław ponownie nacisnął wskaźnik i obraz zastygł.

— Winien jestem szanownemu gronu pewne objaśnienia dotyczące natury tych zjawisk. Otóż glina, jak wiadomo, posiada naturalne właściwości zmiany kształtu. W odpowiednich warunkach laboratoryjnych można skłonić ją do przybrania większości konfiguracji, o czym wiedzą zresztą artyści parający się rzeźbiarstwem. Opracowali oni jednak krótkotrwały proces, po którym raz utwardzona glina utrzymuje ów stan. W nauce ezogolemicznej chodzi jednak o to, aby rzeczy pozostały plastyczne, aby mogły kształtować się stale, będąc jednocześnie zwartymi.

Nieco ubogie jest tu porównanie do wody, która może przybierać dowolne kształty, bo woda nie potrafi sama żadnego kształtu utrzymać, jeśli nic jej nie ogranicza. Jeżeli wlejemy ją do szklanki, wypełni ją. Ale już rozlana na stole, będzie się chaotycznie rozprzestrzeniać przyciągana siłą grawitacji. Naturalnym kształtem wody, jeżeli można to tak nazwać, jest kropla, będąca jedyną formą nieograniczaną przez żadne siły zewnętrzne. Nasza glina, którą uformujemy w kształt miniaturowej dłoni, musi być na tyle twarda, aby zawsze tą dłonią pozostała, a zarazem na tyle plastyczna, aby poruszać palcami. Powinna więc być trochę jak woda, trzeba bowiem móc nią manipulować dowolnie, ale musi również być zupełnie inna, bo koniecznością jest trzymać dany stan w formie zadowalającej użytkownika, czyli krótko mówiąc mnie bądź pana w pierwszym rzędzie, w pięknym tupeciku.

Przez salę przetoczył się pomruk rozbawienia.

— Tego nie sposób dokonać! — krzyknął ktoś.

— Owszem — odpowiedział prelegent. — Przy zastosowaniu konwencjonalnych środków – nie. Ale wtedy z pomocą przychodzi ezoteryka. Jak wiadomo, każdy pierwiastek składa się z tak zwanego tchnienia Boga, czyli Słowa...

— Sarment! My to wszystko wiemy, ale nikt nie znalazł jeszcze namacalnych dowodów na wykrycie owego Słowa. To mit! — zawtórował kolejny głos z zaciemnionej sali.

— To nie jest prawda — odparł Polak. — Używamy imion Boga w medycynie chociażby. Pierwszy przykład, by daleko nie szukać, to respirator.

— To kontrowersyjna teoria, musisz przyznać, drogi kolego!

— Nie sędzę. Sztuczne płuco wykorzystuje ezoteryczne znaki, by wywołać u pacjenta odruch samoistnego oddychania. Przecież widzieliście panowie prototyp, pokazywany był w Allenstein nie dalej niż pół roku

temu. To żelazna komora uszczelniana wokół szyi pacjenta. Przypomnijcie sobie, głowa przecież znajduje się poza urządzeniem. A człowiek oddycha za pomocą nosa oraz ust. Sztuczne płuco nie podaje mu żadnych gazów oddechowych, zamiast tego, przy udziale wywołanego ezoterycznie podciśnienia, powoduje unoszenie się i opadanie klatki piersiowej chorego, ulokowanego tą częścią ciała wewnątrz urządzenia. I czyni to bez wspomagania zewnętrznego. Oznacza to, że potrafi zmieniać warunki rozciągłości samego siebie, a przez to również ludzkiego ciała, które w nim spoczywa. Nie może czynić tego mechanicznie, nie ma źródła zasilania. Dopiero zwiastowane Słowo je napędza, a ono pochodzi z siły Boga. Dziwnym jest, abym to ja, Żyd, musiał wam przypominać wartość tegoż. Doktor Luter jasno postawił sprawę, jaką moc ma Słowo.

— To dowód przez domniemanie i nie gadaj nam tu o *solum verbum*. Tak naprawdę nikt nie wie, na czym polega fenomen respiratora.

— Na dodatkowe potwierdzenie wspomnę tylko, że kolejny model sztucznego płuca, bez wspomagania ezoterycznych napisów na obudowie, nie spełnił swojej roli i nie oddychał za pacjenta.

— Dobrze, ale to nie zmienia tego, że glina nie jest sztucznym płucem. Te wykonane było z uświęconego żelaza. No i przecież ludzkie ciało, jeśli zmartwiało, nie może zostać ezoterycznie ożywione. Przeczy temu tradycja kabalistyczna.

— I na te właśnie wątpliwości odpowiada dalsza część naszego wizjopokazu.

Sarment kolejny raz uruchomił kinograf, a zgromadzeni ucichli. Dało się wyczuć irytację i przekorną chęć niewiary w jego odkrycia. Trudno ludziom zanurzonym w starych przyzwyczajeniach bez sprzeciwu przyjąć nowy porządek. Waclaw nie winił ich za to. Byli ślepi i nie mogli dostrzec zalet jego dokonań. Dobrze odnajdywali się w zaszłych teoriach. Jego tezy były zbyt nowe, zbyt radykalne, zbyt buńczuczne. Nawet jeśli prawdziwe.

A wiedział, że takie właśnie są.

Na płachcie pojawił się obraz wycinania inskrypcji w glinie oraz skórze.

— To imię Boga, tak jak nakazuje tradycja — wyjaśnił.

— Chyba legenda — zakpił ktoś.

— Widzą państwo, że trzeba nie tylko wyryć znak w glinie, ale także w ciele. Tnie się głęboko.

Przez salę przeszedł pomruk zdziwienia.

— Palec drgnął — stwierdził kabalista z dumą, oczekując dalszej reakcji.

Obecni spojrzeli po sobie, a potem, jak jeden mąż, wstali z miejsc. Krzesła zaszurały o podłogę, rozległ się trzepot zakładanych płaszczy.

— To jakaś kpina! — krzyknął jeden z widzów.

— Sfabrykował pan to wszystko — dodał drugi. — Jak martwy palec mógł się poruszać pod wpływem nacięć? A nawet jeśli poruszył się pod nożem, to cóż z tego? Kończyny żaby też się ruszają, jeśli odpowiednio nacisnąć mięśnie.

— Pan zapomina, że to była tkanka z gangreną! Martwa! — Sarment począł się tłumaczyć, ale gość tylko machnął ręką.

Ludzie pchali się do wyjścia. Kabalista, równie zły i zniesmaczony jak jego publika, nie mówił już nic, wyłączył projektor i rzucił wskaźnik na stół. Odwrócił się do okna i spojrzał na ulicę oświetloną jasnymi promieniami słonecznego dnia. Było ciepło, choć w powietrzu wyczuwało się nadchodzącą zimę. Liście powoli opadały na chodnik, tworząc złoto-brązowe dywany.

Gdy drzwi wreszcie zamknęły się z hukiem, odwrócił się. Spostrzegł, że von Gerth i Biedemayer dalej siedzą na sali.

— Panowie, proszę mi wybaczyć, ale dalszej prezentacji nie będzie. Bardzo przepraszam.

— To my przepraszamy, drogi panie — odezwał się starzec tubalnym głosem. — Publiczność w Allenstein bywa strasznie zmanierowana. W tutejszym teatrze widywałem podobne sceny. Prawdziwy brak kultury. Za mojej młodości przerywać artystom było nie do pomyślenia.

— Nie jestem artystą, lecz uczonym.

— Czyż uczony nie jest artystą na swój sposób?

Von Gerth powstał, a za nim jego podkomendny. Podeszli bliżej.

— Szkoda, że nie zamierza pan kontynuować — zagaił ponownie Mistrz policji. — Tak się składa, że akurat nas ciekawi ten temat i nie uważamy pana za hochsztaplera.

— Och — zdołał wydusić z siebie Sarment.

Zakonnik uniósł kącik ust w oszczędnym uśmiechu i dodał:

— Zagadnienie, muszę przyznać, jest niezwykle interesujące, a pańskie metody nowatorskie. Być może nie uwierzy pan, ale mamy w mieście podobnej pasji naukowca. Paul Hodmann jego godność.

Kabalista przysunął trzy krzesła i zaprosił gestem.

— Obawiam się, że nie znam. Mówi pan, że prace pana Hodmanna są podobne do moich?

— Z pewnością istnieją podobieństwa. Nasz brat parał się tą samą dyscypliną co pan, a na dodatek znam trochę jego teorie, gdyż niedawno składał raport ze swych postępów przed kapitułą zakonną. Nie wiem, czy jego próby były tak zaawansowane, jak te prezentowane tutaj, przyjmował natomiast ten sam punkt widzenia.

— Niezwykłe, że dwóch ludzi nie znając się, a więc niezależnie od siebie, wpada na bliźniacze pomysły. Tym bardziej żałuję, że nie miałem przyjemności poznać brata Hodmanna. Być może stworzylibyśmy zgrany zespół.

Starzec zaśmiał się krótko.

— Barwnie powiedziane! Ale do rzeczy, przyszliśmy tu dlatego, że w dniu wczorajszym Paul Hodmann zaginął.

Sarment przełknął ślinę.

— Doprawdy? Może udał się gdzieś, a panowie po prostu o tym nie wiedzą?

— Nasz brat nigdzie nie ruszyłby się bez zameldowania o tym zawczasu. To był wyjątkowo zorganizowany człowiek, o chłodnym podejściu do spraw, pomijając oczywiście jego zamiłowanie do sztuki kabalistycznej.

— Mistrz wybaczy pytanie, to straszna tragedia, ale czy nie lepiej więc go poszukać?

Tym razem von Gerth ryknął śmiechem. W rytmie głośnego rechotu stukał dłonią o kolano. Biedemayer, dotychczas milczący i poważny, ani na moment nie zmienił wyrazu twarzy.

— Ależ my szukamy, naprawdę! Choć mogłoby się wydawać, że przybyliśmy dla przyjemności, jesteśmy tu służbowo. Trzeba jednak przyznać, że poza niezręczną sytuacją z opuszczeniem sali przez tych prostaków, bawiliśmy się przednio. Pan umie wykładać ciekawie.

— Dziękuję uprzejmie — odparł Waław.

— Bardzo proszę, to ja dziękuję za wyśmienicie spędzony czas.

— Dalej jednak nie pojmuję, jaki związek ze sprawą ma obecność panów na moim wystąpieniu?

— Och, przyszliśmy się dowiedzieć, czy nie miał pan do czynienia z Mistrzem Hodmannem z racji podobieństwa prowadzonych badań, mogli się panowie znać na stopie zawodowej. Musieliśmy sprawdzić, czy nie ma pan informacji na temat aktualnego pobytu zaginionego, no ale już raczył pan rozwiać nasze wątpliwości.

Kabalista pokiwał głową ze zrozumieniem.

— No tak, trzeba sprawdzić wszystkie źródła, zanim napije się zdrowej wody.

— Lepiej bym tego nie ujął.

— Cóż, pojmuję więc, że panowie będą teraz zajęci poszukiwaniami. Choć pragnąłbym tak doskonałemu gronu zdradzić coś więcej z moich postępów nad tworzeniem golema, wiem, że wzywa panów pałacy obowiązek.

— Przykro nam, że spotkaliśmy się w tak nieprzyjemnych okolicznościach. To był zaszczyt pana poznać.

Wstali, podając sobie dłonie na pożegnanie.

— Niech pana Bóg prowadzi, doktorze Sarment.

— Panów również. W wolnej chwili zapraszam do siebie na pogawędkę.

— A gdzie pan zamieszkuje? — odezwał się po raz pierwszy Biedemayer. Konkretne, krótkie, prawdziwie policyjne pytanie. Towarzyszące mu przenikliwe spojrzenie, wprost w oczy Waclawa, rozbudziło jego niepokój.

— Na Berlinerstrasse. Kierunek Kortau.

— Domki przy tej medycznej placówce?

— Tak właśnie.

— Zatem do zobaczenia. Do rychłego! — dodał von Gerth, uśmiechając się.

— Do rychłego.

* * *

W izbie panował chłód, co uśmierzało w jakimś stopniu alergiczne dolegliwości Waclawa. Szczelnie zamknięte okna, zaciągnięte zasłony, a mimo to pyłki bogatej roślinności puszczy w sobie tylko znany sposób

wdzierały się do środka, rozpalając oczy mężczyzny i wywołując katar sienny. Zimno pomagało – zmniejszało gorączkę, jaka dopadała Sarmenta w dni takie jak ten.

Z chusteczką przy twarzy siedział pochylony nad solidnym dębowym stołem. Zmęczonymi oczyma wpatrywał się w papiery Hodmanna. A zabrał ich sporo, przykryły całą tylną kanapę samochodu. Bagażnik był bowiem zajęty przez trupa.

Pod osłoną nocy Sarment wywiózł ciało zakonnika w gęste lasy. Kierował się na Neindenberg. Była to uczęszczana trasa, kabalista skręcił więc, wjeżdżając głębiej w dzikie ostępy. Zatrzymał się dopiero nad jeziorem. Obciążył poćwiartowane zwłoki kamieniami, załadował do łódki i wypłynął jak najdalej od brzegu. Dopiero wtedy poczuł, co się naprawdę stało. Spojrzał na ogromny księżyc, doskonale widoczny na bezchmurnym niebie. Chciał zapłakać, choćby dla przyzwoitości, ale jedyne, na co potrafił się zdobyć, to chwila zadumy w ciszy rozkołysanej przez fale.

A teraz w wynajętym pokoju studiował zapiski zakonnika, licząc, że znajdzie w nich formułę oraz inne przydatne informacje.

Nerwowo kartkował skradzione notatki. Hodmann był uporządkowany aż do przesady. Zapisywał wszystkie pomysły, jakie przyszły mu do głowy, charakteryzując je według prawdopodobieństwa, elegancji czy też ekonomii myślenia. Na dodatek uzupełniał je bogatymi przypisami oraz uwagami na marginesie. Czasem grupował idee ze sobą, starając się je łączyć, tworząc modele przypominające pajęczynę powiązań. Odsyłał do literatury specjalistycznej, do podań, do manuskryptów, do legend. Wreszcie powoływał się na pozornie niezwiązane z tematem badania innych naukowców. Gdyby nie to, że każdy paragraf kończył odwołaniem do wielkości Stwórcy, można byłoby zapomnieć o jego stanie kapłańskim.

Sarmenta dziwiło, że pomimo tak metodycznego podejścia do studiów, Hodmann nie wyobrażał sobie, co można osiągnąć, tworząc golema. Jakby

opętała go jedynie wizja stworzenia na pół glinianego, na pół cielesnego sługi.

Odłożył rękopisy, sięgnął do prywatnych zapisków. Kusily go od początku. Liczył oczywiście, że w pamiętniku jego ofiara zawarła dokładniejsze wskazówki co do charakteru formuły oraz o miejscu, gdzie się ona znajduje. Zżerała go również ciekawość, jakim człowiekiem był ten, którego zabił.

„Droga Loro!” – przeczytał na luźnej kartce, która wypadła ze środka. – „Według przyjętych zwyczajów powinienem się teraz przywitać i napisać kilka zdań wyrażających moją tęsknotę i potrzebę bycia przy Tobie, jednak skręca mnie pragnienie jak najszybszego podzielenia się z Tobą nowostkami, jakie zajmują mnie od przeszło kilku miesięcy. Proszę, wybac mi więc tak jawne kpiny z konwenansów, wierzę jednakowoż, iż nasza znajomość jest na tyle zażyła, że raczysz nie winić mnie za moją zapalczywość. Znasz mnie przecież wcale dobrze i wiesz, co ze mnie za człowiek. Gorąca krew, pomimo pozornego chłodu kapłańskiego żywota...”

Lora... Sarment zastanowił się. Kim była? Znajomą, to pewne, jak jednak bliską? Przyjaciółką? Kochanką? Członkowie Wielkiego Zakonu mogli zawierać małżeństwa i wcale nie kryli się ze swoimi żądzami cielesnymi, w samym Allenstein Waclaw widział dwa domy publiczne. Nie zdziwiłoby go więc, gdyby Lora była nałożnicą, czerpiącą zyski ze starego Hodmanna.

„Jak już wspomniałem, spędziłem wiele miesięcy na zgłębianiu tematu, aczkolwiek dopiero teraz potrafię dostrzec właściwy cel. To sprawia, że chce mi się co rano wstawać, i to pomimo krótkiego nocnego odpoczynku, śpię bowiem zaledwie po dwie godziny. Nie takiego mnie pamiętasz, bo przecież mało co może spędzić sen z mych powiek.

Nie wiem, czy odnajdujesz w swojej pamięci nasze rozmowy na temat kabały golemicznej? Byłaś zafrapowana tą kwestią i namawiałaś mnie,

abym dowiedział się czegoś w tej materii. Krótki to był jednak afekt w Twoim przypadku, ja natomiast sięgnąłem po stare podania z Chełmna i wpadłem niczym złota moneta na dno studni. Wydaje mi się, że po okresie przygotowawczym, przeznaczonym na zdobycie środków badawczych i skompletowanie instrumentarium, zdołałem odtworzyć reakcję tworzenia golema.

Po pomoc zwróciłem się do Towarzystwa Ezoterycznego w Allenstein, ukrywając jednakowoż, iż się znamy. Napisałem także do Berlina. Nikt jednak nie chciał mi pomóc, spotkałem się jedynie z szyderczymi uśmieszkami i kpiącymi uwagami od ludzi, o których nie sądziłem, iż są zdolni do takich zachowań. Bóg niech raczy im wybaczyć. Jeżeli będzie chciał słuchać, oczywiście. Zainteresowanie zaś wyraził, ku mojemu zdziwieniu, sam nasz Zakon. Zaofiarowali się utrzymywać moje badania. Pomyślałabyś? To kolejny dowód na to, jak bardzo otwarte umysły znajdują się pośród nas, wydawałoby się, po norymberskim wystąpieniu doktora Lutra, zamkniętych na świat innych doktryn. Pozory mylą, czyż nie mówiłem Ci tego? Bóg ukochał sobie wielobarwność. Wraz z innymi braćmi wierzymy, iż nie będzie miał nic przeciwko, abyśmy poznali Jego dzieło stworzenia od nowej strony. Przyczyni się to do Jego lepszego zrozumienia. Od czasów wieży Babel zdołaliśmy się chyba nauczyć odpowiedniej pokory...”.

Odłożył list, zadumany. Zrozumiał już, dlaczego tak szybko przyszły do niego służby policyjne. Hodmann pracował na zlecenie Zakonu. Jak widać, zdołał przekonać przełożonych o ważnym charakterze badań, a Zakon wyczuł, że w razie powodzenia przedsięwzięcia skorzysta na tym.

W każdym razie Sarment był niepocieszony. Znaczyło to bowiem, że będzie musiał się mieć na baczności.

Wziął kolejną kopertę i wyjął list:

„Najdroższa Hildo!” – Hildo? Zadumał się. – „Nawet nie wiesz, jak radosny wydaje mi się ten zimowy dzień! Rad wielce jestem, iż mogliśmy

się wczoraj zobaczyć. Chwała niech będzie Bogu i Jego pomocnikom tu na ziemi, którzy zorganizowali nam bezpieczne spotkanie. Pytałaś mnie już wczoraj i odparłem Ci, ale w liście powtórzę – o nic się nie martw. Nikt, oprócz naszej czwórki, nie wie o tej sytuacji i nigdy się nie dowie”.

Uśmiechnął się pod nosem. Przewrotny los. Bóg daje i odbiera, ofiarowując komuś innemu...

„Zastanawiałem się nad tym, coś mi powiedziała. Nie znałem tego traktatu, wątpię, aby ktokolwiek go znał. Oprócz Ciebie oczywiście i kilku innych wtajemniczonych. Tekst wygląda na autentyczny, przede wszystkim znać w nim rękę kogoś zaznajomionego z legendą z Chełmna. Brzmi on jednak nieprawdopodobnie, przyznać musisz. Choć biorąc pod uwagę to, co zdarzyło się potem, nie należy ignorować przestrogi...”.

Traktat? Przestroga? Waclaw oparł się wygodniej o krzesło.

„Nie chcesz mi wyznaczyć, kto go spisał, ale mówisz, że podyktowała go Wyrocznia? Zawsze uważałem, że to szarlatanstwo. Z tego powodu trudno przyjąć mi traktat jako prawdziwy, jako zakonnik jestem sceptyczny. Wyczulonym bardzo na herezje... Aczkolwiek nie mogę odegnąć od siebie tego, com przeczytał. Boję się i zacząłem się nawet zastanawiać, czy nie zaprzestać wysiłków? Wyrocznia powiedziała mi jednak, iż z pewnością nie użyję moich badań do tego celu. To mnie uspokaja. Dziwnym jest za to, że wierzę w te zapewnienia, choć istnienie samej Wyroczni podaję w wątpliwość... Mam taki mętlik w głowie... To COŚ wydaje się stać w sprzeczności z moją wiarą, wiem to, a jednak doń chodzę... W każdym razie rozumiem już, dlaczego Twój afekt do golemicznej kabały tak szybko znikł. Ty wierzysz. Ja nie, ale to nie znaczy, że mam zbagatelizować ostrzeżenie. Niemniej Zakon ani myśli zaprzestać działań. Gdy spojrzysz na sprawę z właściwej strony, można dostrzec same zalety – pomyśl o możliwościach medycznych! Nowe kończyny! Protezy! A może nawet i organy wewnętrzne!”.

Kichnął. Potarł zmęczone alergią oczy i wyjął kilka kolejnych listów.

Paul Hodmann pisał:

„Miła Inge!”.

Oraz:

„Wierna Vero!”.

Tudzież:

„Moja Samanto!”.

Dalsza treść dotyczyła albo postępów w pracy, albo wątpliwości zakonnika. Żadnych użytecznych informacji. Całość sprawiała jednak wrażenie, jakby pisana była do jednej, konkretnej osoby. Tylko dlaczego za każdym razem pojawia się inne imię?

Zastanowiło go coś jeszcze – po co Hodmann w ogóle pisał te listy, skoro najwidoczniej nigdy nie trafiły do adresata?

* * *

Pod wieczór Sarment usłyszał bicie kościelnych dzwonów, wyszedł więc na ulicę. Nie wybijały pełnej godziny ani nie wzywały na nabożeństwo. Krótko gościł w Allenstein, zdążył już jednak poznać zwyczaje tego miasta. Komandoria zamku i pobliska kaplica wzywały wiernych rankiem, w południe oraz nieco przed zachodem słońca. Teraz było za wcześnie na zgromadzenie wiernych.

Z Berlinerstrasse na Rynek prowadził go narastający gwar. W mijanych domach i kamienicach nie paliły się światła, a nieliczni przechodnie szli w tę samą stronę dowiedzieć się, co się dzieje.

Od samego mostu Jana Nepomucena ciągnął się tłum. Widział go doskonale z dołu – morze głów aż do samej Wysokiej Bramy wieńczącej mury obronne warowni od północy. Z wieży ktoś przemawiał, ale nic nie było słychać. Pełna napięcia, nerwowa atmosfera malowała niepokój na twarzach zgromadzonych.

— O co chodzi? — pytał jakiś mężczyzna o pospolitej twarzy.

— Kto tam mówi? — chciała się dowiedzieć gruba chłopka.

Wtórowali im inni, przepychali się, powodowani bezsensowną potrzebą znalezienia się choćby kilka metrów bliżej centrum wydarzeń.

Wtem piskliwy głos jakiegoś umorusanego chłopca w łachmanach przebił się przez hałas:

— Specjalne wydanie „Allensteiner Zeitung”! Specjalne wydanie „Allensteiner Zeitung”! Kupujcie specjalne wydanie „Allensteiner Zeitung”!

Tłum otoczył go w mgnieniu oka. Ktoś szturchnął Wacława pod żebra, inny nadepnął mu na stopę. Sarment odsunął się szybko. Schodami zszedł na Wysoką, położoną najniżej ze wszystkich ulic Rynku.

Gwar przycichł i słychać było szum rzeki przecinającej miasto. Na brzegu, obok kamienicy stała kobieta w skromnej, a nawet ubogiej sukni. Twarz nie była widoczna z oddali, jednak od postaci biły pewnością siebie i spokój, tak dziwny wobec powszechnego niepokoju.

Kabalista ukrył się we wnęce drzwi wejściowych kamienicy. To był dobry punkt obserwacyjny – widział wszystko, co działo się na brzegu, sam pozostając niewidoczny.

Wacław miał przecucie, a nie zwykł go bagatelizować. Jako naukowiec działał raczej roztropnie, wsłuchiwał się jednak w głos instynktu i pozwalał sobie czasem na improwizację. Miał otwarty umysł, a życie nauczyło go, by korzystać ze wszystkich zmysłów oraz możliwości.

Do kobiety podszedł mężczyzna, którego Sarment rozpoznał od razu. Ten butny krok i dym unoszący się z fajki – jeden z członków Towarzystwa Ezoterycznego. Wczoraj pojawił się na wykładzie, a dziś tutaj – stoi równie spokojny, co jego towarzysza.

Czy to kobieta, do której pisał Hodmann?

Z góry na Wysoką, paradoksalnie położoną niżej niż reszta ulic, podniósł się głośny jęk, jakieś dziecko zaczęło płakać. Potem następne,

a chwilę później do swoich pociech dołączyły przestraszone matki. Na moście Jana ludzie chwyтали się kurczowo barierek. Ktoś zasłabł.

Sarment otworzył usta, przeczuwając, że dzieje się coś dziwnego. Staruszki czyniły znak krzyża, jakiś elegancki jegomość zdjął kapelusz i wachlował nim swoją towarzyszkę, która osuwała się powoli ku ziemi. Kabalista zadrżał. Czuł, że udziela mu się panika.

Przypomniał sobie o parze stojącej nad brzegiem rzeki, odwrócił się, ale nikogo już tam nie było, nie dostrzegł żywej duszy.

Z mostu zbiegł mały, umorusany chłopiec. To był gazeciarz. Wyrwał się z tłumu, pod pachą wciąż ścisnął kilka egzemplarzy „Allensteiner Zeitung”.

— Mały, daj no jedną! — powiedział Sarment.

Dzieciak rzucił mu gazetę.

— Dwie marki się należą — odparł.

Wacław stał jak skamieniały. Milczał.

— Dwie marki!

Ale Sarment już nic nie słyszał. Zszokowany, wpatrywał się w pierwszą stronę.

— Dwie marki! — mówił chłopak.

„Wojna!” – krzyczał nagłówek.



Wojna!

W imię Boga, historii i sprawiedliwości w dniu dzisiejszym Najświętszy Zakon pod wezwaniem Doktora Lutra wypowiada wojnę w obronie granic księstwu narodowym Wschodniobałtów.

Czas tolerowania bandyckich napaści na suwerenność i niezawisłość Państwa naszego się skończył. Wiele grzechów przeciw swoim sąsiadom, chcącym wieść spokojne i pełne zrozumienia życie, popełniły barbarzyńskie plemiona Wschodniobałtów. Wszelkie próby mediacyj, nawet z udziałem przedstawicieli państw neutralnych, zawiodły. Nie ma już pokojowej drogi do zaprowadzenia porządku i zapewnienia bezpieczeństwa naszym rodakom. Każda umowa, każdy pakt i każde słowo – wszystko zostało złamane i łamane jest dalej. Brak szacunku, niezwykła buta oraz prymitywne zapędy mordu czy grabieży – wszystko to doprowadziło do zaistniałej sytuacji. Świat patrzy na nas i widzi, że to nie po naszej stronie leży wina.

Narody bałtyckie bez umiaru:

- 1) napadały na pograniczne wioski Zakonne
- 2) napadały na karawany celne oraz kupieckie
- 3) wstrzymywały ruch przygraniczny, uniemożliwiając handel, a co za tym idzie zarobek mieszkańcom Prus
- 4) podejmowały wszelkie czynności mające na celu gwałcenie świętych praw do życia mniejszości pruskiej na terenach swoich państewek
- 5) dokonywały bezpodstawnych konfiskat majątków bogatszych przedstawicieli mniejszości pruskiej
- 6) zatrzymywały, więziły i torturowały mieszkańców swoich terenów o narodowości pruskiej oraz zakonnej
- 7) wreszcie – wystosowywały oficjalne groźby i pretensje do Festung Bartenstein i okolic, utrzymując, że jest to ściśle bałtyckie terytorium.

Te siedem grzechów głównych przeciw Państwu Zakonnemu to zbyt wiele. Nie można tolerować takiego zachowania!

Mobilizacja przy Festung Bartenstein

Wokół okręgu Festung Bartenstein trwa mobilizacja wojsk. Armia Zakonna, od dawna postawiona w stan gotowości, zajęła posterunki przygraniczne, a także weszła w głąb terytorium Wschodniobałtów. Jednocześnie przygotowany został obóz dla ochotników, którzy pragną pomóc w obronie ojczyzny w specjalnych oddziałach świeckiego pospolitego ruszenia. Do obozu szkoleniowego wzywa się każdego chętnego luteranina. Obowiązkowe jest posiadanie kompletu odzieży zimowej oraz podręcznych zestawów do jedzenia, jak sztucce, manierka, mała metalowa miska. Bijcie się z Bogiem!

Kaiser oddany w modlitwie

Z Berlina dochodzą pierwsze informacje o gorącej modlitwie cesarza. Gabinet monarchy przesyła najszczerze zapewnienia o poparciu dla pruskiej sprawy całego Związku Niemieckiego, a także żywi nadzieję, że jego kuzyn, Wielki Mistrz Hohenzollern, poprowadzi nas do słusznego zwycięstwa.

Premiera w Teatrze im. Wilhelma

Teatr Wilhelma serdecznie zaprasza na premierę niezwyklej sztuki Schellera o wymownym tytule „Światło w ciemnościach”.

W rolach głównych wystąpią: Marlena Datrich, Clara de Gable oraz Micheal Montag. Nie przegap najważniejszego wydarzenia kulturalnego Allenstein! Wstęp 10 mar.

Opary według Hansa Groblera (powieść w odcinkach) – część 102

Tej nocy opary przysłaśniały nawet ciemność. Były gęstsze niż zwykle, wściekle pożerały budynki, ulice i ludzi. Wiecznie głodne, nigdy nienasycone, bezczelnie wgryzały się w myśli, spijały lęk i niepewność.

Joseph żył w nich od urodzenia, nauczył się wsłuchiwać w ich ciche szepty, czytał ich ruchy, rozumiał je, a mimo to dziś na niewiele się to zdało.

Pakunek był o wiele cięższy, niż chłopak się spodziewał. Cokolwiek znajdowało się w środku, spowalniało go, męczyło. Najpierw zgubił towarzyszy, później drogę. Jedyne, czego nie udało mu się pozbyć, to pościgu, deptającego mu po piętach. Wydawało mu się, że kiedy opary gęstniały wokół niego, dla policmajstrów rozrzedzały się.

Umykał w nieznane sobie uliczki, bezskutecznie próbując przypomnieć sobie okolicę. Chadzał tędy wielokrotnie, przecież musiał, ale wspomnienia uleciały, nie pozwalając na przywołanie żadnego szczegółu. Tam, gdzie powinny być drzwi, znajdowały się ściany, skręt w lewo prowadził w ślepy zaułek, schody w dół zmieniały się w stromy i śliski od mokrej trawy pagórek.

Dziupła z pewnością gdzieś tu była. Wejście do starej kamienicy od tyłu, a tam pokój bez okien, z jedną naftową lampą, której i tak nie można zapalać od razu. Wpierw trzeba przeczekać w ciemnościach, aż pościg oddali się, minie, zgubi trop, a później dla pewności czekać dalej. Wpaść do środka. Zaryglowali drzwi od wewnątrz. I oddychać ciszą z dala od tych przeklętych oparów – o tym właśnie marzył.

Nawoływania policji słyszał doskonale. Nerwowe, bliskie – zbyt bliskie – odgłosy biegnących wyprzedzały ich i samego Josepha, po czym odbijały się od ścian, by wrócić z głuchym odgłosem. Niosły się z każdej strony, zwielokrotnione. Opary poruszały się w ich rytmie, drżały od dźwięków. Joseph patrzył na te szaleńcze tańce i robiło mu się słabo.

Nie wypuszczał paczki z rąk. Wewnątrz nie było drogocennych kamieni, już wiedział to na pewno. Nie było niczego, co mógłby rozpoznać dotykiem. Nic nie przychodziło mu na myśl.

Od początku węszył podstęp. Zlecenie wyglądało na łatwe, a on już dawno nauczył się, żeby nie brać łatwych robót. Takie z reguły kończą się najgorzej. Na nic jednak zdało się doświadczenie oraz zdrowy rozsądek –

potrzebował pieniędzy. Dużych pieniędzy. A wynagrodzenie było więcej niż zadowalające.

Obejrzał się za siebie, ale tak jak się spodziewał, nie dostrzegł niczego poza puszystym murem zdradzieckiej mgły. Miał ochotę zaryzykować i ściągnąć maskę. Już kilka razy tak zrobił przy innych okazjach. Zawsze działało – adrenalina wystrzeliwała w górę, by odnaleźć zaginione siły oraz zmysły, z których nie zdawał sobie sprawy. Wystawiony na pewną śmierć w męczarniach trującego gazu, wiecznie unoszącego się nad ulicami miasta, nie miał już nic do stracenia i dlatego wygrywał wszystko. Uciekał przed pogonią, gubił pościg, odnajdywał właściwą drogę.

Zamiast tego po prostu zatrzymał się, wiedziony impulsem i uśmiechnął – znajoma brama, znajomy właz. Miejsce zbiórki. Otworzył klapę, wskoczył do środka kanału i szybko zasunął za sobą wejście. Był uratowany.

Wewnątrz, wbrew wszelkim środkom ostrożności, było jasno. Zimna woda skapująca z sufitu ostro kontrastowała z ciepłym, choć również mokrym, podłożem. W jednej chwili rozpoznał kobietę pochylającą się nad nim. Z uśmiechem na ustach wyjmowała mu paczkę z rąk. Nie miał siły się sprzeciwić.

– Przykro mi, chłopcze, naprawdę – powiedziała, ściskając nóż tuż przed jego twarzą. – Musiałam to zrobić. Wykonałeś już, co do ciebie należało.

Umierając, zrozumiał, że leży w ciepłej kałuży krwi – swojej oraz towarzyszy, z którymi wkradł się do posiadłości. Chłód kapiącej na czoło wody – kobieta musiała zdjąć mu maskę, jak pomyślał, na chwilę przed śmiercią – uspokajał i usypiał.

Tymczasem zabójczyni wytarła nóż o jego skafander, po czym rozcięła pakunek. Jej oczy zabłyśły.

W następnym odcinku konfrontacja!

* * *

Sarment wracał roztrzęsiony. Ta wojna mogła pokrzyżować mu plany. Atak na Wschodniobałtów sąsiadujących z Prusami – w ramach odwetu za przygraniczne zamieszki. Według przeczytanego naprędce artykułu hordy bałtyckich plemion od jakiegoś czasu najeżdżały zakonne przedsiionki i wioski, grabiąc, co się dało. Delegacje do tamtejszych książąt nie pomogły. Nie było żadnej centralnej władzy, a przynajmniej nie było dość silnej, aby powstrzymać wszystkich. Rozbicie dzielnicowe Moskwy sprzed już ponad wieku doprowadziło do okrutnej biedy. Na horyzoncie nie pojawił się nikt, kto mógłby pod swoim sztandarem zjednoczyć podzielone narody. Te zaś, pozostawione samopas, bez żadnej kontroli, bez pomocy, wzięły los w swoje ręce.

Z gazety Waclaw dowiedział się, że prawdopodobnie główne linie frontu przebiegną z dala od terytorium Prus, ale nie ma żadnej pewności, to przecież wojna. Najbezpieczniej byłoby szybko odnaleźć formułę i zabrać się do pracy. Może wyjechać, aby gdzie indziej dokończyć dzieła. Sarment jednak nie czuł się ani odrobinę bliżej znalezienia tego, czego szukał. A bez tego nie sposób ruszyć dalej.

Wyjazd w tej chwili również nie byłby wskazany. Miał świeży trop i dogodny czas do poszukiwań. Szanse na powodzenie rosły. Nie mógł więc opuścić Allenstein i ryzykować utratę celu z oczu. To cofnęłoby go o co najmniej kilka miesięcy, jeśli nie lat. Przyjmując optymistyczny scenariusz. W najgorszym wypadku mógł już bowiem nigdy nie wpaść na właściwy ślad.

W myślach dokonał jeszcze raz przeglądu zdobycznych materiałów. Notatki, wykresy, instrukcje kabalistyczne, ale nic potrzebnego. Jedyne listy, które jak przeczuwał, mogły doprowadzić go do zakończenia sprawy. Gdyby tylko odszukał kobietę, do której pisał Hodmann, mógłby się czegoś dowiedzieć. Od czego jednak zacząć? Po krótkim spacerze ochłonął nieco

i myśli kłębiące się pod czaszką stały się spokojniejsze. Wcześniej uległ, jak sądził, atmosferze spanikowanego tłumu. Teraz, czując chłodny wiatr na twarzy, nie uważał, że tam na dole, na Górnej stał się świadkiem czegoś niezwykłego. W przypiływie autoironii uśmiechnął się kpiąco – jak mógł pomyśleć, że pierwsza napotkana dziwna kobieta będzie tą, którą musi odnaleźć?

— Do śmiechu ci, Żydku? — usłyszał zza pleców.

W cieniu rozłożystych dębów stał Andres Biedemayer.

— Co pan powiedział?

— Głuchyś?

— O co panu chodzi? — warknął, nie zważając już na maniery. — Pan mnie śledził?

— Wolę mieć na oku takich jak ty.

Wacław odwrócił się na pięcie i robiąc krok do przodu (a przy tym starając się wyglądać swobodnie, co było trudne, zważywszy na kipiącą w nim złość), rzucił możliwie najbardziej niedbale, jak potrafił:

— Pan wybaczy, ja wolałbym na pana nie patrzeć. Biedemayer prychnął.

— Nie trudź się, Żydku. Nie jesteś w stanie mnie obrazić.

— Czego więc pan chcesz? Zdenerwować mnie? Udało się. A teraz won do swojej budy, psie!

— Mówisz z policmajstrem — wycedził Prusak, chwytając kabalistę za połę marynarki. — Zważaj, *Scheisse*, na słowa!

I kto to mówi!, chciał odburknąć Sarment, ale groźba w oczach napastnika była aż nadto realna. Ugryzł się więc w język.

Mistrz Policji rozejrzał się, czy nikt nie patrzy. Dostrzegłszy kilku przechodniów raptownie odwracających wzrok, puścił Sarmenta. Ten jednak nie odważył się uciec.

— Von Gerth jest zajęty pakowaniem syna i przekazywaniem mu ostatnich instrukcji. Gówniarz jedzie na wojnę, a dostał mu się wyjątkowo butny oddział. A ja mam przecucie, że coś knujesz.

— Rozumiem. — Sarment uśmiechnął się szyderczo. — Ciebie na wojenkę nie wezmą, nawet z dzikimi plemionami ze wschodu, boś tylko jakiś Biedemayer. To łazisz za mną.

Śledczy splunął na chodnik i podjął na nowo:

— Zamknij mordę. Niech oni się tam zabijają, ile wlezie, ale tutaj ma być porządek. A go nie ma. I ja jestem po to, aby wszystko wróciło na swoje miejsca, gnido. Widzisz, von Gerth ma przyzwoity węch, ale jest już stary i boję się, że jednak nie tak wyczulony, jak kiedyś. Ja za to mam węch doskonały.

— O coś mnie oskarżasz, Biedemayer?

— Nie waź się nazywać mnie po nazwisku. Dla ciebie Mistrz Policji. Jestem pewien, że zniknięcie Hodmanna i twoje pojawienie się w mieście nie są przypadkowe. Waszą dwójkę zbyt wiele łączy, abyście nie wiedzieli o swoim istnieniu. Nie mam jeszcze nic, ale znajdę. Bądź pewien, że znajdę.

— Odkąd to dwóch kabalistów musi się znać?

— Nie musi. Ale wy dwaj na pewno się znacie. Słyszałem twój wykład, a składanie klocków to moja robota. Pasujecie do siebie doskonale, pracowaliście nad tym samym problemem, być może wspólnie, i coś poszło nie tak. Nie mam jeszcze reszty obrazka, ale to chwilowe. Niedługo, Żydku, znów się spotkamy.

— Zatem powodzenia! — odparł Sarment podniesionym głosem.

Biedemayer uśmiechnął się drwiąco, a potem odszedł. Wacław patrzył za nim przez jakiś czas, by upewnić się, że ten nie będzie go śledził. Zmienił bowiem zdanie. Już nie chciał wracać do domu. Należało działać szybko...

* * *

Jadwiga Halina Apolońska herbu Froch dawno porzuciła zarówno imię, nazwisko, jak i szlacheckie godności. Jedyne, co zostało jej z dawnych czasów, to urzekająca uroda. Powabne lico, wąska kibić, kusząca nawet spod tych łachmanów, które na siebie wkładała. Sarment znał ją od dawna i zawsze patrzył pożądliwym wzrokiem. Nigdy jednak nie przyszło mu na myśl, aby wiązać się z piękną Polką mocniej niż tylko interesami, a i to nader niechętnie. Cóż począć, miała niezwykły talent do zdobywania informacji.

— Igo — przywitał się w progu. Tak teraz kazała się nazywać.

Rozejrzał się po jej dziupli. Stara przybudówka w dzielnicy cygańskiej. Trudno było tu dojść. Nie tylko ze względu na skomplikowany układ uliczek nędzy, tutaj trzeba było mieć oczy dookoła głowy, aby przypadkiem nie nadzieć się na nieznamy nóż.

— Nic nie znalazłem u Hodmanna — powiedział.

— I czyj to kłopot? — skwitowała wzruszeniem ramion. Nogi zarzuciła zawiadacko na stół, jedyny – nie licząc krzesła – mebel w izbie.

— Miał mieć formułę — ciągnął kabalista.

— I nie miał?

— Zabrałem wszystko, co znalazłem, i ani śladu.

— A co z tym, czego nie znalazłeś?

— Skąd mam wiedzieć?

— A ja? Westchnął, poirytowany. Trudno robiło się z nią interesy, ale nie miał żadnego punktu zaczepienia. Musiał grać w jej grę.

— A nie wiesz? Ty nie wiesz? — odparł.

— Słuchaj, ja cię tylko nakierowałam według swojej wiedzy. Co z resztą, to nie moja sprawa.

— Powiedzmy, że twoja...

— Powiedzmy, że za ile?

— Skąd mam wiedzieć, czy tym razem twoja pomoc będzie coś warta?

— Nieźle, piękniśiu, ale bądźmy szczerzy. Przychodzą do mnie tacy, którzy już nie mają gdzie pójść. Są na mnie skazani, tak jak ty teraz. Umowa jest więc prosta. Ty dajesz pieniądze, a w zamian kupujesz nadzieję. I moje najserdeczniejsze życzenia. Jeśli nie masz pieniędzy, za darmo nie dostaniesz nawet życzeń. To jak będzie?

Twarda sztuka, pomyślał Sarment. Życie ją nauczyło. Od dziecka przyobiecana szlachetce z wielkim majątkiem. Rodzina chciała powiększyć swoje wpływy i nie liczyła się ze zdaniem młodej Jadwigi. Oba rody doszły do porozumienia, a potem był ślub, wesele i noc poślubna. I nazajutrz pogrzeb. Jego – pana męża – bo dziewczyna uszła czym prędzej, by uniknąć stryczka. Nic innego nie czekało na morderczynię. Podcięła mu gardło sztyletem, bo nie widziała innej drogi ucieczki z niechcianego małżeństwa. Waclaw poznał ją w domu uciech, gdzie pracowała najpierw dla pieniędzy, a potem już dla przyjemności. Od tamtej pory utrzymywali znajomość. Kabalista wiedział, do czego jest zdolna.

— Tyle, co ostatnim razem — rzekł.

— Dwa razy tyle — powiedziała.

— Niech będzie. — Zgoda była jedyną poprawną odpowiedzią w jego sytuacji. Zresztą, jeśli chodzi o pieniądze, nie musiał oszczędzać.

— No to gadaj.

— Z kim potajemnie spotykał się Hodmann?

Wreszcie spojrzała na niego z zainteresowaniem. Zdjęła nogi ze stołu i chwyciła nóż, którym bawiła się zawsze wtedy, gdy coś ją zafrapowało.

— Mów dalej — odparła.

— Pisał do niej listy, pošlę ci je przez umyślnego.

— Nie trzeba, pošlę kogoś. Lepiej, żebyś nie wracał tu za często.

Pokiwał głową na zgodę. Miała rację, nie należało kusić losu. Mogli go śledzić, a jeśli doprowadzi tych ludzi do niej, wszystko będzie stracone.

— Z tego, co zrozumiałem, to jakaś ezoteryczka bądź kabalistka. Ewentualnie alchemistka. Mniejsza o to, na pewno była zaznajomiona z tematyką prac Hodmanna.

— I twoich.

— I moich. W każdym liście nazywa ją inaczej. Nie wiem też, dlaczego to wszystko wróciło do niego.

— Zaraz... Masz jego listy do niej?

— Tak.

— To bez sensu. Powinieneś mieć jej odpowiedzi.

— Właśnie — przytaknął. — Też tego nie rozumiem. Sądzę, że ona jest w Allenstein.

— Skąd ta myśl? — zapytała.

— Przeczucie.

— Za to już niejednego powiesili.

— Dowiesz się, kto to? Spojrzała wymownie na Sarmenta, a spojrzenie to mówiło więcej niż słowa.

Teraz, kiedy dobili targu, poczuł ulgę. Wreszcie miał sojusznika, choćby nawet takiego. W czym jednak był lepszy od Jadwigi? Też miał krew na rękach, tak samo knuł i spiskował. A po piętach deptała mu pruska Policja Zakonna.

— I jeszcze ta wojna... — wypalił bez związku.

— Niedługo zrobi się tu gorąco — podjęła kobieta.

— Dlaczego? — Zerknął na nią uważnie.

— Teraz jest lato i wejdą w nich jak w masło.

— Prusacy?

— Prusacy — potwierdziła. — Ale kiedy przyjdzie zima, zaczniesz się piekło.

— To dobra armia, zaprawiona w bojach.

— Nasi też tacy byli, a nie pamiętasz, co się stało? Książątka i kacyki Wschodniobałtów wciągali ich coraz głębiej w te krainy, aż przyszedł śnieg i mróz. Wtedy nie musieli nawet z nimi walczyć. Odprowadzali ich wzrokiem, kiedy ci szli, by zamarznąć na tym cholernym pustkowiu.

W jej głosie słychać było żal, co zdziwiło Wacława. Nie nawykł do Jadwigi, która okazuje jakiegokolwiek uczucia.

— Nie należy ich lekceważyć, to szczone lisy. Dla każdego w końcu przyjdzie zima. Sam chyba wiesz, co będzie dalej.

— Nie...

— Przyjdą tutaj. Po odwet.

— Pamiętam resztki wracającej polskiej armii. Kto ich prowadził? Jakiś najemnik chyba. Francuzik, prawda?

— Tak.

— Co to za pomysł, żeby sprowadzać jakiegoś obcego? Kościuszko jeszcze przecież żył. Jak on się nazywał? Ten wódz?

Zaśmiała się.

— Mam pamiętać imię jakiegoś żołdaka? Czeka, jakiś Napoleon chyba...

— Tak, chyba tak. Co się z nim stało?

Uniosła brwi w zastanowieniu.

— Był banitą, więc chyba Poniatowski odesłał go tam, skąd go wyrzucili.

Zmilczał. Poprawił połę marynarki i zerknął przez brudną szybę, czy aby na zewnątrz nikt na niego nie czeka. Nie mówiąc ani słowa, podszedł do drzwi. Kiedy wychodził, przypomniał sobie coś jeszcze.

— Andres Biedemayer — powiedział.

— Co z nim? — Kobieta siedziała niewzruszona na krześle.

— Co możesz mi o nim powiedzieć?

— Ma problem z kobietami.

— Kochanka? — Wacław pomyślał, że to może być jego szansa.

— Owszem.

— Kto?

— Ja.

Sarment tylko kiwnął głową i odwrócił się do drzwi. Zatrzymał go jej głos.

— A ty? Powiedz mi, co zrobiłeś z Hodmannem?

— Po co?

— Coś za coś.

To było w jej stylu. Zawsze się ubezpieczała. Sytuacja bez wyjścia. Gdy powie, będzie miała go w garści. Nie powie – kobieta nie kiwnie nawet palcem, by mu pomóc. Jeśli chciał osiągnąć, co zamierzał, musiał zaryzykować.

— Leży na dnie jeziora nieopodal Neidenbergu.

I wyszedł, modląc się, czego nie robił od bardzo dawna.

* * *

Siedział w nieco za ciasnym fotelu, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Zaszły się, czekał na wieści, ale umierał z niepewności. Nie nawykł do oczekiwania.

Nawet nie próbował nic robić. Nie przeszukiwał skradzionych notatek, nie sortował własnych. Pomyślał o rozłożeniu szachownicy i przeciwiczeniu nowego debiutu, który podpatrzył w kuluarach moskiewskiego meczu o mistrzostwo świata w szachach między cudownym dzieckiem z Prus,

Laskerem, a starym mistrzem Steinitzem. Dla zabawy grano tam symultaną z pewnym ośmiolatkiem nazwiskiem Capablanca. Mały Kubańczyk próbował swoich sił w grze na dziesięciu szachownicach jednocześnie. Ograł wszystkich, jednak wielcy szachiści zgromadzeni na sali, włącznie z Laskerem, krytykowali jego grę jako zbyt pasywną. Mimo tego Waław był pod wrażeniem otwarcia, które dzieciak nazywał Gambitem Królewskim Nieprzyjętym, Obroną Słowiańską, i wróżył wielkie sukcesy śniademu geniuszowi. Ta symultana wydała mu się znacznie bardziej ekscytująca niż zacięte, ale schematyczne rozgrywki o koronę szachowego mistrza.

Dalej jednak siedział w domu, wpatrując się w okno. Podziwiał zielone Kortau, piękne, lecz gdzieś za murami skrywające szaleństwo. Jego kamienica stała w bezpośrednim sąsiedztwie zakładu dla obłąkanych. W słoneczny wieczór, jak ten, słycać było ich chore krzyki.

Pamiętał to bardzo dobrze ze swojego domu, dawno temu. Spazmatyczne wrzaski, ciskane niczym gromy z nieba oraz ciche, lecz nienawistne szepty, dla niewprawionych uszu brzmiące jak bełkot. Nie były jednak bezsensowne. Wręcz przeciwnie – znaczyły bardzo wiele i układały się w logiczną całość. I nie zapowiadały niczego dobrego.

Wolały nie pamiętać o Racheli. Te odgłosy budziły demony.

Słyszał je zewsząd. Dochodziły spoza domu – ze szpitala oraz z Allenstein, tętniącego wojenną gorączką. Wybrzmiewały też z samej kamienicy: słycać je było w kłótni małżeństwa zajmującego jeden z sąsiednich pokoi, w awanturze, jaką gospodyni urządziła kucharce, wreszcie w izbie Waława. Dobiegały spod łóżka, a gdy spojrział tam, usłyszał je spod fotela. Potem poczuł na karku, tuż przy uchu. Dotykały jego dłoni, były we włosach i na powiekach.

Były wewnątrz niego i nigdy nie zamierzały odejść. Nic nie mogło ich uciszyć, chyba że same tego chciały. Przychodziły, kiedy tego pragnęły,

odchodziły równie niespodziewanie. Przypominały o sobie zawsze, ilekroć wracał myślami do tamtych czasów. Do niej.

Do żony.

To było w Chanukę pięć tysięcy sześćset czterdziestego siódmego roku. Już pierwszego dnia święta świąteł Waclaw zastał Rachelę inną niż zwykle. Stała nad kuchnią, przygotowując latkes i pączki. Podszedł i objął ją czule. Złożył pocałunek na jej policzku i wtedy drgnął niespokojnie. Coś było nie tak. Była tam, pochylona nad pracą, odświętnie ubrana, dostojna jak sama Judyta, a jej dłonie pracowały, oczy patrzyły, na ustach kwitł radosny uśmiech, ale nie było w tym życia. Wydała mu się obca, nieswoja, nie jego, niczyja. Tego wieczoru już się do niej nie zbliżył. Nie patrzył nawet na nią, gdy zapalali świecę na *chanukiji*. Postawił później symbol cudu na oknie, by każdy mógł nań patrzeć. Nastrój jednak daleki był od odświętnego. Potem poszli spać, żadne jednak nawet na chwilę nie zmrużyło oczu.

Drugiego dnia w obliczu żony szukał czegoś, co pozwoliłoby mieć nadzieję, że wszystko mu się przywidziało. Jej spojrzenie wymykało się jednak jego czujnemu wzrokowi. Ani razu nie zerknęła na niego. Zamiast tego patrzyła na dłonie. Jej palce wykrzywiały się w nienaturalny sposób – miał wrażenie, że zmieniają się w ptasie szpony. Inni z pewnością nie zauważyliby tego, ale nie on. Waclaw kochał Rachelę ponad wszystko i wiedział, że coś się dzieje. Próbował porozmawiać, ale każde słowo, każde pytanie, więzło mu w gardle, ona zaś nie zagajała, jak to miała w zwyczaju. Po raz pierwszy czuł się onieśmielony jej obecnością. Wieczorem zapalili dwie świece i udali się na spoczynek. Waclaw znów nie spał całą noc. Wydawało mu się, że Rachelę coś mamrocze do siebie. I nie był to słodki szept...

Zasnął dopiero nad ranem dnia trzeciego, gdy żona wymknęła się o pierwszym brzasku. Zmęczony organizm odebrał należność. Śnił koszmary, ale nie mógł się obudzić. Krzyczał i płakał, czuł ogromną

niemoc. Gdy otworzył oczy, natychmiast zapomniał, co widział w majakach. Zostało tylko niezrozumiałe przerażenie, ściskające gardło jeszcze długo potem. Gdy wstał, żony już nie było. Zniknęła.

Poszedł do jej rodziny, ale tam jej nie zastał. Zawitał więc do przyjaciół – najpierw wspólnych, potem jej własnych, na końcu do swoich. Udał się w miejsca bliskie Racheli, a gdy i to nie przyniosło rezultatu – w każde, które jakkolwiek mu się z nią kojarzyło. Ani śladu. Panika nakazywała mu błędzić dalej, lecz zamiast tego wrócił do domu. Nie chciał powiadamiać straży o jej zniknięciu, nie upewniwszy się wpierw, że nigdzie jej nie ma.

Zobaczył ją przez okno, palącą trzy świece na *chanukiji*. Gdy wszedł do mieszkania, już spała.

Czwartego dnia święta Sarment zwyczajowo odmówił *szachrit*, po czym udał się do cadyka.

W kłojzie minął modlących się mężczyzn i skierował się wprost do izby dynasty. W korytarzu porozwieszane były obrazy tańczących i biesiadujących Żydów, a zza drzwi dobiegał radosny pisk dzieci starego mędrca. Bóg pobłogosławił go w bardzo późnym wieku dwoma chłopcami. Dla całej polonijnej diaspory chasydzkiej był to znak wyjątkowych względów, jakimi się cieszył u Pana Jerachmiel Izrael Izaak Danziger.

— Bładyś — powiedział cadyk, podnosząc wzrok znad księgi Zohar, gdy Waław wszedł do jego pokoju. — Co cię trapi?

— Nauczycielu, obawiam się o swoją żonę.

— Rachelę? Co z nią?

— Od pierwszego dnia Chanuki jest nieswoja, a wczorajszego ranka zniknęła na cały dzień z domu, nie powiedziała, dokąd idzie.

— I jak sądzisz, o co chodzi?

— Chciałbym wiedzieć, ale... Nigdy się tak nie zachowywała.

— Jakież myśli krążą ci po głowie?

— Mistrzu... Nie wiem. Przyszedłem po jakąkolwiek radę.

— Czynicie gorliwe starania, aby sumiennie wypełniać *micwot*?

— Tak, ale ona zachowuje się, jakby coś w nią wstąpiło.

— Skoro przestrzegacie słów Baruch Haszem, to nie ma się o co martwić. Raduj się i osiągnij *dwekut*. To zawsze daje pocieszenie i jasność umysłu. Nie myśl też, że ona zdradziecko czyni coś przeciw tobie. Znam ją od dziecka. To prawdziwie dobra istota. Jesteś szczęściarzem, że masz taką małżonkę.

Sarment wracał do domu niespiesznie. Spacerował powoli, pozwalając, by wiatr przegnał z jego głowy wszystkie złe duchy, szepczące, że nadchodzą ciężkie dni. Gdy wreszcie stanął przed swoimi drzwiami, usłyszał za nimi cichy, lecz wyraźny jęk. Wbiegł do środka i zobaczył Rachelę spazmatycznie rzucającą się po kuchennej podłodze, wśród porozrzucanych naczyń, sztućców i garnków. Z jej ust wydobywała się piana, a dłonie dziwnie się wykrzywiały, palce wydawały się zrobione z gumy, zupełnie jakby nie miały stawów.

Pod jego dotykiem uspokoiła się. Spojrzała przytomniejszym wzrokiem, a kąciki ust lekko uniosły się w poczuciu ulgi. Później zemdląca.

Położył ją do łóżka i czym prędzej pobiegł po znajomego medyka, który mieszkał nieopodal. Mojsze, jego stary przyjaciel, a zarazem najlepszy lekarz w całej gminie, starannie zbadał Rachelę, nie wykrył jednak niczego niepokojącego, oprócz niezbyt wysokiej gorączki. Zalecił kurację w łóżku i uzupełnianie płynów, aby nie odwodnić organizmu. Reszta dnia upłynęła spokojnie – Waclaw czuwał przy żonie, a w końcu zasnął, strudzony.

Piątego ranka obudził się i nie zastał jej w pokoju. Zmięta pościel zwisała z łóżka, przepocona, śmierdząca. Z izby obok dochodziły dziwne odgłosy. Waclaw poszedł tam.

Zastał ją nad kołem garncarskim, na którym nadawała glinie kształty. To była jej pasja – robienie glinianych naczyń. Dom był ich pełen. Formowała je, potem zdobiała, na końcu wypalała w piecu. Pozwalało to zabić nudę, gdy on pracował bądź szedł na modlitwy do kłojzy. Bywało, że co piękniejsze wyroby sprzedawali ze sporym zyskiem bogatszym gojom. Nie musieli tego robić, Waclaw zarabiał całkiem nieźle, a i odziedziczył duży spadek po rodzicach, jednak ona upierała się, że też chce dać coś od siebie.

— Pracujesz? W święto? — zdziwił się.

— Nie zapaliliśmy wczoraj świec — odparła.

Podszedł bliżej.

— Gdzie byłaś cały dzień? Co się z tobą dzieje?

Czuł, że wciąż panuje nad sobą, ale tylko chwile dzielą go od gniewu. Jeszcze mówił spokojnie, ale w tonie wyczuwalne były panika i szorstkość.

— Moje oczy nie widzą — powiedziała.

Ośupiał. Myślał, że słuch płata mu figle, ale powtórzyła:

— Moje oczy nie widzą.

Po czym zaczęła drzeć i upadła.

Nie wiedział, co robić. Chwycił żonę mocno w objęcia i wytrzymał wszystkie nieświadome ciosy, jakie na niego spadły. Przeczekał atak, a potem zaniósł ją, nieprzytomną, do alkowy. Jeszcze raz sprowadził Mojszego, a gdy ten bezradnie rozłożył ręce i wręczył tylko fiolkę jakiegoś naparu z ziół z instrukcją zmoczenia nim chustki i położenia na powiekach Racheli, Waclaw załamał się. Godzinami wpatrywał się w śpiącą, umęczoną niespokojnym snem małżonkę. Stracił apetyt, nie mógł niczego przełknąć.

Rachela nie budziła się. Zanim położył się obok niej, późno w nocy, dochodząc do wniosku, że i tak na nic bezczynne siedzenie, zapalił pięć świec. Rozgorzały nowe światła cudu. Cudu, który najwidoczniej omijał ten dom.

Prawdziwa zgroza miała jednak dopiero nadejść. Szóstego dnia Waclawa obudziła cisza. Zaspanymi dłońmi badał łóżko. Racheli nie było. Gdy otworzył oczy, dostrzegł, że nawet słońce, zwykle pięknie opromieniające wnętrze izby, tym razem schowało się gdzieś za chmurami – w pokoju panował półmrok. Sarment wyswobodził się z pościeli i cicho, bojąc się wzbudzić zbędny hałas, skradał się przez mieszkanie. Szuflady kuchenne były otwarte, a na dziewięcioramiennym świeczniku nie paliła się żadna świeca. Z gardłem zaciśniętym z lęku poszedł do pracowni. Nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

Siedziała przy kole.

Wszędzie była krew. Na podłodze, na ścianach, na glinianych formach. Zaschnięta, czarna, i jeszcze mokra, czerwona. Na jej koszuli nocnej, na dłoniach, na twarzy. Ściekająca po policzkach z pustych oczodołów, kapiąca z brody.

To, co poczuł, trudno nazwać strachem. To było coś gorszego – najbardziej pierwotny lęk, jaki może czuć człowiek, najostrzejszy ból, najsroźsze przerażenie.

Podniosła do góry dwie gliniane kulki. Śmiejąc się, prawdziwie zachwycona, wepchnęła je sobie w miejsce oczu.

— Teraz wreszcie widzę!

Później pamiętał tylko, że biegł. Uciekł, tak jak stał – w nocnym stroju na chłodny poranek. I biegł. Głośno dysząc, potykając się, wywracając. Starł sobie łokcie, stłukł kolano, poranił bosc stopy. Biegł. Wiedział, że nie może uciec, że nie da się uwolnić od tego obrazu, że zawsze będzie już w jego myślach. To jedyne, co teraz potrafił zrobić.

A potem skulił się przy wrotach kłojzy, rozdygotany i nieprzytomny ze strachu. Tak znalazły go dzieci sąsiadów.

Obudził się nazajutrz, cały w gorączce. Drżał tak mocno, że nie mógł unieść szklanki z herbatą do ust. Wylewał wrzątek na dłonie i puchową

pierzynę, pod którą go położono. Gardło paliło żywym ogniem, oczy zaś stały się nadmiernie wrażliwe na światło.

Przy jego łóżku czuwał Mojsze, jeszcze bledszy niż zwykle, co do niedawna wydawało się Waławowi niemożliwe. Obok stawała często żona cadyka i sam starzec. Na pół stroskane, na pół złęknione miny całej trójki uświadamiały mu, że to wszystko nie jest jedynie sennym koszmarem.

— Wicek... — zaczął mędrzec. — Wicek, tyś jak Hiob przez Pana naszego doświadczany...

— Biedny jesteś, chłopcze — dodała kobieta.

— Baruch Haszem mi świadkiem, jakżem się cieszył, żeś wracał na nasze żydowskie łono po tylu latach życia jako goj. Myślałem, że dobrze się stało, że Żydówki zachciałeś. To był znak, że w poprzednim wcieleniu jednym z naszych byłeś, Wicek. Zawsze to dobrze, gdy wraca dawny przyjaciel. Ale teraz... Teraz to chyba tylko współczuć ci mogę...

— Ona nie żyje — powiedział medyk. Z jego głosu wybrzmiewała ulga.

— Czy ona...

— Powiedziała tylko... — przerwał mu Mojsze. — Powiedziała, że wreszcie może widzieć wszystko.

Resztę święta światła spędził w izbie w domu starego nauczyciela. Ciężko chorował, sam nie wiedział czy z żalu i zgryzoty, czy raczej z powodu tego, co widział. Gospodyni była mu życzliwa, jednak trzymała wobec niego dystans. Dzieci cadyka zaś omijały jego pokój. Gdy któreś przypadkiem zapędziło się w tę stronę, milkło, a wszelka radość zniknęła od razu. Nawet pan domu, świątły wszak człowiek, zachowywał się niezbyt poufale. Nikt nigdy Waławowi nie obraził, nie starał mu się uprzykrzyć rekonwalescencji, ale we wszystkich twarzach Waław widział niepokój, jakby sama jego obecność stanowiła jakieś zagrożenie. Zastanawiał się, czy to, co się stało, to przez niego? Czy to on ściągnął gniew boży?

Gdy wreszcie wydobrzeł, sprzedał dom i przeprowadził się do innej dzielnicy, gdzie nie mieszkali Żydzi. Mimo to wciąż wyprawiał się do kłojzy. Nie po to jednak, aby się modlić. Stracił ochotę do modłów, do ofiar, do obrzędów. Nie dbał już nawet o to, czy jego jedzenie jest koszerne, i łączył potrawy tak, jak żaden dobry Żyd nie powinien. Jedyne, czego pragnął, to zrozumieć, czemu to wszystko go spotkało.

Odwiedził w końcu cadyka. Ten przyjął go miło, lecz pod maską uśmiechu Sarment zauważył nieufność. Nie obchodziło go to. Niewiele go już zajmowało.

— Mistrzu — rzekł. — Mistrzu, czy to możliwe, że moją żonę opętał zły duch?

Starzec naprężył się w fotelu i długo milczał. Wreszcie wstał i z biblioteczki za plecami wyjął kilka grubych ksiąg.

— Bóg jest wszystkim, zawiera w sobie świat — wyjaśnił. — Nic nie dzieje się bez Jego spojrzenia. Od Niego pochodzi tak dobro, jak i zło.

— Co więc z Pismem? Czy ono mówi nieprawdę, gdy wspomina o diabłach?

— Mój drogi, Pismo nigdy nie kłamie, różnie jednak można je interpretować. Księgi nie wzmiankują wielu przypadków działania złych duchów. Zwykle to od ludzi pochodzi cały grzech, a z niego rodzi się zło.

— Co więc Bóg na to? Czy jest zły, skoro swoim dzieciom pozwala wybierać zło?

— Czasem jest tak, że nie wiemy, co jest złem, a co dobrem, póki coś się nie wyjaśni. Twoja własna historia... Lubię ją porównywać z dziejami Hioba. On też był wystawiony na zło, ale się nie uląkł. Dotykało go z każdej strony, lecz nigdy nie wpełzło do środka. Nie zrozumiemy bożej miłości ani boskiego planu. Rozum człowieka jest na tyle potężny, by zadać wszystkie ważne pytania, ale zarazem na tyle słaby, by na żadne z nich nie

odnaleźć odpowiedzi. Trzeba ufać. Trzeba być prawym i sprawiedliwym. Bądź wiernym.

— Byłem taki. I taka była Rachel. Niech Bóg mi ją zwróci, tak jak Hiobowi oddał wszystko, co ten stracił.

— Nie trać wiary, a zapłatę dostaniesz stokrotną, mój drogi.

— Czemu ona? Czemu tak? Za co? Czym się stała?

Cadyk przesunął księgi po biurku.

— To dla ciebie.

— Co to?

— Znasz podania o istotach z gliny, ulepionych na ludzkie podobieństwo? Tu masz wszystko. Nie wiem, czy będzie to pomocne, ale być może odnajdziesz w tym jakąś prawdę. Bądź nowe, właściwe pytanie.

Od tamtej pory minęło sporo lat. Wystarczająco dużo, by Sarment upewnił się co do słuszności swoich pytań. I niewiele już brakowało, aby poznał na nie odpowiedzi. To jednak nie dzisiaj. Tego wieczoru siedział w fotelu, czekając i słuchając nawoływań pacjentów szpitala dla obłąkanych w Kortau. Trwał tak, aż zmorzył go sen, w którym jeszcze raz, na nowo, przeżywał tragedię swoją i swojej dawno zmarłej żony.

* * *

W domu gry pachniało dymem fajek i cygar, pieniędzmi, podnieceniem oraz potem. Rozlewano darmowy alkohol. Ludzie grają, bo piją. Piją, by wygrać. Piją, gdy wygrają. Wtedy więcej grają. Gdy wreszcie przegrają, też piją. By grać dalej.

Należną sobie szklankę Sarment chwycił z ulgą. W końcu gdy będzie wszystko uważnie obserwował, zamierza stracić trochę pieniędzy, a przy okazji nieco się zabawić. Iga przysłała umyślnego z samego rana. Na karteczce zapisany był adres wraz z krótką notatką, że właśnie tutaj

powinien rozpocząć poszukiwania, gdyż bywają tu wszyscy znaczniejsi kabaliści z miejskiego Towarzystwa Ezoterycznego.

Sarment wiedział, że zaufany człowiek Biedemayera go śledzi – wizyta w domu gry nie powinna jednak budzić podejrzeń. Tym bardziej że właśnie tutaj, dziś, odbyć się miała prezentacja szachowego paromatu jakiegoś osmańskiego wielmoży.

We wszystkich pomieszczeniach ludzie tłoczyli się wśród sprzętów, stołów do gry w ruletkę czy wista, a przecież i samo urządzenie szachowe było potężne, zajmowało sporo miejsca. Wielka maszyna stała na środku największej z sal, a wokół niej przepychali się gapie, starając się znaleźć dogodne miejsce.

To była nie tylko szachownica, lecz cała maszyna. Pod planszą umieszczono tryby i sprężyny, widoczne dzięki szklanemu blatowi, na którym namalowano tylko czarne pola. Jedno krzesło, to przeznaczone dla człowieka, było puste, na drugim, połączonym z resztą maszyny, siedział metalowy ruchomy Turek. Potrafił pochylać się nad stołem, ukazywać coś na wzór grymasów na błyszczącej twarzy, a jego dłonie oczywiście były chwytne, aby mógł przesuwac figury. Za nim tkwił spory silnik, buchający parą i rozgrzewający salę do temperatury, jaka panuje zwykle w saunie. Gracze rozpinali, co mieli na sobie – marynarki, surduty czy płaszcze. Krawaty, muszki wędrowały do kieszeni spodni, a w koszulach podwijano rękawy. Mimo otwartych okien panowała duchota. To jednak nie przeszkadzało ekscytować się wynalazkiem.

— Słyszałem, że on jeszcze nigdy nie przegrał! — mówił jeden, mocno podпиты już mężczyzna.

— Jak w ogóle „to” nazywać „on”? Przecież to paromat! Tylko że tak to zrobili, żeby wyglądał jak człowiek — ripostował drugi, patrząc na urządzenie z rozbawieniem, ale i z lekkim przestrawieniem.

— Ja się zastanawiam, jak on gra? Na jakiej zasadzie? — pytał kolejny.

— Jakiś opalony gagatek wyjaśniał wcześniej, że analiza ruchów odbywa się w maszynie liczącej, tam za tym „Turkiem”.

— Ba! Ja wiem, że szachy to kalkulacja i nic więcej, prawie matematyka, no ale wyobraźnię przecież też trzeba mieć. To ma pewnie zaledwie parę zapisanych schematów. Co się stanie, kiedy partia nie będzie przebiegać według nich?

— No, to jest pytanie!

— Popatrzcie, tam są miejsca na karty perforowane.

— To też było wyjaśniane. Jak on to nazwał...? Pamięć zewnętrzna? Po pierwszym ruchu białych należy włożyć odpowiednią miedzianą kartę do odpowiedniej kieszeni, by maszyna miała pojęcie, z czym się mierzy.

— Czy to nie oszustwo? To przecież nie paromat będzie grał, lecz człowiek przeciw ruchom napisanym na perforowanej karcie przez człowieka. No to czym to się ma różnić od zwyczajnej partii? Że popatrzmy sobie, jak to macha żelastwem i pufa parą? Panowie...

— Coś w tym jest, no ale zobaczymy. Ten opalony mówił, że karty zawierają tylko początkowy repertuar otwarć.

— Tak czy siak, to oszustwo.

— Nie przesądzajmy przed rozgrywką!

Sarment przysłuchiwał się tym rozmowom, popijając ze szklaneczki i czuł, że po raz pierwszy od wielu dni zaczyna się rozluźniać. Tak go to pochłonęło, że zapomniał, po co właściwie tu przyszedł. Do rozpoczęcia meczu było jeszcze trochę czasu, więc postanowił się rozejrzeć po przybytku. A nuż czegoś się dowie.

Wystrój wnętrza nie należał do szykownych, lecz nie przeszkadzało to wpływowym personom, stałym bywalcom lokalu. Bogaci Prusacy – lekarze w binoklach, naukowcy we frakach skrojonych z matematyczną wręcz precyzją, czy nieco bardziej frywolni, tak w stroju, jak i zachowaniu, dobrze zapowiadający się artyści. Większość stanowili mężczyźni, ale było

także kilka kobiet w eleganckich, choć nieco przesadnie, a zarazem kuriozalnie purytańskich sukniach, jeśli wziąć pod uwagę to, gdzie się znalazły. Ludzie pachnący pieniędzmi, obwieszani kosztownościami, czasem odrobinę ekscentryczni.

To zdziwiło Wacława. Spodziewał się zgoła innego towarzystwa. Przede wszystkim utracjuszy, przegrywających ostatnią markę. Wyobrażał sobie awanturujące się żony pijaków, próbujące na siłę, krzykiem i płaczem wyciągać mężów z objęć zgubnego hazardu. Oczyma duszy widział strachliwą fascynację podrostków, tych z pierwszym nieśmiałym wąsem oraz szpetnymi krostami. I jeszcze zbirów, łachudrów pierwszej wody, z pasami ciężkimi od noży, tylko czyhających na okazję. Tak bowiem wyglądało jedyne kasyno, które kiedyś z ciekawości odwiedził, jeszcze w Polsce. Pachniało ono zupełnie inaczej niż to – zuchwalstwem, zazdrością i desperacją, tak właściwą mieszkańcom Korony.

Nie potrafił się zdecydować, która wizja była gorsza. Wiedział jedno – stylowa dekadencja, trzymana na wodzy przez udawaną wstrzeźliwość, jaka, zdawałoby się, bawiła tu wszystkich, jego przerażała. To był dom prawdziwego fałszu ubranego w piękne szaty, upudrowanego, wypachnionego. Sarment wolał już chyba bezczelną dosadność. Lepiej potrafił ją odczytywać.

Jeszcze dwie rzeczy budziły jego zaciekawienie. W przybytku było wiele okien: wysokich, wąskich, wręcz prowokujących do wyglądanego przezeń. Nikt jednak nie patrzył na zatłoczone Stare Miasto, ignorowano tłoczących się na zewnątrz ludzi, jakby prawdziwy świat nie budził nawet krzty zainteresowania. Oni byli tutaj, podczas gdy tam gdzieś działa się wojna, nadchodząca już w wieściach przekazywanych sobie ustami zwykłych ludzi. Słowa na ulicy brzmiały jak wystrzały, krzyki jak kanonady dział, a płacz niemowlęcia łatwo można było pomylić z żalonym skomleniem umierających. To właśnie była druga rzecz, jaką Sarment

zanotował. Nikt w domu gry nie przejmował się konfliktem ze Wschodniobałtami. Nikogo to nie obeszło.

— Mojżeszowy? — usłyszał Waław z za pleców.

Odwrócił się. Zobaczył przed sobą wielką dumę i puste kieszenie. Oto prawdziwy hazardzista. Jedyne, na co go stać, to popijanie trunku z pustawej już szklaneczki oraz przypatrywanie się innym, którym poszcęściło się lepiej. Lub też tym, którzy mają więcej rozumu, by nie stracić wszystkiego w ruletkę.

Sarment pokiwał głową.

— Jak pan się domyślił? Czy może się znamy? — spytał.

— Spod marynarki wystaje panu mały tałes.

Kabalista spojrział w dół – kilka frędzelków powiewało wokół pasa.

— Pan wybaczy, lepiej to schowam — odparł. Nie wiedział, dlaczego po tylu latach wciąż go nosi. Przyzwyczajenie?

— Nie sądzę, aby pana obecność mogła kogoś tu zdziwić. Gdzie szukać Żyda, jak nie przy pieniądzach?

Waław uśmiechnął się sztucznie, widząc w oczach rozmówcy niewinne rozbawienie. Mężczyzna nie kpił z niego. Po prostu potrzebował rozmowy. Jeden rzut oka na salę wystarczył, aby zrozumieć, że utracjusz nie cieszy się tu zbytnim poważaniem. Inni zerkali na niego spode łba, pogardliwie.

— Ale dlaczego nie nosi pan jarmułki? — zdziwił się rozmówca. — Przecież tałes pan ma.

— Nie noszę... Nie wiem — odparł kabalista zgodnie z prawdą.

— Pan nie stąd, prawda?

— Aż tak widać?

— Tutaj każdy nowy rzuca się w oczy. Bo cały czas to samo towarzystwo. Nie widzi pan, jak nas taksują?

Sarment grzecznie przytaknął. Bawił go ten człowiek. Zapewne gdyby szczęście mu dopisywało, nawet nie zwróciłby na Wacława uwagi. Brak funduszy rozwiązał mu jednak język.

— Ma pan śmieszny akcent. Taki śpiewny.

— Ojciec był Polakiem.

— Ach, Żyd z Korony. I jak się podoba miasto?

— Pełne cudowności.

Mężczyzna zmarszczył nos z niesmakiem:

— Mnie się raczej wydaje bezbrzeżnie nudne...

Jęk zawodu przetoczył się przez salę. Jakaś nieciekawa blondynka właśnie przegrała wszystkie pieniądze w oczko. W jednej chwili ludzie rozeszli się od stołu, tracąc resztki zainteresowania.

— Nie wiedziałem, że możecie pić. — Gadatliwy nieznajomy wskazał na szklanę.

— Cóż... A wydawać by się mogło, że ma pan sporą wiedzę o naszych zwyczajach. Nie każdy wie, jak nazywa się żydowska szata modlitewna. — Sarment niedbale wzruszył ramionami.

— Było tu kiedyś kilku mojżeszowych. Mieszkali w górę od Wysokiej Bramy. To moja okolica. Zatem... Wychylimy?

— *Lechaim!* — Sarment wznosił toast.

— Pan na pojedynek? — Mężczyzna wypił zawartość swojego kieliszka. Wzrokiem poszukiwał już kolejnego, bezpańskiego, choćby w połowie pełnego.

— Owszem.

— Ciekawa maszyneria, nieprawdaż? Technika idzie do przodu w zatrważającym tempie. Mój dziadek był gospodarzem tu niedaleko, nieopodal Allenstein. Zawsze mnie to dziwiło, bo ziemia tu raczej niezbyt urodzajna. Dzień w dzień jednak zrywał się rankiem, by doglądać swojego

dobytku. I dorobił się czegoś. A pracował prostymi narzędziami, dziś niewielu chce się w ogóle brudzić ręce. Takie mają urzędnicy.

— Tylko czy sukcesy mają podobne do pańskiego dziadka? Czas nie idzie do tyłu, drogi panie. Nasz „szachista” zaś rzeczywiście robi wrażenie.

— A mógłby. — Westchnął z prawdziwym żalem. — Pan wybaczy, ale widzę okazję, a w tym miejscu należy za nią niezwłocznie podążyć.

— Jak wszędzie, jak wszędzie. — Tamten jednak już nie słuchał, oddalił się w stronę młodego chłopaczka, który roznosił drinki.

Sarment uśmiechnął się. Też wykorzystał swoją szansę. Chwila niezobowiązującej rozmowy była dobrą okazją do bezkarnego rozglądania się. Mógł wyłowić znajome twarze.

Znalazł kilku uczestników swojego wykładu, ale najbardziej ucieszył go człowiek schowany za fajkowym dymem, którego widział kilka dni temu na brzegu rzeki w towarzystwie tej dziwnej kobiety.

Zaczeplił przechodzącego kelnera.

— Przepraszam, czy wolno mi spytać, kim jest ten człowiek?

— To *Herr* Manlich. Gottfried Manlich. Nasz stały bywalec.

— Dziękuję.

Kabalista zanotował nazwisko w pamięci. Potem zwiedził jeszcze kilka pokoi, ale nic nie zwróciło jego uwagi. Wreszcie zabrzmiał dzwonek.

— Panie i panowie, zapraszamy na rozgrywki szachowe! — zapowiedział służący.

W dusznej izbie zrobiło się jeszcze bardziej duszno. Sarment musiał rozpychać się łokciami, aby uzyskać mało wygodną, ale za to zapewniającą dobry widok pozycję. Na swoim miejscu czekał już Adolf Anderssen. Siedział, jak przystało na kogoś, kto nie ma już nic do stracenia ani tym bardziej do zyskania. Podkrążone oczy, niegdyś tak czujne, jak w meczu ze Steinitzem, leniwie badały oblicze sztucznego szachisty siedzącego po

drugiej stronie stołu. Ten wzrok kiedyś wypalał dziury w przeciwniku, wywoływał strach. Dziś nie mógłby rozpałić nawet zapałki.

Anderssen najlepsze lata miał już dawno za sobą, był tutaj jedynie dla pieniędzy. Jego sława dalej przyciągała widzów spragnionych wrażeń, liczących na niestereotypowe posunięcia, z jakich słynął. Sarment zachnął się, uświadamiając sobie, że niegdysiejszy mistrz został zredukowany do roli zachęty do stawiania zakładów.

Wyjął więc z kieszeni zwitek banknotów i ku zdziwieniu obecnych, postawił je na paromat.

Gra się rozpoczęła. Białe zaczęły standardowo, od królewskiego piona. Sztuczny szachista buchnął parą, gdy śniady chłopiec w tureckim stroju narodowym wrzucił do kieszeni kartę perforowaną. Potem ze skrzypieniem podniósł sztuczną dłoń, chwycił czarny pion i wykonał ruch. Trwało to długo, a towarzyszył temu pomruk fascynacji zgromadzonych. Anderssen zdawał się nie podzielać zachwyty. Ze znużoną irytacją patrzył na ruchy maszyny i gdy tylko pion opadł na swoje miejsce, natychmiast zagrał figurę.

Wyglądał na zniecierpliwionego i rozkojarzonego, ale szybko osiągnął znaczną przewagę, poświęcając pion dla szybszego rozwoju figur. Sarment musiał przyznać, że w starym umyśle mieszkała jeszcze fantazja. Bądź rutyna – w końcu doświadczenie miał Niemiec ogromne i niejedną raz zdarzało mu się widzieć podobne pozycje. Najdziwniejsze było, że to Anderssen grał jak maszyna, podczas gdy maszyna szukała posunięć godnych Anderssena, próbując stworzyć chaos na planszy.

Wkrótce okazało się, że nieskoordynowane próby maszyny to za mało na stetryczalego mistrza, i zawodnicy przeszli do gry końcowej. Oglądający byli zadowoleni. Już nawet nie starali się szeptać, by nie rozpraszać rodaka. Nic nie mogło zmienić wyniku. Paromat jednak nie składał broni i grał do końca, stawiając zadziwiająco silny opór mocnym atakom białych. Tłum szalał ze szczęścia. Tylko Wacław miał ponurą minę.

Wreszcie mat. Koniec rzezi. Do szachisty rzucili się już pierwsi, nieco bardziej podpici widzowie, aby uścisnąć mu rękę.

— To wielkie wydarzenie! Człowiek wygrał z maszyną!

— Niesamowite! Ale jak to możliwe, że ten złom jeszcze nigdy wcześniej nie przegrał? Gra wyjątkowo słabo.

— Może się przestraszył?

W zamieszaniu umknęło, że nagle szachownica zaczęła się przekręcać, a paromat w gorących obłokach powoli układał bierki. Wreszcie ostro syknął, a z kieszeni wyskoczyła wcześniej włożona doń perforowana karta. Śniady chłopaczek chwycił ją i spojrzał ze zdziwieniem. To sprowadziło na salę ciszę.

— Co się stało?

Młodzik powiedział coś w swoim języku do stojącego z tyłu opiekuna, a ten wyjaśnił:

— Nasz mistrz pragnie rewanżu.

Wtem maszyna zagrała swojego królewskiego piona o dwa pola do przodu.

— Ho, ho! Jeszcze mu mało?

Anderssen skrzywił się. Na twarzy miał wypisaną wściekłość. Chciał wziąć już swoją dolę i uciec, wykonał swoją część umowy. Nie mógł jednak tego zrobić. Rzucono mu wyzwanie. W domu gry. A tutaj nikt nie może odmówić.

— Panie i panowie! Ponownie przyjmujemy zakłady! — zaanonsował kamerdyner.

Niemiec wykonał swój ruch. Kilka pierwszych posunięć wyglądało identycznie jak we wcześniejszej partii. Aż do czwartego ruchu białych. Paromat wreszcie pokazał, na co go stać, i zagrał dawno nieużywaną, ale niezwykle spektakularną odmianę obrony dwóch skoczków o wdzięcznej nazwie „atak smażonej wątroby”.

„Atak smażonej wątroby” to, jak uważał Sarment, najpiękniejszy z szachowych debiutów, prowadzący do krwawej kombinacyjnej walki, trzymający czarne w ciągłym napięciu i pod presją. Polega na błyskotliwym poświęceniu skoczka w zamian za piona oraz wyprowadzeniu czarnego króla wprost na środek planszy, gdzie ten nie zazna już spokoju. Anderssen uświadomił to sobie w jednej chwili. Zbladł i cofnął dłoń, już wyciągniętą, by ruszyć się równie szybko, jak w poprzedniej grze. Tym razem jednak należało wszystko przemyśleć, przeanalizować. Jeden błąd w tego typu partii i wszystko stracone. Czarne, zgodnie z nazwą otwarcia, są martwe jak usmażona wątroba.

Kąciki ust sztucznego szachisty uniosły się, tworząc parodię uśmiechu. W sali tymczasem nikt nie podzielał entuzjazmu maszyny.

Parę posunięć później, rozegranych w całkowitej ciszy nieprzerywanej nawet dźwiękiem kuli toczącej się w ruletce, Niemiec poddał partię. Wstał powoli od stołu, jakby niedowierzając temu, co się stało. Odwrócił się na pięcie, starając się trzymać głowę wysoko. Wychodził z sali w kłębach pary, której nagle pojawiło się jakby więcej.

Sarment również opuścił dom gry, śmiejąc się na myśl o jutrzejszym tytule w „Allensteiner Zeitung”: „Słaba wątroba Anderssena”, jeśli miałby się bawić w typowanie.

* * *



Pierwsza linia zdobyta

Jak donoszą nasi korespondenci przy oddziałach wojsk zakonnych, pierwsze przyczółki Wschodniobałtów zostały zdobyte! Nocny szturm na

pozycje gromad przygranicznego księstwka kijowskiego zakończył się całkowitym powodzeniem. Nasze dzielne wojska zajęły dogodnie miejsce wypadowe do dalszych działań. Armie i gromady Wschodniobałtów nie były zbyt liczne ani bitne. Poniesione przez nas straty są niewielkie, ale i tak panuje pełna gotowość w szpitalach polowych.

Jak wnioskuje nasi komentatorzy, po dokładnym zwiadzie terenu do dotychczasowych oddziałów zakonnych dołączą kolejne, do tej pory trzymane w odwodzie. Wieść niesie, iż na ich czele mogą stanąć Mistrz Joachim Kloew oraz Mistrz Helmut von Manfred, za operacje specjalne odpowiadać zaś może młody, lecz znakomicie wyszkolony w tego typu działaniach Heinrich von Gerth.

Depesza Zjednoczonej Republiki Francji i Hiszpanii

Do Wielkiego Mistrza Zakonu, jak i do innych przywódców państw Europy została wysłana depesza najwyższych władz francusko-hiszpańskich. W beczelnych słowach potępia ona rzekomą „napaść” na rozwarstwione i przez to pozbawione odpowiedniej siły obronnej państwka Wschodniobałtów. Francusko-hiszpańscy ministrowie stoją na stanowisku, iż atak uprzedzający nie może być uznawany za wojnę obronną. Jednakowoż nie dostrzegają oni, iż pruskie terytorium było wcześniej wielokrotnie naruszane przez bandy naszych wschodnich sąsiadów. W depeszy znajdują się również oszczerstwa, jakoby Zakon rozpoczął wojnę, by rozszerzyć nie tylko zakres swojego panowania na wschodzie, lecz także by mieczem oraz krwią „nawrócić” na luteranizm Wschodniobałtów, tak jak przed wiekami stało się to z rodowitą pruską społecznością. Zjednoczona Republika Francji i Hiszpanii nie pamięta chyba, iż ludność rodowicie pruska przyjęła chrzest z rąk Zakonu, a potem skoligaciła się z ludnością zakonną. Po częściowym zeświecczeniu Zakonu i powstaniu naszego Państwa nadano starym Prusom narodowość pruską,

podczas gdy ludzie związani z Zakonem otrzymali narodowość zakonną. Nasze narody od tyluż więc wieków współpracują ze sobą ku większemu dobru. To umyka uwagi autorów błazeńskiej depeszy. Odpowiednie noty z naszej strony zostały już rozesłane.

Wynalazcy z Nowej Anglii dla Prus Zakonnych

Zza oceanu docierają do nas bardzo życzliwe zapewnienia o oddaniu naszej sprawie. Wicekról Wybrzeża Wschodniego Ameryki Północnej pod protektoratem Króla Anglii wysyła nam serdeczne życzenia. Na słowach się jednak nie kończy. Jeden z wynalazców z Nowej Anglii przesyła nietypową propozycję pomocy. Alexander Graham Bell, bo tak imć wynalazca się nazywa, od kilku lat obywatel nowoangielskiej kolonii za oceanem, pragnie wspomóc naszą armię swoim najnowszym dziełem, które nazywa telefonem. Jest to eksperymentalne urządzenie przesyłające głos na odległość za pomocą drutu. Pomimo szczytnych intencji trudno jednak wskazać, w czym lepsze jest to dzieło od telegrafu, który od lat spełnia dobrze swoją funkcję w komunikacji. Nigdy jednak nie wiadomo. W końcu ostatnimi dniami okazało się, że rewolucyjny paromat szachowy, bądź co bądź również wynalazek, potrafi wygrać z szachowym arcymistrzem. Przyszłość niechybnie należeć będzie do ludzi nauki.

Gwiezdne wróżby Hendrietty

Na tydzień przyszły równoległość Księżyca z Jowiszem zwiastuje dobrobyt w sprawach finansowych, jednakże też niepokój na sercowym polu. To dobry okres na inwestycje, należy się za to pohamować od poważnych decyzji prywatnych. Umiarkowanie na zdrowie wpływa zestawienie w jednej linii Marsa z Neptunem oraz Uranem.

Opary według Hansa Groblera (powieść w odcinkach) – część 103

Patrzyła w jego zdziwione oblicze, zastanawiając się, czemu nie zorientował się wcześniej. Musiał czuć niepokój, nie był głupi. Po prostu zbagatelizował go, odsunął, licząc na szybki zarobek. Domyślał się, ale nie dopuszczał zwątpienia do głosu. Nie miał jednak pełnego obrazu, nie mógł poskładać go sobie, dysponując zaledwie kilkoma kawałkami.

A przecież jeszcze wczoraj, mój Boże..., pomyślała. Jeszcze wczoraj śmiał się do niej, starając się rozwiać ponurą atmosferę spotkania, na którym powtarzali plan. A teraz leżał bez życia wśród reszty.

– To nie twoja wina – powiedziała do siebie. – Gdybyś wiedział, co czeka nas potem, byłbyś wdzięczny.

Szybko wstała i rzuciła się do ucieczki. Właz już się uchylał, zaraz zauważą zwłoki, zejść do kanałów, by kontynuować pościg. Do tego czasu musiała być jak najdalej stąd.

Ledwo skręciła na pierwszym rozwidleniu, kiedy w korytarzu rozległ się potworny huk. Upadła, ogłuszona, ale szybko się podniosła, zwalczając osłabienie. Znała już to uczucie. Pamiętała je doskonale. To był granat odłamkowy, siejący w kanałach prawdziwe spustoszenie. Kto stał w zasięgu eksplozji, nie miał żadnych szans na przeżycie, reszta zaś w pobliskich odnogach bezradnie padała na kolana. Zwielokrotniony wybuch rozrywał bębunki, ludzie krwawili z uszu, tracąc orientację. Ale nie ona, ona była na to gotowa.

Biegła dalej, postępując zgodnie z otrzymaną wcześniej instrukcją, starając się zwiększyć dystans. Policmajstrzy musieli przeczekać, aż opadnie pył. Później zejść i przez parę chwil nie będą wiedzieć, w którą stronę iść. Rozdziela się więc i któryś trafi wreszcie na jej trop. Na górze tymczasem przygotowują kolejne grupy, by rozesłać je w dalsze rejony kanałów. Zrobią to, do czego są przygotowani. To, czego uczono ich od dawna, spodziewając się podobnej sytuacji.

Po kilku minutach zatrzymała się i spojrzała na mapę. Na włączu nad nią powinien znajdować się umówiony znak. Włączyła lampę. Był tam.

Więc wyszła. Wyszła z powrotem na powierzchnię. Nad miastem na dobre zapadł już zmrok. Latarnie paliły się, lecz ich światło nie rozjaśniało niczego.

Schowała pakunek pod połę płaszcza, który zdarła z ciała jednego ze złodziei. Z zadowoleniem zanotowała, że opary rozrzedziły się i nieliczni o tej porze spacerowicze ściągali maski z głów. Daszek czapki spuściła na twarz, kołnierz zaś powędrował do góry.

Teraz tylko wrócić tam, skąd przyszła.

Do świątyni, z której ukradła dziś kryształ.

W następnym odcinku groźne spotkanie!

* * *

Umyślny pojawił się znikąd, niczym kuglarz, jeden z tych, jak Sarment sądził, zbyt szumnie zwanych prestidigitatorami. W jednej chwili w obserwowanym przez kabalistę miejscu padał deszcz, w drugiej zaś krople połączyły się w magiczny sposób i uformowały chłopca. Młodzieniec osłaniał się parasolem, a mimo to przemókł do cna. Stał prosto niczym słup telegraficzny, a jego usta to otwierały się, to zamykały – wszystkiemu zaś towarzyszył niepewny, jękliwy odgłos.

— Zgubiłeś się? — zagaił, wlepiając badawcze spojrzenie w dziecko. Potem rozejrzał się za progiem domu, chcąc sprawdzić, czy w pobliżu nie ma nikogo innego. Zasłona deszczu była jednak zbyt gęsta i nie dostrzegł niczego poza szaroniebieskim wachlarzem kropel falujących na wietrze.

Chłopiec znowu otworzył usta i jęknął, po czym wcisnął Sarmentowi w dłoń mokry, lepki zwitek. Następnie zniknął tak samo niespodziewanie, jak się pojawił.

„Jutro. Po zmroku. Znajdziesz mnie w Kortau”, głosiła wiadomość spisana tanim atramentem.

Więc jutro, pomyślał kabalista, wystawiając papier na deszcz, by zmył doszczętnie i tak ledwie czytelne litery. Nie zamknął drzwi. Stał tak, ciesząc się rześkością chłodnej ulewy. Pierwszy raz od dawna nie doskwierała mu alergia. Mógł odetchnąć pełną piersią bez ryzyka wzniesienia szaleńczego napadu kaszlu.

Oślaniając się parasolem, wyszedł w deszcz, by skorzystać z ostatnich spokojnych chwil przed szaleństwem, do którego zbliżał się od bardzo, bardzo dawna.

* * *

Następnego dnia kluczył po mieście, licząc na to, że uda mu się zgubić ogon. Jeżeli oczywiście ktoś go śledził – Waclaw tego nie wiedział, wołał jednak nie ryzykować. Celowo więc zahaczał o każdy przybytek, w którym mógł strawić trochę czasu. Przy okazji przyglądał się życiu Allenstein. Podśluchiwał nerwowe rozmowy, wpatrywał się w zatroskane oblicza matek, które właśnie zwierzały się sąsiadkom oraz przyjaciółkom, że oto ich chłopcy dostali wezwanie pod broń. Zdziwiło go to, sądził, że Zakon jest samowystarczalny, że ma dość ludzi, by wysłać ich w bój. Okazało się jednak, że przynajmniej niektóre oddziały formowano z cywili.

Po starówce przechadzało się więcej patroli niż zwykle. Bracia zakonni przemierzali wyboiste uliczki, zamiatając bruk mundurami-habitami. Wypolerowane rękojeści broni palnej groźnie połyskiwały. W „Gazecie Olsztyńskiej”, w której próżno by szukać relacji z niedawnego szachowego meczu pomiędzy paromatem a Anderssenem, gruchnęła wiadomość o możliwym zamachu bombowym planowanym przez mniejszości bałtyckie wespół ze wschodniosłowiańskimi. Według gazety akt ten miał się odbyć gdzieś w ważnym punkcie miasta. Sarment zdążył się już jako tako rozeznać w lokalnej polityce, by przymknąć oko na działalność polskiego szmatławca. Wydawała go rodzina Gotowców, dawni uciekinierzy z Korony. Ciążyły na nich oskarżenia o oszustwa finansowe.

Prusacy też zdążyli się na nich poznać. Nikt nie traktował poważnie tych szemranych wiadomości, spisanych tylko po to, by zwiększyć sprzedaż. Należało jednak zadbać o dotrzymanie wszelkich środków ostrożności. Nawet jeśli wieści były fałszywe, ktoś szalony mógł dopomóc im się ziścić.

Sarment przysiadł na jednej z ławeczek przy zegarze słonecznym ulokowanym na południowej ścianie budynku biblioteki – w samym środku miasta. Wyjął z kieszeni fajkę i kapciuch. Rzadko palił, ale czasami się zdarzało. I tak nie miał nic innego do roboty. Do zmierzchu zostało jeszcze parę godzin. Nabił więc wrzoścówkę aromatycznym tytoniem, sprowadzanym dla niego specjalnie z bałkańskich i greckich straganów, a potem pomyślał o przenośnym zestawie szachowym. Rozłożył go obok, by z pamięci odtworzyć ostatnio oglądane partie.

— *Guten Tag*, najdroższy panie!

Stał przed nim von Gerth otoczony wianuszkami młodych ludzi. Policmajster był uśmiechnięty i ktoś inny mógłby pomyśleć, że jest zadowolony. Głębokie zmarszczki na twarzy zakonnika skrywały napięcie, w pozornie swobodnych ruchach kabalista wyczytał zaś wykalkulowane aktorstwo, nieszczerą cudnie udającą naturalność. Urodzony śledczy musi jednak być po trosze aktorem.

— Pan pozwoli, to moja świta — dodał von Gerth. — Moi dwaj synowie. Oto Heinrich, starszy, tutaj zaś mamy Karla oraz Inge. Czyli młodszy z synów oraz jego towarzyska.

Gerhard von Gerth wskazał odpowiednio młodzieńca, którego lico chyba nigdy nie widziało brzytwy, potem drugiego o twarzy tak nienaturalnie gładkiej, jakby ten znowuż brzytwę widywał aż za często. Skinął na młodkę, której z oczu patrzyła ciekawość.

— To jest pan Wacław Sarment. — Starzec przedstawił kabalistę. — Gości w naszym mieście z wykładami na temat opanowanej przezeń sztuki.

— A cóż to za sztuka? — zaszczębiotała dziewczyna.

— Mistyka żydowska, panienko — odparł kabalista. — Zajmuję się badaniem magii mogącej ożywić martwe przedmioty, czy też tworzywa, aby być dokładnym.

Usta Inge otworzyły się w szczerym zdumieniu.

— To prawdziwy ekspert w tej dziedzinie — potwierdził Mistrz Policji.

— Czy nie mieliśmy w Zakonie kogoś o podobnej profesji? — odezwał się Heinrich. Brzmiał nazbyt gorzko jak na swój wiek. Niczym ktoś w najmłodszych latach odarty ze wszelkich złudzeń.

— Paul Hodmann, poznałeś go. Zaginął kilka dni temu.

— Och! — Dziewczyna ponownie otworzyła usta, zdziwiona.

— Też go widywałeś, najdroższa. Bywał na zamku kapituły warmińskiej — wyjaśnił Karl.

Jedno spojrzenie na braci, unikających swojego wzroku, wystarczyło kabaliście, by wiedzieć, że ta dwójka się nie znosi. Nieznacznie tylko skrywany grymas niesmaku na twarzy Heinricha, gdy młodszy brat mówił, świadczył o głębokiej niechęci. Znowuż teatralny uśmiezek Karla pokazywał, jak gardzi on Heinrichem. Obaj o tym wiedzieli, udawali przed ojcem, ale nie przed sobą.

— Przeszkodził panu w grze? — grzecznie spytał młodszy syn von Gertha.

— Ależ nie. Trudno jest grać samemu ze sobą. Po prostu przypominam sobie kilka wariantów i mocuję się z pamięcią.

— I kto wygrywa? — rzuciła wesoło Inge.

— Zapasy czy partię? — Sarment odparł pytaniem na pytanie.

Policzki młodej damy oblały się krwistoczerwonym rumieńcem, a w oczach tliły się płomyki zainteresowania.

— Jakież ślady? — drążył Heinrich.

Mistrz policji odchrząknął i powiedział:

— Dzieci drogie, przejdźcie się nad rzeczkę, za parę chwil do was dołączę.

Grupka posłusznie oddaliła się, von Gerth zaś przysiadł obok Wacława.

— Też kiedyś grałem w szachy — rzekł. — Byłem nawet niezły. Wie pan, żaden Steinitz, ale wśród amatorów nie było na mnie mocnych. Potrafiłem też zaleźć za skórę niejednemu słabszemu profesjonalście. Miałem bardzo dobre otwarcia, ale bywało, że gubiłem się w grze środkowej. Nigdy nie składałem jednak bronii i grałem do mata. Aż wreszcie przestałem, kiedy w absolutnie wygranych trzech partiach z rzędu zabrakło mi wyobraźni, by doprowadzić rzecz do końca. Miażdżące przewagi gubiły się w kilku ruchach. Nie potrafiłem znaleźć recepty. To naprawdę żenujące, taka szachowa ślepotą.

Kabalista zmarszczył czoło.

— Niech pan sobie wyobrazi taką sytuację...

Wziął bierki i rozstawił je na szachownicy.

— Rzecz jest banalnie prosta. Jak pan widzi, biały król znalazł się w więzieniu, osaczony w kącie. Do mata tylko kilka ruchów. Jest nieuchronny, można go tylko nieco odkładać w czasie. Ale przeciwnik należy do tych upartych, jak ja, więc próbuje do końca. Wreszcie także okrąży mojego króla. To prawdziwe widły. Goniec tuż obok mojego hierarchy, czeka na upadek, ale jeszcze nie teraz, bo za chwilę obroni go hetman przy bocznej linii. Na dodatek ten skoczek tutaj już go kryje. Grozi mi mat w dwóch, jeśli czegoś nie zrobię. Tylko co? Jak pan sądzi?

— Ma pan inicjatywę, można szachować, w razie czego poświęcając jedną z wież.

— O tym samym pomyślałem. I tak też zrobiłem.

Prusak wykonał kilka posunięć, nieustannie szachując białego króla. W końcu jednak stało się jasne, że król w ciągu kolejnych ruchów znajdzie jednak bezpieczne schronienie tuż przy samych czarnych pionach.

— Widzi pan, brawurowy upadek.

— Rzeczywiście...

— A teraz, co należało zrobić. — I starzec na nowo ustawia figury na swoich miejscach kompozycji, po czym bierze wrogiego konia hetmanem.

— Więc teraz biały hetman o, tuż na boczną linię. No i mat w jednym.

— Nie widzi pan?

— Czego?

Von Gerth przesuwą pion o jedno pole, otwierając swojemu hetmanowi drogę do zablokowania ataku.

— W przypadku szachu idzie hetman za hetmana, a król zgarnia gońca. Reszta jest tylko powolnym zbieraniem owoców z bogato rozgałęzionego drzewa — wyjaśnia.

Sarment otworzył usta ze zdziwienia.

— Ale czemu Mistrz mi o tym mówi?

— Bo któregoś dnia podobna sytuacja może się powtórzyć w pańskim przypadku. Mamy świadka, który potwierdza, że znał pan Paula Hodmanna. Coś mi podpowiada, że dowiem się więcej, a wtedy pana ustawienie rozsypie się gdzieś pośrodku, jak to tutaj. Końcówki, proszę pana, wtedy w ogóle nie będzie.

— Nie wiem, o czym mowa...

— Frak leży dobrze dopiero w trzecim pokoleniu, *Herr* Sarment. Na pana nie pasuje, choć bardzo by pan chciał, aby było inaczej.

Staruszek wstał, poprawił mundur-habit i przesadnie uprzejmym tonem oznajmił:

— Teraz najmocniej przepraszam, muszę wrócić do mojej świty. Miłego dnia życzę.

Nagły powiew wiatru zrzucił kilka figur z przenośnej deski. Zostawił tylko białego hetmana i czarnego króla.

* * *

Słońce kroczyło w dół ulicy wraz z Sarmentem. Kabalista wyobrażał sobie, że zaraz i on dojdzie do tej magicznej linii horyzontu, by zapaść się pod ziemię, a następnie narodzić dnia następnego. Jednak żaden z kroków nie przybliżał go do tego, a Waclaw, pełen ponurych myśli, wyczytywał w tym metaforę swoich własnych dążeń. Nie było bowiem chwili, w której Żyd nie powtarzałby sobie, jak niedaleko jest celu, a przecież czuł, że zmierzając doń, nie zdoła go osiągnąć.

Te myśli nachodziły go coraz częściej. Osaczały i nie pozwalały się skupić. Szedł dalej, ze słońcem u boku. W jego promieniach widział to, czego pragnął, ale drogowskazy światła stopniowo gasły, szarzały.

Kim był ów świadek, o którym mówił stary von Gerth? Czy zakonnik blefował? Liczył, że może zasiać ziarna zwątpienia wszędzie, gdzie podpowiada mu intuicja, a w końcu któreś zakiełkuje? Ktoś straci cierpliwość? Komuś rozwiąże się język? Ktoś popełni błąd? Mógł na ślepo rzucić oskarżenia, myśląc, że prędzej czy później trafi na właściwy trop.

— I trafił — mruknął Waclaw sam do siebie. — Trafił, pies.

Do swojej kamienicy doszedł już nie niepokojony. Przez korony wielkich, rozłożystych drzew spojrzął na ostatnie żaloszne promienie słońca, a potem obserwował świetlistą lunę nad horyzontem. Wreszcie nacisnął klamkę drzwi wejściowych i udał się do pokoju przeczekać.

Nie chciał wychodzić w mrok. Bał się, że ktoś go obserwuje. Że każdy jego ruch rejestrują złe oczy, a żaden czyn nie umknie wrogiej uwadze.

Musiał jednak iść do Kortau, ktoś tam na niego czekał. Tam w mroku, wśród murów szpitala, były odpowiedzi, które powinien poznać.

Wpatrywał się nerwowo w gęstniejący mrok, aż zapadła całkowita ciemność, a z oleistej czarnej nocy zaczęły się wyłaniać kształty drzew i pobliskich budynków. Minęła godzina lub dwie i decyzja zapadła nieświadomie. Budziła się w nim, odkrywała leniwie, wygrzebywała z wątpliwości.

Aż wyszedł.

„Znajdziesz mnie w Kortau”, napisano w notce. Tylko tyle, nic więcej. Żadnych szczegółów. Ani godziny, ani dokładnego miejsca. Sarment więc szedł po prostu w stronę szpitala, najpierw okrążył go, by potem nieśmiało przejść przez niezamkniętą bramę.

Znalazł się wśród budynków z czerwonej cegły. Zdziwiło go, że nikt nie pilnuje terenu. Zza okien dochodziło światło lamp naftowych, nie było jednak nikogo, kto miałby na oku wejście do szpitala.

Kilka brukowanych ścieżek prowadziło w głąb zakładu, ku jezioru. Waclaw dał się poprowadzić nad zmaconą silnym wiatrem wodę. Twarde, wyboiste podłoże przeszło w piaszczystą, pochylającą się ku wodzie plażę. Mokry grunt zapadał się lekko pod stopami. Sarment nie mógł się pozbyć wrażenia, że stąpa po glinie.

I wtedy usłyszał krzyki.

Są różne krzyki: głośne i ciche, piękne lub straszne. Krzyki radosne bądź smutne, krzyki rozpaczycy oraz żalości, a także po prostu żalosne. Krzyki pachnące przyjemnością czy smutkiem. Pełne furii, a zarazem bezsilne. Krzyki, jakie ludzie wznoszą wśród innych, ale też krzyki samotne. Długie, przeciągłe. Krótkie, urwane. Krzyki serca i sumienia. Krzyk matki wołającej syna; żony wzywającej męża; krzyki dwojga ludzi, którzy myślą miłość z nienawiścią bądź nienawiść z miłością. Ostatnie i pierwsze.

Są krzyki same dla siebie.

Są krzyki bez znaczenia.

To zaś były krzyki wściekłości.

Ruszył w tę stronę. Dobiegały, przytłumione, spomiędzy drzew na granicy jeziora i puszczy. Nie sposób było odróżnić słów. Sarment zszedł z ubitych ścieżek. Minął mały kanał rzeczny z parostatkiem zacumowanym w niewielkim porcie. Kilka łódek uderzało o brzeg – w bale drewnianej zabudowy. Wacławowi przez chwilę wydawało się, że spod falującej wody wyłoni się blada ręka Paula Hodmanna. Chwyci go za nogawkę i pociągnie za sobą w zimne głębie.

Las był ciemny. Warmińska puszcza, gęstsza niż noc i równie niebezpieczna. Zakon wyrznął rdzennych mieszkańców tej ziemi, wykarczował lwią część lasów, postawił warownie, które oparły się niszczycielskiej sile agresywnych sąsiadów, ale nie zdołał sięgnąć wszędzie. Zbrojna dłoń wojowników Boga nie zabiła wszystkiego. Co roku w głuszach ginęli ludzie – błądzili i wpadali w sidła drapieżników lub potworów, jak mawiał zabobonny gmin. Sarment nie wierzył w te opowieści, nie wiedział już, czy wierzy w cokolwiek, ale teraz przypomniały mu się matczyne legendy pełne dybuków o licach czarnych niczym smoła i szponach długich jak noże skrytobójców.

Strach, o dziwo, napędzał go. Szedł coraz szybciej, nie zważając na potknięcia, zadrapania czy hałas. Zatrzymywał się tylko co kilka kroków, by lepiej zlokalizować, skąd dochodzą wrzaski. Rozróżniał już dwa głosy – pełne wyrzutów, ociekające nienawiścią. Czy czekali na niego? Czy to ktoś inny? Nie wiedział.

Księżyc wyłaniający się zza chmur rozjaśnił gęstwinę. Kabalista wypatrzył wąską ścieżkę, która prowadziła na skraj niewielkiej polany. Był blisko. Bardzo blisko.

Wreszcie ich ujrzął. Heinrich i Karl von Gerthowie – ubrani odświętnie, stojący naprzeciw siebie, wymachujący w gniewie rękoma.

— Ona cię zdradza! — krzyczał starszy z braci. — To nie partia dla ciebie!

— Mówisz tak, bo sam byś ją chciał, ale niedoczekanie! Jest moja!

— Ty głupcze! Nic do niej nie mam!

— Pamiętam te twoje spojrzenia, te gesty! Od początku wpadła ci w oko, przyznaj się! Ale nie miałeś dość śmiałości, a teraz jesteś wściekły, że twój młodszy braciszek okazał się lepszy od ciebie!

— A w czym niby?!

— Mnie ojciec uwielbia, ciebie wysyła na wojnę. I to jeszcze w jakim batalionie! Cóż za honor, Mistrzu von Gerth, prowadzić takie ścierwa na Moskwę, podczas gdy tutaj inni będą szczęśliwi. Mnie czeka spokojne życie, a ciebie tam co? Gardła podrzynać będziesz. Do tego tylko się nadajesz.

— Ona cię zdradza! Musiałem cię ostrzec, zanim wyjadę. Zrobisz, co uważasz.

— Zazdrościsz mi, ty oszczerczy psie! Nożowniku. Myślisz, że nie wiem, czego was tam uczą za murami kapituły? Na pewno nie modlitw.

— Wykorzystuje cię do pomnożenia majątku. To sprytna dziewczka. Jak możesz tego nie widzieć?!

— Przestań! To za niskie nawet dla ciebie!

— Dobrze, więc powiem. Zmuszasz mnie. Nie wiem, gdzie zgubiłeś oczy, ty rozpieszczony idioto! Ona była ze mną, zanim wlała ci do łóża! Gdy dowiedziała się, że jadę na wojnę, od razu zmieniła sobie faworyta!

— Kłamiesz! Kłamiesz! Kłamiesz!!!

Rozjuszony do granic możliwości Karl wpadł na brata i powalił go na ziemię. Zaskoczony Heinrich nie zareagował. Dostał pięścią w twarz.

Potem drugi raz. I znowu. Krew, ciemna w półmroku, trysnęła na trawę. A Sarment patrzył, oniemiały.

W jednej chwili furiacki atak młodszego von Gertha urwał się. Z jego piersi wystawała rękojeść noża. Heinrich wyrwał ją i pchnął ponownie. A potem zrzucił truchło brata na ziemię.

I zapanowała prawdziwa ciemność.

* * *

Twarz Gottfrieda Manlicha to pęczniała, to robiła się smukłą. W tym tańcu obracała się w nienaturalny sposób i wykrzywiała. Wacław w pierwszej chwili pomyślał, że wciąż śni, a potem, że to jego własne oblicze odbija się w iluzjonistycznych zwierciadłach.

Lustrzane usta otwierały się i zamykały. Mówiły coś, zniekształconym głosem, który przechodził z głębokiego basu do piskliwego altu. Istna kakofonia, jak w bożnicy podczas koncertu chóru pejsatych młodzieńców.

Ktoś podsunął mu jakieś naczynie. Płyn był zimny i gorzki. Nie chciał przejść przez gardło, a gdy w końcu się to udało, natychmiast wracał tą samą drogą, którą przybył. Jakaś ręka zasłaniała mu usta, druga trzymała za włosy. Szarpnął się. Nie pomogło, wierzgnął więc ponownie i wtedy odkrył, że jego dłonie i stopy są przywiązane do krzesła.

Świadomość wracała powoli, świat przestał wirować, kształty znów przybierały swoje naturalne formy, a dźwięki stawały się coraz wyraźniejsze. I głośniejsze.

— Ciszej... — Nie poznał własnego głosu. Wydobywał się z jego gardła, ale był obcy. Lepki i kwaśny. Sylaby ciągnące się bez sensu, litery rozdrabniane, ociekające zmęczeniem.

I ten ból z tyłu głowy – dyrygent fałszującej orkiestry zwanej jego własnym ciałem.

Kiedy wreszcie zdołał skupić wzrok, a słuch odzyskał dawną ostrość, zaatakował go smród. Duszny, wszechogarniający odór niemytego ciała. I ubrań pachnących naftaliną. A także różnego rodzaju mikstur w nieszczelnych flaszkach o rozmaitym kształcie.

Był w laboratorium alchemicznym, a przed nim siedział na krześle Gottfried Manlich i roztrzęsioną ze szczęścia dłonią próbował wkluć się w żyłę.

— Nienawidzę cię — powiedział, puszczając zębami tasiemkę. Sam jego oddech mógł zabić. — Nienawidzę cię tak, że nawet sobie tego nie wyobrażasz. Ale jest w tym coś czułego, zapewniam. Nienawidzę cię bowiem tak, jak tylko przyjaciel potrafi.

W jego oczach pojawił się błysk morfinowej ulgi, a ręce uspokoiły się. Fala odprężenia spłynęła po całym ciele, czyniąc go najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

— Wiesz, jak to jest? Jeśli nie wiesz, to nieszczęsny z ciebie człowiek. Każdy tego powinien zaznać. Przyjacielska nienawiść, przepiękny paradoks. Siła wzmożona dawną miłością, piekielnie drapieżna, nieobliczalna. A jednak pełna wspomnień dobrych chwil. Bo nie wiesz tego, ale my jesteśmy przyjaciółmi. Choć nigdy wcześniej się nie znaliśmy, a to nasza pierwsza rozmowa.

Wacław pomyślał, że też został czymś odurzony – śni narkotyczne wizje, nierealne miraży, jego umysł tłumaczy sobie omamami, w chory sposób, że coś jest nie tak. Zapragnął dotknąć Manlicha, poczuć, jak pod dotykiem postać rozpływa się niczym obłok pary. Chciał rozmazać go na płótnie fałszywej rzeczywistości. A potem obudzić się wreszcie.

Ale mężczyzna mówił dalej:

— Cóż to były za chwile! Przeważnie bolesne, ale jednak ciekawe. Dużo mi dały, choć też zniewoliły. Ale dzięki tobie, twej nieustannej, uporczywej, nachalnej obecności w moich myślach, poznałem, co jest po

drugiej stronie. Wiem o tobie wszystko, przyjacielu. Wiem o twojej żonie, wiem o Hodmannie...

— Co...

— Nie przerywaj mi! — ryknął Manlich, unosząc się z krzesła. Pochylił nagle poczerwieniałą twarz ku kabaliście, aż ten poczuł nieznośne ciepło jego oddechu. — Nie waż się! Ja nie chcę z tobą rozmawiać! Tyle lat nie rozmawiałem z tobą i teraz też się obejdzie! Nie chcę rozmawiać! Ja przemawiam, *Scheisse*! Ja tu przemawiam!

Dyszał wściekle nad głową Waclawa. Stopniowo furia schodziła z jego oblicza, ustępując miejsca szczęściu morfinisty. I uldze, którą w końcu zaznał.

— Wiem o tobie, bo widzę cię w swoich wizjach. Każdy twój ruch, każdy gest. I słyszę wszystko. Wiem, że szukałeś mnie w domu gry. Wiem, że widziałeś mnie na brzegu rzeki. I tak wiem, jaką masz umowę z tą polską krętaczką oraz jak Biedemayer z von Gerthem depczą ci po piętach. Widziałem, jak wbijasz ten nóż w ciało Hodmanna. On już nie żył, głupku, a ty dźgałeś dalej. Po co? By zagłuszyć sumienie. Krzyczało tak głośno, musiałeś je zabić wraz z zakonnikiem. Nie oceniam cię. Bóg jeden wie, że jesteśmy tacy sami. Niejako, heh, z jednej gliny...

Mężczyzna wyjął papierośnicę z wewnętrznej kieszeni garnituru uszytego z prążkowanego materiału. Wyciągnął jedną cygaretkę.

— Poczęstowałbym cię, ale wiem, że tego nie lubisz. Ale to gnieźnieńskie, więc może jednak? — Zaśmiał się. — Tak, widzisz... Jesteśmy z jednej gliny. Ty i ja służymy tej samej sprawie. Obu nas wybrano, byśmy zobaczyli prawdę i nieśli ją dalej. Ty dopiero ją poznasz, ja już ją znam. Znam przyszłość. Została mi objawiona. To zrujnowało mi życie, choć otworzyło też oczy. Wiesz, że prawda nie wyzwala? Ona zakuwa w kajdany, możesz mi wierzyć... Ale o czym to ja...? Ach tak, glina! Glina i prawda!

Wstał. Zaczął nerwowo przechadzać się po małym pomieszczeniu.

— Twój cel jest jasny. Chcesz wreszcie zrozumieć, co zabrało twoją żonę. Czemu, dlaczego tak okrutnie. Nikt tutaj nie może udzielić odpowiedzi na te pytania. Ale ktoś tam – tak! Ktoś tam – tak!

Wskazał sufit.

— Chcesz widzieć, widzieć wszystko. Zbliżyć się. Uzyskać odpowiedzi. Bo nie wierzysz już w prawdę. Bo prawda nic nie mówi. Ale do mnie mówi. Do mnie tak... Choć czasem wolałbym nie słyszeć. Tu właśnie się różnimy. Ja wierzę w prawdę i kocham ją szczerze. Ja słyszę. A ty nie wierzysz, nie kochasz i nie słyszysz. Ale wiesz, jak sprawić, by wierzyć, słyszeć i widzieć? Powiem ci sekret, chcesz? To ty odszedłeś od prawdy. Nie ona od ciebie.

Zaciągnął się i wypuścił dym z ust.

— I właśnie dlatego, mój przyjacielu, cię nienawidzę. Bo ona kocha cię, mimo że na to nie zasłużyłeś. A ja nigdy się od niej nie odwróciłem i co z tego mam? Tę strzykawkę.

Zatrzymał się, po czym spuścił wzrok.

— A obaj jesteśmy narzędziami w cudzych rękach. Jest dla nas plan. Dlatego teraz rozmawiamy, choć niebiosą biorę na świadka, że wolałbym zarznąć cię jak świnię. Mam dla ciebie radę. Dzięki niej wypełnisz swój cel, a ja swój. I obaj dostaniemy, czego chcemy. Ty zostaniesz niewolnikiem takim jak ja teraz. A ja wreszcie przestanę nim być. Ja będę mógł odejść...

Manlich pochylił się i wyszeptał:

— Kiedy ona przyjdzie, kłam. Kłamiąc, przysłuchysz się prawdzie.

Podniósł się i przeszedł obok Sarmenta. Zza pleców kabalisty dobiegł dźwięk otwieranych drzwi.

— Kłam — powtórzył. — A wreszcie będziesz mógł zobaczyć i usłyszeć.

Potem nastąpiła długa cuchnąca cisza.

* * *

— To pomoże — mówiła kobieta, przykładając zimny okład do głowy kabalisty. — Przykro mi, nie lubię przemocy. Jednak była konieczna. Nie możesz wiedzieć, gdzie jesteś. Nikt z zewnątrz nie wie o tym miejscu.

Milczał. Dla pewności. Nie wiedział, na ile może sobie pozwolić. Po więzach wokół nadgarstków i kostek wnioskował, że nie na wiele. Starał się po prostu czekać. Musiał się dowiedzieć więcej. Cierpliwość mogła się opłacić. Do tej pory jedyne, czego był pewien, to że znalazł się wśród wyjątkowo niebezpiecznych ludzi. Takich, którzy czując zagrożenie, nie cofają się przed niczym. Manlich, człowiek niespełna rozumu, gadający zagadkami, i kobieta o tysiącu imion, zapewne żadnym prawdziwym. Alchemiczny gabinet, nocne porwanie...

Manlich. Kabalista nieustannie o nim myślał. Skąd ten szaleniec wie to wszystko? W narkotycznym transie wizualizował sobie najdziwniejsze scenariusze. Traf chciał, że prawdziwe. Wariat, który przypadkiem ma rację. Nie chciał się niczego dowiedzieć. Nie pytał, nie weryfikował.

— Przepraszam za Gottfrieda — kobiecy głos dobiegał z tyłu. Dalej nie widział jej twarzy. Ani razu nie spojrzała mu prosto w oczy. — On jest... On jest oddany sprawie, ale często mu się miesza. To zdolny człowiek, lecz ma wiele problemów. Zresztą, chyba zdążył się pan zorientować, *Herr Sarment*?

Przytaknął.

— On twierdzi, że to pan stoi za zniknięciem Paula — kontynuowała. Miała ciepłą barwę głosu, choć pobrzmiwało w nim zmęczenie. — To prawda?

Szaleniec Manlich... Mógł wymyślić wszystko, ale nie zdoła przecież odgadnąć prawdziwego celu, pomyślał kabalista, to niemożliwe...

— *Herr Sarment*, mam tu wiele narzędzi rozwiązujących języki. Straszne są te, które kaleczą ciało, ale zapewniam, że o wiele gorsze są te

raniące dusze. Nie chcę ich używać. Wierzę, że jest pan rozsądny. Wbrew pozorom nie zapadł na pana żaden wyrok. Nie jest pan też więźniem.

— Więc czemu jestem skrupowany? — zaryzykował.

Ucichła, a potem stanęła naprzeciw niego. Twarz pełna zmarszczek mówiła prawdę całą sobą. Z kieszeni wyjęła mały nożyk i przecięła więzy.

— Czy to oznacza, że mogę stąd wyjść? — spytał.

— Tak — odparła. — Oczywiście z workiem na głowie. I nogami do przodu, bo wtedy wyrok już zapadnie. Ja będę sędzią.

— Czyli jednak jestem więźniem.

— Nie. Ale musi pan koniecznie coś wyjaśnić. Do tego czasu zostanie pan tutaj. Jeśli nie znajdziemy wspólnego języka, będzie to jednoznaczne z tym, że Gottfried się jednak nie mylił.

— Kim on właściwie jest?

— Ach, chce się pan wpiery dowiedzieć kilku spraw. W porządku, to uczciwe. Przepraszam jednak z góry, bo prawdopodobnie niektóre rzeczy zostaną przemilczane, inne zwyczajnie zmyślane. Proszę zrozumieć, to dla naszego bezpieczeństwa. To miejsce, ci ludzie... To wszystko musi pozostać tajemnicą.

Odwróciła się i sięgnęła po jedną z butelek stojących na półce. Nieporadność jej ruchów potwierdzała wiek wypisany na twarzy.

— Manlich jest... — zaczęła z namysłem. — On niewiele o sobie mówi. Więcej plotą inni. Że jest opętany. Bądź po prostu szalony. Niektórzy chcieliby w nim widzieć kogoś więcej. Spędził wiele czasu w szpitalu w Kortau. Trafił tam po stracie rodziny, żona wraz z synem zapadli na dziwną chorobę, a lekarze podejrzewają, że dotknęła ona również jego, chora psychika zaś jest ceną za życie. To człowiek wielu talentów, biegły w tarocie. Trudno się jednak z nim pracuje. Nienawidzi ludzi.

— Mnie znienawidził — zachnął się Sarment.

— Tutaj każdy będzie pana nienawidził. Bo jest pan obcy. Bo jest pan Żydem. Bo wraz z panem nadeszły kłopoty.

— A pani?

— Czy ja nienawidzę? Nie. Nienawiść to zbyt cenny luksus.

Wacław wstał. Zawroty głowy zaraz znów sprowadziły go na krzesło. Wziął głęboki oddech i spytał:

— Które imię jest odpowiednie? Lora? Hilde? Inge czy Vera? A może Samanta?

Uśmiechnęła się, promieniejąc starym podziwem, często mylonym z szyderstwem.

— Żadne. I wszystkie.

— Kim pani jest? Para się pani alchemią?

— Kiedyś. Dziś strzegę.

— Tego miejsca?

— I ludzi.

— Hodmanna też?

Nie odpowiedziała. Jej wzrok spoczął na kabaliście. Nie był ani przenikliwy, ani zły. Właściwie w ogóle nie było w nim żadnych uczuć. Był za to doskonale pusty i dlatego przerażał.

Wacław po raz kolejny spróbował wstać. Ostrożnie, powoli. Chwytał oparcie krzesła i unióś się z siedziska. Zawisł tak, oczekując nawrotów mdłości. Wtedy kobieta podstawiła mu pod nos odkorkowaną buteleczkę. Zapach był wstrętny, ale, o dziwo, podzielał. Mężczyzna poczuł przypływ sił.

— Niech mi pan opowie o Hodmannie — poprosiła.

„Kłam”, powiedział szalenie, „Kiedy ona przyjdzie, kłam”.

— Jest w bezpiecznym miejscu — odrzekł. — Nie mogę jednak powiedzieć gdzie, bo nie wiem. Uznał, że tak będzie lepiej. Musiał się

zaszyć.

— Doprawdy? — Uniosła brwi z niedowierzaniem.

— Tak. Chodzi o formułę.

Jej oblicze nie zmieniło się ani trochę, ale kabalista poczuł, że trafił w sedno.

— Wiemy, o jaką formułę chodzi — brnął dalej. — O imię. O tchnienie.

Zdziwił się, że znowu nie przerwała. Nagle słowa popłynęły same – wylały się szybko i gładko. Aksamitna nić kłamstwa.

— To Zakon — mówił. — Zakon miał swoje własne plany. Nie chciał się zgodzić z jego wizją. Pani wie, co zamierzał. On chciał tylko stworzyć plastyczne protezy, dać nowe życie kalekom. Bał się, że nie zdąży.

Wtem usłyszał muzykę. Łagodną, cichą i słodką. I niepokojącą zarazem.

— Musiał uciekać — kontynuował. — Gdyby nie zbiegł, wypaczyliby jego dzieło. Nie miał pojęcia, do czego mogło im się to przydać.

Przerwał, muzyka grała coraz głośniejsze, rozpraszała go. Ciężkie dźwięki fortepianu i rozkręcający się powoli popis skrzypiec. A w tle kontrabas z chórem. Nie brzmiało to jak coś, co kiedykolwiek słyszał.

— Znaliśmy się dużo wcześniej. Pomagałem mu w jego badaniach nad gliną. Gdy tylko pojawiłem się w mieście, od razu nawiązaliśmy kontakt. Nie mogliśmy rozmawiać otwarcie, ale po każdym spotkaniu wciskał mi niepokojące liściki, a wreszcie postanowił zniknąć. Nie wiedział, komu ufać, więc zaufał mnie. Bo nie byłem stąd i nie byłem w nic zamieszany.

Andante fortepianu przeszło w *andantino*, skrzypce zaś grały już *moderato*. Rytm słów Sarmenta synchronizował się z nimi. Kobieta zaczęła się przechadzać, a jej kroki wyznaczały tempo pierwszego instrumentu. Wokaliza chóru współgrała wspaniale z kontrabasem.

— Był pewien, że go obserwowali i śledzili każdy krok. Umówiliśmy się więc, że pewnej nocy pośle umyślnego z bezwartościową notką. To miał być znak. Miał nadzieję, że ktokolwiek depcze mu po piętach, pójdzie za chłopaczkiem. W tym czasie on zamierzał się wymknąć. Miałem przyjechać automobilem w ustalone miejsce i wywieźć go z Allenstein.

Dźwięki rozrastały się. *Poco un poco* szybciej, choć dalej pomału. I romans instrumentów – uciekające skrzypce, goniący fortepian, na dywanie wokalizy chóru, na solidnej podłodze kontrabas. *Allegretto. Allegro.*

— A ja wróciłem. Żeby czekać. Być jego uszami i oczami. Nie wiem jednak, co robić. Nie mam z nim kontaktu, zniknął na dobre. A oni dobrali się do mnie. Myślą, że mam formułę, że mogę zrobić to, co on mógł. Osaczają mnie ze wszystkich stron. A teraz jestem tutaj, gdzie zaciągnięto mnie podstępem i siłą. Gdzie podobno nie jestem więźniem, ale gdzie mnie przesłuchujecie. Skończmy tę farsę.

Vivo. Vivace. A zaraz potem tempo jeszcze szybsze niż wcześniejsze. Tempo nienazwane, gdzie nuty kończą się, zanim zdążą na dobre wybrzmieć. Wybijane z furją na klawiaturze, uciekające spod smyczka. Wbijają się w czaszkę jak gwoździe – miażdżą i tną.

— I jeszcze ta przeklęta muzyka! — Kabalista krzyknął i złapał się za głowę. Chwiał się. Poczł ciepło wokół ust. Na podłogę spadły czerwone krople. Dotknął twarzy.

Krew.

Krew sącząca się z nosa.

— Muzyka? — odezwała się w końcu, ozywając się. — Słyszysz muzykę?

— Przestańcie! Przestańcie! — wył. Był już na kolanach, osuwając się powoli. — Przestańcie! Niech czarny rok na was spadnie!

Stracił wzrok. Wszystko zasłoniła jasność. Okrutna biel dźwięku wyrwała go ze świata i wrzuciła w studnię bólu. W ostatniej chwili uświadomił sobie, że śnił o tym dawno temu. Budziło go to w środku nocy. Z perfekcyjnej jasności w doskonałą ciemność. Umieranie i śmierć. Biel i czerń. Nic pośrodku. Żadnej szarości.

* * *



Niespodziewane przeszkody

Niemale zamieszanie zapanowało w obozie zakonnym na wieść o śmierci młodszego brata Heinricha von Gertha, który miał poprowadzić oddziały wojsk specjalnych na front wschodni. Karl, zabity w okolicach Allenstein, był najmłodszym synem Gerharda von Gertha – Mistrza Śledczego w Allenstein. Na znak szacunku oraz przez wzgląd na zasługi domu von Gerth dla ojczyzny kapituła Festung opuściła flagę państwową do połowy. We wszystkich świątyniach odbyło się nabożeństwo za duszę zmarłego. Na pogrzeb wstęp mieli tylko członkowie rodziny. Z tego powodu podróż na wschód oddziału starszego z braci opóźnia się, jednakowoż tylko o kilka dni. Wszyscy rozumiemy gorycz żałoby i łączymy się w bólu, przesyłając najszczerze kondolencje. Tym boleśnieszka to strata, bo w czasie wojny.

Postępy wojsk

Tymczasem armia maszeruje dalej na wschód. Nasi korespondenci donoszą, iż opór staje się większy, a rozdrobnione wcześniej watahy wroga grupują się oraz łączą. Nie jest jednakże spodziewana większa bitwa, póki nie nastąpi wyraźniejsza koncentracja wojsk Wschodniobałtów. Mistrzowie

oddziałów wdzierają się głębiej w teren, by być gotowymi w razie ewentualnego odwrotu. Jest to mało spodziewane, aczkolwiek konieczne. Ku zwycięstwu idzie się, patrząc w każdą stronę. Także za siebie. Nasi dowódcy dobrze o tym wiedzą.

Dalsze losy depeszy

Depesza wysłana przez Zjednoczoną Republikę Francji i Hiszpanii do państw Europy, o czym donosiliśmy w poprzednim wydaniu, jest szeroko komentowana na salonach wielmożów, a także staje się kwestią międzynarodowej debaty prasowej. Gazety Kolonialnego Imperium Niderlandów nazywają ją wprost skandaliczną i swoimi głośnymi słowami napęłniają otuchą nasze serca. Wielka Brytania oraz Królestwo Finów i Norwegów nie posuwają się tak daleko w ocenach, aczkolwiek w dyplomatycznych komunikatach zapewniają o wierze w powodzenie naszego przedsięwzięcia. Pragną wyrazić jedynie obawę o ludność cywilną księstw Wschodniobałtów. Kaiser w Berlinie wydał więc stosowne pismo przypominające wojskom zakonnym o podpisanej konwencji genewskiej. Koniecznością jest jej niezaprzeczalne i bezwarunkowe zaakceptowanie.

Ogłoszenia

Do pracy parobka. Kwaterę zapewniam. Kontakt ekonom Hufnarr, s. Ils 7.

Wyzbędę się mebli. Stołki, fotele, łoża małżeńskie, otomana. Do nabycia w sklepie Ursy przy Berlinerstrasse.

Podjęmę się dokształcania młodych panien w literaturze. Tutor Neuer, kontakt przez redakcję.

Malowanie portretów. Pisanie pamfletów. J.W. Gete.

Bank Geldsa pożyczczy na niewielki procent.

Akuszerka z doświadczeniem i podejściem. F. Nightingale, kontakt w dworku Jutrzenka.

Oddam lampę. F. Nightingale, kontakt w dworku Jutrzenka.

Tania apteka Sokrates przy wypożyczalni automobili Kanta. Maść na łuszczycę. Proszki na porost włosów. Zioła na przeczyszczenie.

Świeże kwiaty – pod cmentarzem miejskim.

Opary według Hansa Groblera (powieść w odcinkach) – część 104

Ile razy w ciągu jednego dnia można uciekać śmierci?, zapytała sama siebie, otwierając pakunek w brudnej bocznej uliczce. Gdzieś w górze, odbitym światłem, jaśniał pełny księżyc.

Kryształy parowały, tworząc wokół siebie nikłą mgiełkę.

– Szczęście kiedyś się kończy – dodała.

Poczuła lekkie odurzenie towarzyszące pierwszym wdechom oparów. To było jak narkotyk – wprawiało w mętny stan rozluźnienia, zrzucało wszelki ciężar z duszy. Obezwładniające uczucie upadającego człowieczeństwa. Pustoszyło umysł, oczyszczając go. Pozostawała tylko słodka pustka, w której chciało się rozpuścić, zatracić całkowicie.

Doskonale wiedziała, do czego to prowadzi. Kochała to jak wszyscy. A zarazem bała się jak nikt inny.

Płaszcz okazał się za długi i nogi same zaplątywały się weń, przez co marsz był utrudniony. Dla postronnych wyglądało to, jakby zataczała się,

zupełnie pijana. Błądnik nie otrząsnął się jeszcze do końca po wybuchu, co chwila więc traciła grunt pod nogami. Nieliczni spacerujący po zmroku, szukając nie wiadomo czego, odwracali na jej widok wzrok.

Wróciła do kamienicy, w której spotykała się z resztą. Okazało się, że jest pusta. Nikodem się spóźnił, co nie było do niego podobne. A może już tu był i wyszedł, nie mogąc się jej doczekać. Może pomyślał, że wszystko stracone, więc ewakuował się, nie chcąc wpaść w zasadzkę.

Usiadła w starym, zniszczonym fotelu i jeszcze raz spojrzała na zdobycz. Oparów było coraz więcej, wypełniały już całe pudełko. Gęstniejące wybawienie od trosk, znieczulenie – tym właśnie były. Słodkim zapomnieniem, regulatorem szczęścia. A jednocześnie trującymi wyziewami, od których długotrwałego wdychania umierało się w ciągu kilku godzin. Widziała już takie przypadki. Bywała na publicznych egzekucjach, niezwykle widowiskowych.

Przywiązywano człowieka do słupa i zdejmowano mu maskę. Później oczekiwano, aż opary wpełzną mu do płuc, doprowadzą do całkowitego zubożenia. Otepiały zbrodniarz wpierw śmiał się i rozkoszował własną śmiercią, a później zapadał w stan zupełnej katatonii. Wtedy wypuszczano go, by zgromadzony tłum sam się nim zajął.

To, co działo się wtedy, przekraczało wszelkie granice. Ludziom puszczały jakiegokolwiek hamulce. Zachowywali się jak zwierzęta, żądne krwi i igrzysk. Nie potrafiła wyrzucić ze swojej świadomości widoku niewzruszonego skazańca, okładanego przez setki pięści, kopanego, ponizanego. Jego twarz była doskonale obojętna, niezależnie od liczby otrzymywanych ciosów. Bez znaczenia były rany, złamania. Opary wyżerały mózg i duszę. Po kilku godzinach ekspozycji lud dostawał już tylko nic nieznaczącą powłokę.

To właśnie wtedy, podczas swojej pierwszej egzekucji, lata temu, podjęła decyzję, której realizacja zajęła jej całe życie. Los wszystkich

wreszcie znalazł się w jej rękach. Jej splamionych krwią dłoniach, niegodnych dzierżyć takie brzemie.

Nie było już jednak bardziej godnych od niej. Była najmniejszym ze wszystkich grzeszników.

W następnym odcinku kolejna tajemnica!

* * *

Kiedy się obudził, zobaczył jej twarz. Dostrzegł każdą emocję, którą starała się ukryć. Wcześniej nieodgadniona, teraz śmiesznie oczywista. Kiedyś zdawało mu się, że świetnie się maskowała, teraz jednak miał pewność, że po prostu prawda nie była mu dostępna.

— Wierzę ci — powiedziała. — Wierzę i pomogę. On cię wzywa. To znak.

— Kto? — wyszeptał.

— Głos. Muzyka. Słyszą to tylko ci, którzy muszą usłyszeć. — Zmarszczki w kącikach jej ust drgnęły. — Zaprowadzę cię do Wyroczni. Musisz jej wysłuchać.

Podawała mu dłoń. Grube palce, tłuste ramię. Dopiero teraz dotarło do niego, jak jest potężna. Uroda odpychająca na pierwszy rzut oka, lecz imponująca. Cała jej postać była wielkim oszustwem, maskaradą. Nagle pojawiło się w nim zupełnie niespodziewane przekonanie, że ona – kobieta o tylu imionach, a żadnym własnym – nie może umrzeć. Że coś trzyma jej życie i nie puszcza. A ona poddaje się temu, bo nie ma wyjścia. Co czyni ją podobną do morfinisty Manlicha, ale nie do końca. Ona odnajduje się bowiem w tej roli. I kiedy dopełni się czas, umrze szczęśliwa, spełniona.

Równie nagle Sarment poczuł żal i rozczarowanie.

Poszedł za nią. Opierał się o ścianę, bo dalej miał mdłości. W pomieszczeniu panowała wilgoć – znak, że znajdowali się w piwnicy. Najprawdopodobniej w pobliżu rzeki lub jeziora. Tych ostatnich nie

brakowało w okolicy Allenstein. Przeszli przez kilka pokoi, aż znaleźli się w ciasnym korytarzu, gdzie znów usłyszał muzykę.

Tym razem dźwięki były spokojne. Ścieliły się po podłodze, okrywały ściany, wirowały w powietrzu. Sarment oddychał muzyką, stąpał po niej, widział ją i słyszał. Jego serce biło do rytmu, ożywiając zmęczone ciało. Poczł się dziwnie spokojny.

— Gdzie jestełmy? — jego głos roznił się po korytarzach i wrłcił zwielokrotniony.

— Ciszej — szepnęła. — Tutaj rozmawiamy tylko szeptem.

— Gdzie jestełmy? — ponowił pytanie.

— W podziemiach Wyrocni. To jej strzeżemy. Ja strzegę. To wyjątkowe miejsce. Zsyła wizje, daje odpowiedzi.

— Wyrocnia? Jak w starożytnej Grecji?

— Tak, ale tutaj nie trzeba nic mówić. Wyrocnia zna pytania.

— To jakaś magia? Sztuczka?

— Nie nazywajmy magią rzeczy, których nie rozumiemy. To wiedza, gnoza. To poznanie inne od tego, do którego przywykliłmy. Dla chasyda mistyka jest chyba zrozumiała?

— Dawno przestałem być chasydem.

— Nigdy nie można wyrzec się tego, kim się jest. Choćbyłmy tego pragnęli najbardziej na świecie.

— Tak jak pani?

— Ja nie pragnę zamienić tego na nic. — Odwrłciła się i ułmiechnęła do Waclawa. Ułmiech był szczery, ale skrywał smutek, z którego najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy. Tak naprawdę pragnęła czego innego.

Kabalista zamilkł. Przystanął, starając się złapać oddech. Muzyka wybrzmiewała juź głołniej i zabierała powietrze z płuc. Cały korytarz

emanował dziwną energią. Ściany zdawały się drgać w rytm dźwięków. Podłoga pulsowała w takt.

— Zanim pan tam wejdzie, musi pan wiedzieć jedno.

— Pani nie wchodzi? — Sarment zdziwił się.

— Nie muszę. Wyrocznia dawno temu powiedziała mi wszystko, co powinnam wiedzieć.

Odwróciła się, zrobiła kilka kroków i usłyszała jej szept. Dochodził z bardzo daleka, choć przecież była tak blisko:

— Gdy będzie pan wewnątrz, może pan wybrać. Zostanie pokazana panu prawda o tym, co chce pan poznać. Można ją odrzucić. Można wybrać niepamięć tych chwil. Wystarczy nie spisać tego w leżącej tam księdze.

Dotarli do ciężkich drzwi, zaryglowanych na siedem kłódek. Znaki wyryte na nich wydawały się kabaliście znajome, ale nie potrafił odczytać ich znaczeń. Kobieta otwierała po kolei kłódki, potem odwróciła się. W oczach, wcześniej pustych, była teraz nadzieja.

— To tutaj — stwierdziła krótko.

— Chcę wiedzieć jeszcze jedno. Te listy, które Hodmann przekazał mi przed ucieczką. Wszystkie są do pani, ale nie ma żadnych odpowiedzi...

— Nigdy ich nie napisałam. Zawsze ktoś mu je przekazywał.

— Żeby nikt niepożądany do pani nie dotarł?

— Tak.

— A jednak komuś się udało. — Uśmiechnął się półgębkiem.

Strażniczka spojrzała z pobłażaniem.

— Pan był oczekiwany — odparła.

— Doprawdy? Więc po co te kajdany?

— Tak jak mówiłam, Wyrocznia odpowiada w sobie właściwy sposób.

— Obawiam się, że nie rozumiem.

— Za chwilę to się rozjaśni. Wyrocznia zawsze mówi prawdę. Nigdy jednak wprost.

Kobieta pchnęła drzwi, a muzyka stała się głośniejsza niż dotychczas.

* * *

Gdy zdjął worek z głowy, nikogo już przy nim nie było. Noc dopiero zaczynała połykać dzień, nadeszła jedna z tych chwil, kiedy z jednej strony nieba zobaczyć można jasność, podczas gdy druga tonie już w ciemności.

Powoli docierało do niego, co się stało. Przygasły płomyk nadziei rozgorzał teraz w pełni, przywołując wspomnienie wizji Wyroczni. Waclaw czuł, jak umysł miota się w ułomnym ciele, pragnąc raz jeszcze dotknąć czegoś niezrozumiałego. Drżał jak w gorączce.

Rozejrzał się. Siedział na suchej trawie w pobliżu miejsca, w którym go porwano. W oddali, spomiędzy drzew, dostrzegał czerwone ceglane budynki Kortau. Po drugiej stronie zaś, w puszczy być może leżał jeszcze Karl von Gerth.

Kabalista wstał i ruszył ścieżką w stronę szpitala. Co kilka kroków przystawał, nasłuchując, czy aby na pewno nie ma nikogo w pobliżu. Wolał pozostać w ukryciu, przynajmniej do czasu, aż dotrze do wynajętego na Berlinerstrasse pokoju. Tam, nienękany przez obce oczy, będzie mógł spisać formułę oraz obmyślić, co dalej.

A wiele jeszcze było do zrobienia.

Wszedł na teren ośrodka. Nieliczni pacjenci, pod czujnym okiem opiekunów, spacerowali pośród budynków. Patrząc na ubiory, łatwo było ich pomylić. Jedyne, co odróżniało chorych od pielęgniarzy, to zmęczony, powolny krok tych pierwszych. Snuli się jak duchy – w białych koszulach, z potępieńczym wyrazem twarzy. Niespiesznie, niczym z kulą przywiązaną łańcuchem do nogi. Zdziwiająca cisza wisiała w powietrzu – jakby placówka była domem pogrzebowym bądź dawno opuszczoną świątynią.

Słyszał tylko śpiew ptaków w koronach drzew. Nie było w nim jednak nic radosnego.

Kabalista wybrał rzadko uczęszczaną ścieżkę biegnącą przez zarośla. Skulony, osłonięty przed wzrokiem innych, zmierzał w stronę bramy. Stamtąd było już blisko do celu. Starał się skupić, ale głowę zaprzętały mu niedawne wizje. Towarzyszył im okrutny ból głowy, lecz także uczucie podniecenia. Wreszcie wiedział, dokąd iść. Poznał finał swej historii. Pozostało tylko iść po niewidzialnych jeszcze śladach. Do miejsca, gdzie jasne słońce przebija się przez konary drzew. Ich kontury to zdarzenia, które trzeba przeżyć, aby pójść dalej i stanąć w pełnej, niczym niezmaćconej jasności.

Jak podróż do Ziemi Obiecanej. Powrót na łono Syjonu, do którego tęsknią wszyscy z jego ludu. Wybawienie dla wybranych, dla prawowitych synów. Zahartowanych w drodze przez mękę przez tysiąclecia poniżeń i wojen. I to on jest najbliżej, już prawie u bram tego rajy na ziemi. Oto ironia losu. On bowiem nie chciał tam osiąść. Pluł na taki raj. Na szlaku do niego wiodącym za dużo stracił, aby teraz cokolwiek mogło mu to wynagrodzić. Nie, on nie chciał ogrodów Edenu. Jedyne, na co liczył, to odpowiedź: dlaczego Rachel? A potem zrozumieć, uśmiechnąć się i odejść, nie oglądając się za siebie.

W wizjach ujrzał, jak ogień zlatuje z nieba naprzeciw niego. Ogromna płonąca chata, która zmienia kształty, jakby ulepiono ją z gliny. Pojął, że to właśnie jest ów przedsionek, w którym będzie miał okazję dostrzec sens wszystkiego. Tam wreszcie popatrzy nowymi oczami – takimi, które przejrzą wszystko na wskroś. Takimi, które stworzy sam.

Oczami z gliny.

Oczami golema – bo czyż nie tym stworzył go Bóg? Człowiek to grzeszne i niszczycielskie odbicie Absolutu. Nie miał co do tego złudzeń. Te legendy o Żydach tworzących golema... Golemy tworzące golemy. Podejrzewał to od dawna, a proroctwa Wyroczeni tylko go w tym

utwierdziły. Aby zobaczyć pełnię wszystkiego, należy zaakceptować swoją prawdziwą naturę. Należy być golemem. Trzeba być tym, czym się jest naprawdę. Dopiero wtedy każda zagadka znajdzie swoje rozwiązanie. To jak powrót do raju.

A zarazem – jak zstąpienie do piekła.

Wymknął się bramą, gdy strażnicy zajęci byli innymi sprawami. Mimo to nie wyprostował się. Pochylony, szedł dalej. Nie wiedział, czego może się spodziewać. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło od porwania i czy nikt nie powiązał jego zniknięcia z ostatnimi wydarzeniami. Martwił go ten mord młodego von Gertha. Przeczuwał kłopoty.

Kamienica wreszcie wyłoniła się zza drzew. Wokół nie było nikogo, ale Wacław zawahał się. Coś było nie tak, instynkt zaś podpowiadał, aby sprawdzić z tyłu domu.

Wynajęty za ogromne pieniądze automobil Kanta stał na tyłach domu. Tam, gdzie go Sarment zostawił. Opadło na niego kilka liści. Kiedy się zbliżył, zauważył, że ktoś przebił opony. Wehikuł był uziemiony na dobre.

— *Halt!* — zagrzmiało z bliska.

Ani myślał się zatrzymać. Puścił się pędem ku gęstym zaroślom, w stronę jeziora w Kortau.

— Za nim, *Scheisse!* — rozległ się nerwowy rozkaz.

Wskoczył w krzaki, upadł. Kolce róż szarpały nogawki. Poczuł ukłucie, krew płynęła po łydce. Słyszał nawoływania oraz szybkie kroki kilku osób. W oddali zaczęły ujadać psy.

Odwrócił się, by ocenić, jakie ma szanse. Trzech zakonników w mundurach-habitach policmajstrów zbliżało się zbyt prędko. A za nimi, tuż obok jego wozu, zobaczył dwie znajome twarze.

Pomknął dalej, nie zważając na gęstwinę. Doganiali go. Dosłyszał, jak rozdzielają się, jeden odbija w lewo, drugi w prawo. Trzeci musiał być

wciąż za nim. Wiedział, że musi uciekać. I że jeśli czegoś nie zrobi, zaraz go złapią.

Dobiegł do zbocza i zaczął się wspinać stromym podejściem. Nie uszedł daleko, kiedy coś brutalnie ściągnęło go z powrotem w dół. Kopnął na oślep, trafił. Usłyszał ciche westchnięcie, leżąc, obrócił się i wyprowadził cios. Musnął powietrze przy uchu mężczyzny.

Gdy spadła na niego ciężka pięść, pomyślał, czym sobie na to wszystko zasłużył. Zdziwienie, jakie go ogarnęło, było bardziej bolesne niż cios. Uświadomił sobie bowiem, że nigdy wcześniej o to nie zapytał. Wątpliwość ta była zawsze obecna, lecz nigdy tak otwarcie.

Kolejne trafienie wyrwało go z myśli. Wściekłość spłynęła po palącym z bólu policzku wprost do serca. Wybuch, jaki nastąpił, przeraziłby każdego.

Silnym szarpnięciem zrzucił z siebie napastnika i dopadł do niego, zanim ten zdążył cokolwiek zrobić. Wykręcił mu rękę, trzasnęła w nadgarstku, a potem tłukł – długo, powoli, z mocą. Twarz zakonnika spływała krwią. Lała się z nosa, z pękniętych warg i łuków brwiowych. Mężczyzna próbował się zasłonić, ale musiał stracić przytomność, przestał się bronić, a z ust nie wybrzmiewał już jęk sprzeciwu. Sarment bił dalej, aż poczuł, jak jego jestestwo oddala się, nasycone przemocą. Ucieszył się. Oto spełnił się pierwszy obraz wyroczni. Jego dusza odsuwa się, zatracą, a umysł oczyszcza z każdej skazy. Ten cudowny krok. Krok dalej. Pierwsze drzewo zasłaniające słońce. To już za nim. Stawał się tym, kim musiał się stać.

Podniósł się znad ciała, nie sprawdzając, czy mężczyzna żyje. Nie obchodziło go to. Już znał drogę.

Musiał wytropić Gottfrieda Manlicha. I starszego z braci von Gerthów. A potem musiał wyłupić im te chytre oczy.

* * *

— To trudne — powiedziała.

— Ale nie niemożliwe — namawiał.

— Wiesz, o co prosisz?

Apolońska nerwowo uderzała wypielegnowanymi paznokciami o blat starego stołu. Cała spięta, przestraszona. Odwracała wzrok, jakby widok twarzy kabalisty sprawiał jej ból.

Po raz pierwszy od lat miała wątpliwości. Nie te zwykłe – jak coś zrobić, jak załatwić zlecenie. Nie te, czy rzecz się kalkuluje, czy też lepiej nie podejmować się zlecenia, choćby opłacalnego. Bilans zysków i strat nie dotyczył tej sprawy. Apolońska po raz pierwszy od lat miała wątpliwości moralne i czuła, że tym razem może naprawdę żałować jakiegokolwiek decyzji.

Sarment nie prosił właściwie o nic. O drobiazg raptem – gdyby okoliczności były inne, zapewne tak by myślała. Patrzył z okrutną rozkoszą na jej strapioną twarz. Usilnie próbowała nie dać poznać po sobie zakłopotania.

On widział. On wiedział. On czuł.

— Mam użyć Biedemayera? — Chciała się upewnić.

Skinął głową, nic nie mówiąc.

— Mam dać mu fałszywy trop? — spytała znowu.

Kolejne przytaknięcie.

— Mam nasłać go na Manlicha? I to jeszcze na miejscu zbrodni?

— Właśnie tak — odparł wreszcie. — Chcę ich dwóch w lesie za szpitalem w Kortau. Tam, gdzie zginął młodszy von Gerth.

— Jak, do licha, mam to zrobić?!

Wzruszył ramionami.

— I co zamierzasz z nimi zrobić?

— To nie twoja sprawa.

— Owszem, moja!

— Rozumiem.

Odwrócił się, by spojrzeć przez brudne okno. Cygańskie dziatki biegały w oddali. Udawane zabawy, a tak naprawdę łowy na okazję, by złupić przypadkowych przechodniów. Ale tutaj rzadko kto chadzał, a jeśli już ktoś się trafił, to zwykle z interesem. Do dzieci bądź do Apolońskiej, która choć niezbyt lubiana, pozostawała nietykalna. Tolerowano jej obecność, bo przynosiła im zyski. Czasem sama wynajmowała ich do pomocy, innymi razy klienci nakazywali baczenie na jej ruchy. Trwał tu swoisty rozejm, oparty na symbiozie. Korelacja interesów dwóch nieznoszących się grup, które choć działały oddzielnie, to potrafiły we wspólnej sprawie złączyć szeregi.

— Nic nie rozumiesz — rzuciła.

— Rozumiem więcej, niż ci się wydaje — powiedział spokojnym, pełnym wyrachowania głosem. — Ty go kochasz. Nie chcesz, ale kochasz. To miał być tylko kochanek, ten cały Biedemayer. Twoja wtyczka w obozie wroga. Dzięki niemu miałaś trzymać rękę na pulsie. Wiecznie czujna Iga... Nawet nie wiesz, jak mi ciebie szkoda.

— Daruj sobie! — warknęła.

— No, śmiało! Zrób coś ze mną. Przepędź, wygoń, naślij kogoś. Zabij mnie, jeśli uważasz to za słuszne. Tylko jaki mogłabyś mieć powód?

— Nie muszę mieć powodu.

— To nieprawda. Nie, nie, moja droga. Ty wszystko robisz według własnego kodeksu. Groźna, niebezpieczna, tak, ale roztropna i jakoś tak... honorowa, na swój sposób. Gdybyś była mężczyzną, nazwałbym cię gentlemanem. Przestępca z zasadami. Rzadkość.

Fuknęła i podniosła się z krzesła. Stała za jego plecami. Czuł jej zwątpienie, strach i wściekłość. I smród spoconego ciała.

— Co zamierzasz zrobić? To mój warunek. Jeśli mam ci pomóc, muszę to wiedzieć.

Odwrócił się do niej profilem, aby mogła patrzeć na niego, ale on nie musiał widzieć jej. Brzydził go ten widok. Brzydziło go wszystko.

— Zemszczę się na Manlichu. Chcę go wydać Biedemayerowi. Wrobić tak, jak on wrobił mnie w morderstwo Karla von Gertha.

— Po co? Nie lepiej wydać Heinricha? Skoro mówisz, że to jego sprawka.

— Nie. Chcę Manlicha. Jego los w jakiś sposób jest sprzęgnięty z moim. Poza tym nie wybaczam zdrady. No i starszy z braci może mi się przydać, jego przychylność kupi mi spokój ze starym von Gerthem. Chłopak niedługo wyjeżdża ze swoim oddziałem na wojnę i musi pozostać bez skazy, inaczej skończy w lochu. Tutaj potrzebny mi Biedemayer. Jako świadek. Przy nim ten morderca nic mi nie robi i będę mógł dokończyć to, co tu zacząłem. Teraz nie jestem bezpieczny, nie mogę więc przeprowadzić rytuału.

— Jakiego rytuału?

— A to już, moja droga, wykracza poza poprzednie pytanie.

Przeszła się po pokoju nieco spokojniejszym krokiem. Potem znowu odezwała się:

— Czemu to konkretne miejsce?

— Jeśli Biedemayer spotka Manlicha właśnie tam, będzie to znacznie mocniejsze podejrzenie. Resztę zrobię ja. Powiem, że wszystko widziałem, i pogrążę go. Bo jak ktoś, kto nie popełnił morderstwa, może tam trafić? Przecież niewielu o tym wie. Nie sądzę, aby Manlich był we wszystko wtajemniczony.

— Dlaczego myślisz, że von Gerth ci pomoże, skoro zawarł pakt z Manlichem?

— Instynkt przetrwania. Heinrich się dowie, że wszystko widziałem, i prędko zmieni sympatię na moją rzecz.

Nastąpiła cisza, przerywana tylko odgłosem kroków Polki. Wacław nie miał ochoty na dalszą rozmowę. Potrzebował odpowiedzi.

— Więc? — zapytał. — Biedemayerowi nic się nie stanie. Jest tylko pionem w tej grze.

— Piony często padają... — skwitowała Apolońska.

— O tego nie musisz się martwić.

* * *

Pierwszy przyszedł policmajster. Jego kroki słyhać było z daleka. Szeleszczące pod stopami liście, trzaskające gałęzie oraz – co zdziwiło Wacława – posapywanie. Gdy sylwetka Biedemayera wyłoniła się wreszcie zza zarośli i mężczyzna stanął na środku polany, blade księżycowe światło odbiło się w kropelkach potu na jego czole. Za pasem zatknęta miał broń, palce nerwowo przebiegały po rękojeści.

Przecucie podpowiadało Sarmentowi, że zbliża się także Manlich. Zastanawiał się, czy morfinista też ma podobne zdolności. Czy zdaje sobie sprawę, po co tu idzie? Czy wie, co się stanie?

Sprawdził jeszcze raz torbę. Niczego nie brakowało. Wszystko było gotowe. Byle tylko dobrze to rozegrać, nie dać się ponieść emocjom. To tutaj Wacław miał poznać odpowiedzi, zobaczyć prawdę. To tutaj miał wreszcie wrócić, choć na chwilę, do tego, co zostało mu zabrane lata temu. Nie chciał jednak teraz o tym myśleć. Zanim to nastąpi, musi oczyścić umysł, zachować zimną krew. Inaczej wszystko na marne.

Spokój. Tylko spokój.

I nagle nieodparte wrażenie czyjejs obecności. Manlich już tu był. Czekał jak on, ukryty, na granicy polany, obserwując spoconego

Biedemayera nerwowo krążącego wokół niedawnego miejsca zbrodni. Teraz Sarment był już pewien, że i morfinista odczuwa jego obecność.

Niedalekie Kortau było niespokojne tej nocy. Dochodzące ze szpitala spazmatyczne krzyki przeplatały się z nerwowymi nawoływaniami. Któremuś z pacjentów udało się zapewne wyrwać z placówki, a personel próbował schwytać zbiega. Głosy dochodziły na polanę zniekształcone, upiorne. Przypominały wydarzenia sprzed kilku dni, gdy bracia von Gerthowie spotkali się tu po raz ostatni.

Biedemayer przystanął i nasłuchiwał. Mimowolnie sięgnął do broni. Chłód kolby studził krew, uspokajał myśli.

Chwilę potem Prusak leżał już na ziemi. Padając, nie puścił pistoletu. Jedyne, co zdążył zrobić, to odwrócić się ku swemu mordercy. Nóż sterczał z piersi. Doskonałe trafienie, prosto w serce.

Skrytobójca pochylił się i pogłaskał go czule po policzku. Potem wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki papierosa. Przypalił.

— Zrobiłem to za ciebie — powiedział. — Po to go tu przecież ściągnąłeś, nieprawdaż? Pion padł, żeby stać się hetmanem.

Kabalista wyszedł z ukrycia. Dopiero teraz znowu dotarły do niego krzyki z pobliskiego szpitala. Musiały umilknąć, a może w szoku ich nie słyszał.

— Trochę krzyżuję ci szyki — dodał Manlich. — Wybacz mi, ale twój plan był pretensjonalny. Nie było powodu, aby znęcać się nad tym biedakiem. Potrzebujesz jego ciała, nie jego bólu.

Sarment nic nie odrzekł, obserwował, jak Manlich wyciąga ostrze ze zwłok. Okrążał go w bezpiecznej odległości.

— Nie okłamałem cię — kontynuował Manlich. — Naprawdę znamy się od lat. Wiem o tobie wszystko, co muszę wiedzieć. Jesteś zgorzkniałym, skrzywdzonym człowiekiem. Współczułem ci zawsze, nigdy jednak nie polubiłem. Uważam wręcz, że masz skłonność do zamieniania życia

w tragikomedię. Wybacz, ale drażni mnie ta maniera. Dlatego miłosiernie skróciłem cierpienia biedaka. Nie chciałem widzieć, jak bawisz się z nim, zwodzisz, czyniąc podchody. Nie potrafisz mordować skutecznie. Jesteś słaby, uciekasz się do podstępów. Powiedziałbyś mu, że młodszy von Gerth zginął z mojej ręki, a kiedy on uwierzyłby ci i obezwładnił mnie, zabiłbyś go. Dopiero wtedy.

Wacław parsknął.

— Nie mówię prawdy? Ja widzę twoje życie. Ja to już wszystko widziałem.

— I co teraz? — zapytał kabalista. — Masz zamiar mnie też zabić? Skoro widziałeś to, więc wiesz, po co jesteś mi potrzebny.

— Zabić? Nie. Nie chcę. Nie muszę.

— Będziesz musiał. Inaczej to ja dorwę ciebie.

Manlich wstał. Wytarł delikatnie krew Biedemayera z ostrza, a później rzucił nóż pod nogi. Wyjął kolejnego papierosa, uśmiechając się kpiąco.

— Skąd pewność, że tego właśnie nie chcę? Potrzebujesz mnie do rytuału, tak jak jego. To oczywiste. Aby wszystko się powiodło, musisz to zrobić. Mój stary przyjacielu, zabij mnie.

Dym z papierosa unosił się do bezchmurnego nieba. Rozświetlony gwiazdami, mienił się. Leniwie płynął ku górze.

— Nie wiesz, jak to jest. — Prusak nie przestawał mówić. — Mieć coś, czego się zawsze pożałowało. Jestem dopuszczony do każdej z tajemnic. To jak kajdany. Prawda to jedyne, czego pragnąłem zaznać, a teraz marzę, aby mi ją zabrano. Nie znalazłem w niej ukojenia. I ty też nie zaznasz. Pisany ci jest inny rodzaj bólu niż mój. Taki, z którego nie będziesz zdawał sobie sprawy.

Mężczyzna przydeptał niedopałek. Wyjął ponownie nóż i rzucił go pod nogi Sarmenta.

— Zabij mnie. Tylko tak możesz mi pomóc.

Kabalista podniósł broń, nie spuszczać wzroku z rozmówcy.

— Zrób to! Weź moje oczy i przejrzyj!

Manlich podbiegł do Sarmenta i chwycił go za dłonie, kierując ostrze w swój brzuch.

— Przejrzyj i bądź przeklęty!

* * *

Spełnił rytuał. Klęcząc w kałuży krwi niewinnego Biedemayera, przecierając zdumione oczy – nowe, lepsze, bystrzejsze – doznawał olśnienia.

Nad sobą widział płonąca chatę z gliny. Zmieniała kształty, ukazując rzeczy, na które bał się patrzeć. Zadał pierwsze pytanie, ale nie dostał odpowiedzi. Spytał po raz kolejny. Na próżno. Zawołał jej imię – Rachela – mając nadzieję, że wyjdzie z płomieni i dotknie go słodkimi, delikatnymi dłońmi. Gdy tak się nie stało, wezwał Boga.

Ale Boga tam chyba nie było.

Jedyne, co trwało, to gliniana chata. Przedsionek innej rzeczywistości. Zapowiedź przyszłych dni.

Klęczał we krwi, krwawił z oczodołów. Wyłupił swoje oczy i zastąpił je innymi. Przemienionymi w glinę oczami Gottfrieda Manlicha. Dzięki nim był świadkiem piekielnego spektaklu.

I gdy przyszli po niego ojciec z jedynym ocalałym synem – Gerhard i Heinrich von Gerth – zaoferował im pomoc. Bo wreszcie zrozumiał.

Po to właśnie został wybrany.

Książka przygotowana dla zamówienia numer 1952 w
sklep.powergraph.pl

Rozdział II

Gliniany golem

Smród i niemoc to jedyni mieszkańcy tego miejsca. Wirują w duchocie wokół łoża ofiarnego, złączeni w uścisku, odrętwieni, poruszają się w takt muzyki, której nie ma.

Stoję w kącie pokoju i nie śmiem nawet drgnąć. Moje myśli są jasne. Czyste wytyczne, racjonalne wskazówki, które zaprowadzą mnie do celu. I nie ma znaczenia to, że nie znam przeznaczenia tego, co robię. Nie istnieją wątpliwości. Rozkaz. Po prostu rozkaz.

On jest chory, a ja znam lekarstwo. Mam panaceum na jego niemoc. Gdy wykonam polecenie, on poczuje ulgę. Wybawiam go, choć uczuć we mnie nie ma.

W nodze czai się gangrena, ramię jest niesprawne, prawa strona ciała martwa. On tkwi gdzieś pomiędzy dwoma światami. I patrzę na niego smród i słabość. Czuwają, by zostało tak na wieki.

Nie ma tyle czasu.

Wyniszczona twarz, zapadnięte policzki. Wiem, że budzi się rzadko, a i to tylko po to, aby wypowiedzieć słowa bez znaczenia. Teraz śpi. Czeka.

Czeka na mnie.

Odsłaniam pierzynę i smród uderza mnie w nozdrza. Nie tracę jednak zmysłów. Zmysły są nieważne. Istotne jest zadanie, z którym przyszło mi się mierzyć.

Chwytam mocno prawą nogę i ściskam. Widzę doskonale ciemnobrunatny wylew w okolicy kolana, choć panuje tu mrok, a w sali nie ma okna.

Dociskam. Chora krew tryska na mą dłoń.

On otwiera oczy. Budzi się z krzykiem i strachem...

* * *

Budzę się z krzykiem i strachem. Nieznośny ból w lewej dłoni uświadamia mi, że to nie sen. Znowu bezwiednie zacisnąłem pięść. Paznokcie wbiły się w skórę aż do krwi. Dobrze, że nie zrobiłem sobie czegoś gorszego.

Znowu będzie trzeba zmienić pościel... A ta tak bardzo mi się podoba... Biała jak śnieg, wykrochmalona. Przypomina mi dom rodzinny, spałem tam w takiej samej. Tylko jej zapach jest inny. To nie woń świeżego wiatru i gruszy, która rosła na moim podwórku. Pachnie medykamentami. Przez to wydaje mi się, że śpię w pośłaniu po jakimś innym chorym. Jednak doktor Amterstern zapewniał mnie, że ta pościel to zupełnie nowy nabytek.

Dobrze, że nie śnię tego koszmaru co noc, bo chyba oszalałbym. Upiorna wizja przeraźliwie długiego spadania prześladowuje mnie rzadko. Zwykle wtedy, kiedy księżyc świeci wyjątkowo jasno. Tak jak dzisiaj.

Odkrywam pierzynę i unoszę się z wysiłkiem. Mam ochotę opaść znowu na miękkie poduchy, walczę ze sobą. Napinam każdy mięsień, jaki pozostaje jeszcze pod moją kontrolą. Centymetr po centymetrze, sekunda po sekundzie jestem coraz wyżej. Moje czoło zrasza pot, lecz nie zwracam na to uwagi. Liczy się tylko to, że żyję, że mogę się podnieść. To we mnie tkwi siła! Nie jestem kaleką! I nie będę...

Udało się. Dygoczę cały i trudno mi utrzymać ciało w pionie, ale dam radę. Muszę ćwiczyć. Inaczej moje mięśnie zastygną zupełnie. Zawsze byłem silnym mężczyzną. Poradzę sobie. Poradzę.

Płacę.

Łzy kapią na nogę, ale nawet tego nie czuję.

* * *

Za oknem ożywcze promienie wiosennego słońca muskają ptaki i drzewa. Słyszę odgłosy natury – szumy, trele i ćwierkanie. Chciałbym wyjść na zewnątrz, ale to niemożliwe. Nawet jeśli poprosiłbym siostry o pomoc, nie na wiele by się to zdało. Nie mam siły podnieść głowy, aby zobaczyć to wszystko. Mógłbym jedynie popatrywać jednym okiem na ziemię. Nie będę więc sprawiał kłopotu pielęgniarkom, mają dość pracy przy innych chorych.

Wyciągam rękę, aby podrapać się po nodze. Już dawno mi ją amputowali i założyli protezę, ale ja nadal czuję swędzenie na prawym udzie. Zapominam o nim, dopiero gdy palce dotkną szorstkiego, lekko plastycznego materiału, z którego jest zrobiona moja nowa kończyna.

Glina jeszcze nie stwardniała. Tuż przy szwie ma kolor lekko fioletowy, koszmarne. Gdy na to spoglądam, zbiera mi się na wymioty. Staram się patrzeć jak najrzadziej, ale mój wzrok wciąż tam wędruje, jakbym sam sobie sprawiał tortury. W niczym nie przypomina to barwy skóry, ale doktor powiedział, żebym się nie przejmował. To moje naczynka krwionośne łączą się stopniowo z kanalikami precyzyjnie wydrążonymi w protezie. Gdy posoka dotrze do czubków glinianych palców, będę mógł w końcu ruszyć nogą, a kolor stanie się znośniejszy.

— *Guten Morgen, Herr Benck* — słyszę od drzwi.

O wilku mowa, myślę.

— Dostaliśmy dziś telegraf z Scharfenwiese — mówi doktor. — Wiadomość od pana Sarmenta, projektanta pańskiej protezy.

Spoglądam spod zmrużonej powieki. Jego biały fartuch jest nieskazitelnie czysty, jak zwykle. Wyprostowana postawa i dumnie

wysklepione czoło podnoszą mnie na duchu zawsze, ilekroć je widzę. Od Amtersterna bije pewność profesjonalisty.

— Waław Sarment to wyjątkowo uzdolniony projektant, wysoko ceniony. Proteza wykonana jest zadziwiająco precyzyjnie, jak gdyby podpisał pakt z samym diabłem.

Doktor chichocze. Ma suchy śmiech, niepasujący do niego. Lekko szyderczy, nieznośny.

— Już niedługo odzyska pan czucie w całym ciele. Rehabilitacja będzie jednak długa i zanim wszystko wróci do sprawności, sporo wody w rzece upłynie. Przez cały ten czas będzie pan pod kontrolą medyków zakonnych, tak jak obiecaliśmy. Proszę jednak pamiętać o ograniczeniach. Zdolność odczuwania bodźców będzie właściwie śladowa, ale ważne, że w ogóle będzie. Gliniane partie nie będą ulegać zmianom temperatury, co może powodować dyskomfort, gdy jedna część ciała będzie na przykład rozpalona, druga zaś nie. Przy pana obrażeniach najważniejsza jest mobilność. Gdy tylko zagnieździmy w panu resztę protez, w końcu poczuje się pan człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu.

Podchodzi do łóżka i siada na jego skraju. Pochyla się nisko nade mną i szepcze z przejęciem:

— Wiem, o czym pan myśli... Że metalowe części byłyby lepsze. Pewnie byłyby, ale widzi pan, to nie jest takie proste. Uszkodzenia prawej strony ciała są zbyt duże, aby zdrowe komórki pańskiego organizmu pozwoliły na tak znaczną ingerencję. Mnożyłyby się odrzuty. Z gliną nie ma takiego problemu, glina jest przyjazna. Proszę przy tym pamiętać, że to pionierski zabieg. Nowa technika. Uczestniczy pan w historycznym przedsięwzięciu. Jeśli uda się wszystko, co zamierzeliśmy, niedługo wyjdzie pan stąd cały i zdrowy. Wszystko na to wskazuje, że nasze starania będą w najwyższym stopniu skuteczne.

Unosi się, z uśmiechem na ustach. Doceniam jego szczerość. Zresztą, wiem, na co się pisałem. Innej drogi nie było. Albo paraliż, wózek i opieka

do końca życia, albo ten radykalny krok. Postawiłem wszystko na jedną kartę.

— Muszę więc pana spytać, jak się sprawia nowa kończyzna? Mrugnie pan raz na dobrze, dwa na źle.

Patrzę na niego skonfundowany. Czekam chwilę i mrużę powieki trzy razy.

Rozszerza oczy ze zdumienia. Wygląda zabawnie. Gdybym mógł się śmiać, zapewne bym to zrobił.

— Czyli nie wie pan? — pyta nieśmiało.

Mrugam raz.

— Raz na tak? — upewnia się.

Triumfująco mrugam po raz kolejny.

— Uhm... — Pochyliła się nad małym notesem i doskonale zaostrzonym ołówkiem skrobie coś po kartce. — W takim razie chyba za wcześnie na wnioski. Minął dopiero tydzień od ostatniej operacji. Teraz obejrzę pana nogę.

Opukuje glinę. Patrzy krytycznie na szew i mówi coś bezgłośnie. Żłociste słońce oświetla jego oblicze. Dopiero teraz zauważam, że ma krogulczy nos. Pasuje to do jego twarzy. Istotny znak szczególny, który idealnie komponuje się z całą jego osobą. Doktor Amterstern – solidny Prusak. To chyba dobrze, że właśnie na niego trafiłem.

Zza okna słychać spacerowiczów. Dziwne mruczenie i seplenienie oraz zmęczone, choć troskliwe głosy sióstr oprowadzających pacjentów po ogrodach – nie znoszę ich. Przypominają mi, że nie jestem w zwykłym szpitalu.

— Jak pan się czuje? — kontynuuje wywiad ortopeda. — Raz na dobrze, dwa na źle, trzy na bez zmian.

Bez zmian.

— Uhm... — Po raz kolejny coś notuje. — Dobrze, *Herr Benck*, opuszczę pana w takim razie, mam dużo obowiązków. Ostatnio sporo się u nas dzieje. Matilda przyniesie panu pod wieczór pigułki pomocnicze. Życzę dobrego dnia.

Odwraca się w drzwiach i puszcza do mnie oko. Jakoś kłóci się to z tą jego pruską solidnością.

— Będzie już tylko lepiej — mówi i wychodzi.

Nieznośne szmery za oknem jakby cichną.

* * *

Matilda tryska entuzjazmem. Zawsze wprowadza przyjemne zamieszanie w mojej skromnej salce. Jej luźno spięty kok wydaje się mienić wszystkimi odcieniami brązu, a starannie wypielegnowane dłonie gładzą skórę w okolicy szwu w sposób, który budzi dreszcz. Rozmasowuje nogę z precyzją, a jednocześnie delikatnie. Podobno dobrze to wpływa na ukrwienie protezy.

— Żołnierze opowiadali dziś miłe rzeczy — mówi z radością. — Bo wie pan, oni zawsze dużo mówią i zwykle same przykre rzeczy. Wspominają wojnę. Och, ale ja tak plotę, a pan się pewnie ze mnie śmieje. Pan nauczał literatury, a ja tutaj... No wie pan...

Oczywiście. Wiem. Rozumiem. Nie mówisz Proustem ani nawet Flaubertem. Nie budujesz kunsztownych zdań. Przy tutejszych pacjentach nie miałyby to sensu. Nic się nie stało. Jesteś szczerą. Jesteś cudowna.

— Przebąkiwali coś, że dobrze idzie na wojnie, że Wschodniobałtowie ustępują pola. Podobno, choć ja tam nie wierzę za bardzo, kończą im się zapasy ludzi. Nie wiem, co to znaczy „zapasy ludzi”, ale chyba to poważna rzecz, skoro przegrywają. Oby zresztą. Ta poprzednia wojna przecież... Cóż to była za porażka...

No proszę! Królestwo Wschodniobałtyckie w odwrocie! Któż by się spodziewał.

Pamiętam, jak rozpoczynali wojnę, rozproszeni, niepozorni. I pamiętam, że dzięki wojnie, którą powinniśmy wygrać, zjednoczyli się. Księstwka, miasteczka, lenna i rozbitcie dzielnicowe – nagle razem, pod jednym sztandarem. No i zatrzymała się nasza wschodnia kampania pod Rygą, utopiona we krwi tysięcy zakonników. Tam właśnie się narodzili. Tam dopiero odkryli, że są jednym narodem. I tam powstało nowe państwo, które teraz najeżdża nasze.

Walka o dominium Mare Baltici. Twierdzą, że to ich tereny, wypowiedzieli więc pakt pokojowe sprzed lat i rozpętali wojnę. Sprzymierzyli się z jakimiś azjatyckimi plemionami z rubieży Europy i dumni, pewni swego, rozpoczęli natarcie.

Zaraz... Żołnierze? Tu są żołnierze?!

— Niech pan się nie miota — mówi Matilda karcąco. — Nie mogę masować, jak pan się tak rzuca na wszystkie strony, *Herr Benck*. A wracając do pogłosek, jakie krążą po zakładzie... Król Fryderyk obiecał wybudowanie wielkiej kolumny zwycięstwa w Königsbergu, oczywiście jak już zwyciężymy. Podobno Rzesza ma w Berlinie zbudować bliźniaczą kolumnę, aby upamiętnić ofiary wojny! Czyż to nie cudowne?! Nasi sojusznicy nas cenią, *Herr Benck*.

Skoro są tu żołnierze, to gdzie ja jestem?! Przecież to miał być mały szpital w Kortau połączony z zakładem dla obłąkanych. Nie było mowy o wojskowych! A może wywieziono mnie gdzie indziej? Ale dlaczego? Przecież to bez sensu!

— *Dładładładła... duuułaaaaaa...* — bełkoczę, próbując zadać pytanie. Matilda patrzy na mnie ze zdziwieniem graniczącym z przestraczem.

— Niech się pan uspokoi — mówi szybko, gestykulując, jakby miała do czynienia z człowiekiem niespełna rozumu. — Tylko spokojnie, proszę, aby pan się nie denerwował... Już lepiej. — Uśmiecha się. — Przyniosę panu kartkę i ołówek, to napisze pan to, dobrze?

Rozpogadzam się.

Wraca szybko z tym, co obiecała, jej twarz promienieje. Wydaje się niemal piękna. Zapominam, co chciałem napisać.

Kończy masaż i wychodzi, a ja przypominam sobie, co mnie tak zmartwiło. Sięgam po kartkę i ujmuję drżącymi palcami ołówek.

Trudno jest pisać lewą ręką.

* * *

— Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? — Doktor Amterstern uderza się w głowę. — Przecież to doskonały pomysł. Chylę czoła.

Macham dłonią, aby przerwał swój wywód, i wolno, z wysiłkiem spisuję swe myśli. Czyta:

— „To nie ja, to Matilda”. No, no! Kto by pomyślał? Niech pan będzie pewny, że zostanie za to właściwie nagrodzona.

Mażę znów po kartce, tym razem nieco dłużej. Śpiew ptaków dzisiaj jest o wiele głośniejszy. Wróble rozpoczęły koncert. Cały ogród i łąka rozbrzmiewają ich ćwierkaniem. Napinam mocno mięśnie twarzy, aby unieść choćby odrobinę wyżej lewy kącik ust. Nie jest to proste, ale zamykam oczy i wsłuchuję się w przedziwną melodię zza okna. Pomaga.

Stawiam kropkę i podaję papier ortopedzie.

— „Gdzie ja jestem i dlaczego są tu żołnierze? Szpital miał być w Kortau, nieopodal Allenstein”. Ależ *Herr Benck*, jest pan w Kortau. Nie pojmuję, dlaczego ma pan wątpliwości. Co prawda zakład został nieco przekwalifikowany, musieliśmy przyjąć kilkudziesięciu rannych z frontu. Chyba nie muszę panu przypominać, że ze względu na charakter naszych

badań nad pana organizmem powinniśmy być ostrożni i ograniczyć wszelkie kontakty do minimum. Co by było, gdyby lud dowiedział się, co zamierzamy? Proszę pomyśleć, cóż to by był za szok! Na miejsce trybików i kół zębatych poruszających aparaturą – kanaliki krwionośne! Zakon nie pragnie przedwczesnego rozgłosu. Najpierw chcemy pana uleczyć, *Herr Benck*.

Amterstern ogląda nogę. W jego spojrzeniu odczytuję ulgę.

— Kończyna synchronizuje się z układem krwionośnym. Wspaniale. Obrzęk zniknął, a kanaliki stopniowo się wypełniają. Wszystko idzie zgodnie z przewidywaniami. W takim razie teraz pragniemy się zająć pana prawą ręką. Przepraszam, że powieje grozą, ale sam pan rozumie, muszę wyrażać się precyzyjnie, aby uświadomić panu sytuację, w jakiej się znajdujemy.

Robi pauzę, a ja odruchowo mrugam, aby kontynuował. Muszę odzwyczaić się do tego. Teraz mogę pisać, to przecież wystarcza.

— Pragniemy amputować panu całą rękę, tak samo jak wcześniej nogę. Stopniowo będziemy zagnieżdżać kolejne części następnej protezy. Zaczniemy od ramienia, potem przedramię. Następnie przytwierdzimy dłoń i paliczki. To będzie długi proces, ale uważamy, że warto. Jeśli gliniane kończyny się przyjmą, zajmiemy się innymi ważnymi organami. Do tego czasu pana korpus powinien zacząć reagować na protezy. Dzięki naszym medykamentom wykształcą się nerwy, które wnikną w strukturę członków. Nie będą one jednak w pełni sprawne, to jedynie śladowe unerwienie. Nie będzie mógł pan na przykład w pełni operować palcami ani tym bardziej biegać, bo to zbyt skomplikowane operacje ruchowe. Przynajmniej nie od razu, bo pełną sprawność powinien pan uzyskać w ciągu dwóch lat. Proszę się nie obawiać, nasi nerwooperatorzy opanowali sztukę odtwarzania systemu nerwowo-ruchowego. Jest pan w dobrych rękach. Sądzę, że ma to szansę powodzenia, bo skoro noga rokuje dobrze, to można spróbować i z ręką. Czy zgadza się pan na dalsze prowadzenie zabiegów?

On nadal tam stoi, hełm ma w pyłe, błocie i krwi. W świetle poranka widzę twarz z wydrapanymi oczyma.

Uśmiecham się. Na tę jedną chwilę paraliż odpuścił. Jestem wdzięczny, stary wiarus był przy mnie cały ten czas, kiedy tu gniłem. Uśmiecham się i pozdrawiam go. Dzieliliśmy jeden ból, choć tak odmienny.

Budzę się i już po chwili nie pamiętam, co śniło mi się tej dziwacznej wiosennej nocy.

* * *

Stoję pośrodku obszernej salki i słucham, choć oprócz mnie nie ma tu nikogo.

— Tak — słyszę.

Tupot butów, odgłos sapania. Potem upiorne skrzypienie drzwi. Przez zakratowane okno widzę spiczaste hełmy. To żołnierze. Niosą na swych barkach coś owiniętego w białe prześcieradło.

— Tak — po raz wtóry.

Może zdążymy, dochodzi znikąd, niedostępne dla uszu, lecz wyczuwalne.

— Musimy — dobiega mnie czyjś głos.

* * *

— Jest pan dzisiaj rozdrażniony, *Herr Benck* — słyszę od progu. Pragnę odwrócić głowę w tę stronę, jednak jestem jeszcze zbyt słaby.

— Matilda rzekła mi, że miał pan nocne koszmary — kontynuuje swój wywód medyk. — Najpierw miotał się pan w łóżku, poprawiała panu kołdrę, bo ją pan zrzucił kilkakrotnie. Czuwała przy panu prawie całą noc, zdaje się, że polubiła opiekę nad panem. To dobra dziewczyna.

Podchodzi do mojego łóżka i siada ciężko. Ma przekrwione oczy, jakby on też nie spał całą noc. W moim spojrzeniu wyczytuje pytanie.

— Mamy ostatnio problemy w lazarecie. Paru pacjentów... Cóż, dość, gdy powiem, że ludzie czasem odchodzą... Szkoda tylko, że w gruncie rzeczy nie wiemy, jak to się stało. Zdaje się, że odbiegłem od tematu. Przepraszam najmocniej i już się poprawiam.

Podnoszę lewą rękę i gestem pokazuję, że chcę coś napisać. Bezbłędnie odgaduje moją myśl i wręcza mi notatnik oraz ołówek. Niedbale kreślę litery. Nawet nie staram się przykładać, co zwykłem robić przez ostatnie dni. Dziś mi wszystko jedno.

— „Nie wiem, co śniłem” — czyta. — „Nigdy nie pamiętam swoich snów”. O co chodzi? Jest pan dziś wyjątkowo zdawkowy. To potwierdza moje podejrzenia.

Macham dłonią, rozdrażniony. Męczy mnie. Mógłby dać mi po prostu poleżeć. Tutaj chcę mieć spokój, ciszę, bo tyle się dzieje na zewnątrz. Chcę słyszeć ogrom dźwięków, jakie docierają do tej małej salki. Chyba mi wolno? A złe sny mogą się przecież zdarzyć każdemu. Chcę odpocząć. Jestem taki zmęczony...

Amterstern milczy chwilę i dałbym sobie uciąć głowę, że czuje się zmieszany. Nie dbam o to.

— Chodzi o to, *Herr Benck*, że sny są dla nas ważne. Mówią nam więcej o pańskim stanie, niż może to sobie pan wyobrazić. W fazach snienia organizm próbuje wytłumaczyć, w specyficzny sposób, co się z nim dzieje lub co może się dziać. Nie śmiem oczywiście twierdzić, że sny są prorocze. To byłoby śmieszne i jako naukowiec mogę traktować takie teorie tylko jako żart. Niemniej z pańskich sennych doznań można wyczytać pewne rzeczy istotne dla naszej sprawy. To mianowicie, jak pański mózg uświadamia sobie swoją sytuację. Jak programuje nerwy, które potem posłużą panu do kierowania protezami.

Zbieram siły i lekko unoszę głowę. Chyba nie udało mi się ukryć grymasu bólu, bo przytrzymuje mnie i obraca na drugą stronę. Nabieram głęboko powietrza, mrużę oczy i nagle wszystko ciemnieje, a wszelkie głosy cichną. Gdy tylko odzyskuję zmysły, wyczuwam, że mierzy mi puls na lewym nadgarstku.

W jednej chwili cała moja złość wyparowuje. Tak po prostu przestaję rozumieć swoje zachowanie sprzed paru chwil. Mam tu wszystko, czego mógłby chcieć człowiek w moim stanie.

Doktor Amterstern rozpogadza się.

— Nastraszył mnie pan — mówi. — Proszę nigdy więcej tego nie robić. I niech pan traktuje to jako rozkaz.

Chciałbym się śmiać razem z nim, ale mogę tylko lekko poruszyć lewą stroną ust.

— Na czym to ja... Ach tak! Sny! Tak jak mówiłem wcześniej, pańskie sny to dla nas istotne źródło informacji. Najlepiej by było, gdyby zapamiętywał pan z nich jak najwięcej. Tym bardziej że teraz będzie je pan miewał często. To wynik pigułek wspomagających łączenie gliny z ciałem. Umysł rozpoznaje się w sytuacji. Na razie, i będzie tak przez jakiś czas, bada nowe, nieznanne wcześniej tworzywo. Kiedy pan śni, mózg odtrąca inne bodźce i skupia się już tylko na tym. Stąd mogą się pojawić niepokojące wizje, takie, jakie miał pan tej nocy. Matilda mówiła, że tuż przed przebudzeniem uspokoił się pan i nawet uśmiechnął. Komunikat ten może być dla nas tropem, wskazówką, przestrożą *et cetera*. Musimy reagować na zachowanie pańskiego ciała w taki sposób, w jaki powiadamiają nas o tym sny.

Skrobię ołówkiem nurtującą mnie myśl i pokazuję ortopedzie.

— „Jak mam zachować swoje sny w pamięci?” — czyta. — Ach, to proste! Jest wiele sposobów. Proszę spróbować nie otwierać oczu od razu po przebudzeniu i przypomnieć sobie w miarę dokładnie, o czym był sen.

Umysł magazynuje nawet nietrwałe informacje i można je zapamiętać. Trzeba je tylko powtarzać. Potem proszę to spisać, siostry podadzą panu odpowiednie stymulanty.

Za oknem słyszę odgłos otwieranych drzwi do budynku. Zaraz potem dochodzą do mnie jęki. To spacerowicze i pielęgniarki jak co dzień wychodzą na powietrze.

— Czy mogę liczyć na pańską współpracę? — Amterstern patrzy na mnie wyczekująco.

Zgadzam się.

Gdy wstaje, uśmiechnięty, łapię go za rękę. Przysiada i cierpliwie czeka, aż napiszę to, co wpadło mi do głowy.

— „Czy mógłbym wyjść na spacer? Czy siostry mogłyby mi pomóc?”. Ależ oczywiście! To doskonały pomysł! Powinien pan zażyć wiosny w Kortau! Zapachu, widoku na jezioro! Tu naprawdę jest cudownie! „Sanatorium w raju”. To dobra nazwa, przekona się pan. Proszę się nie kłopotać, nie jest pan uciążliwym pacjentem, siostry będą zachwycone, mogą pospacerować z panem. A może Matilda? Zdążyliście się już chyba polubić.

* * *

Dostałem swój własny wózek i pozwolenie chirurga na zwiedzanie ogrodów raz w tygodniu. Na szyję będę miał wtenczas zakładany specjalny kołnierz usztywniający. Dzięki temu głowa, której nadal nie potrafię utrzymać w górze, pozostanie bezpieczna, a ja będę mógł patrzeć do woli zdrowym okiem. Mój wehikuł zaopatrzony został w specjalną podporę na nogę i nie muszę się już o nic martwić. Siedzę jak król Fryderyk na tronie i chłonę wiosnę.

Matilda czuje, że jestem zadowolony. Sama uśmiecha się lekko.

— Mam dla pana leki, *Herr Benck* — mówi niespiesznie. — Jakiś syrop, doktor mówi, że na krążenie krwi. Paskudnie smakuje. Próbowałam. Ohyda.

„Nie jest taki zły” – piszę i podaję jej kartkę.

— Jak dla kogo — prychna i udaje oburzenie. — Ale pan jest dzielny, pan wypije. Z moich rączek będzie lepszy.

Przełykam. Rzeczywiście ohyda.

— Chyba będziemy mieli towarzystwo — oznajmia, ruchem głowy wskazując przypatrującego się nam pacjenta. — Martin.

Nigdy wcześniej nie widziałem tego człowieka, ale znam go i rozpoznaję natychmiast. Amterstern opowiadał mi niedawno o pewnym czterdziestoletnim Prusaku spod Marienburga. To wesoły brunet ze szramą wzdłuż policzka. Nie ma prawej dłoni, bo została mu obcięta w wyniku wyroku sądu zakonnego, który oprócz tego odebrał Martinowi wolność na kilka lat. W ciemnym lochu średniowiecznego zamku Neidenberg cierpiał katusze i powoli tracił świadomość. Bito go i upokarzano. Należało mu się, gdyż był złodziejem, jednak Amterstern szczerze go żałuje.

Gdy Martin opuścił więzienie, choroba się rozwinęła – w czasie pobytu w owym „kurorcie cierpienia” zatracił tożsamość i jął przybierać różne maski. Nagabywał ludzi na ulicach Königsbergu, opowiadając, że jest rzeźnikiem albo sprzedawcą staroci. Bywał najemnikiem, bogaczem i żebrakiem, choć to ostatnie wcielenie nie wymagało od niego zdolności aktorskich. Przemawiał do paromatów, wolnym krokiem przechadzających się z ogłoszeniami, jakby byli jego dobrymi znajomymi. Zupełnie nie pojmował, gdy ktoś usiłował mu tłumaczyć, że to tylko napędzane parą urządzenia. W końcu trafił do Kortau, gdzie podał się za samego króla Fryderyka i od razu trafił na oddział.

Martin jest jak pozytywka, która w pobliżu innych zaczyna grać nieznośną melodię, a pozostaje w uśpieniu, kiedy nie ma nikogo, kto by jej

wysłuchał.

Myślałem, że polubiłbym go. Teraz zaś jestem tego pewien. Czuję sympatię do każdego jego niezdarnego kroku, który przybliża go do mnie. Już widzę, że jest tak samo żywy, jak martwy. Amterstern mówił, że jego serce bije mocno, ale umysł nie odnajduje drogi.

Podobnie jak mój. Jesteśmy z jednej gliny. Nikt z nas nie jest panem samego siebie.

— Hans Grobler — przedstawia się Martin.

— To *Herr* Benck — odzywa się pielęgniarzka.

— Pańska przypadłość jest doprawdy zatrważająca — mówi mężczyzna. — Proszę pozwolić umilić sobie czas. Z pewnością zechciałby pan zaznać odrobiny rozrywki. Tak się składa, że jestem pisarzem. I podczas mojego tu pobytu wróciłem do dawnej historii, której byłem świadkiem. Lekko koloryzuję, wszak literatura rządzi się swoimi prawami, ale większość to fakty, nieco tylko przeinaczone. Przeczytać?

— Proszę nie przeszkadzać — oponuje Matilda, ale milknie pod wpływem dotyku mojej dłoni.

Spisuję ołówkiem na kartce: „Będę bardzo wdzięczny za pana czas”.

Na oblicze Martina wpęła pełen zadowolenia uśmiech. Nie mogłem mu zrobić większej przyjemności.

— Cudownie! Ale pragnąłbym zacząć czytanie od końca, dopiero co napisałem taki fragment i nie jestem pewien, czy dobry... I wie pan, potrzebuję opinii. Powinienem zacząć od początku, ale ciekawość mnie zżera, co pan powie o takiej surowiźnie?

Matilda nachyla się i szepcze mi do ucha:

— On wyrywa te fragmenty ze starych gazet i wkleja do notatnika. To znana powieść, wyszła drukiem. Przyniosę jutro, to i początku się pan dowie. Niech on czyta, co mu się podoba. Spokój będzie...

Mężczyzna nie czekając na odpowiedź, przysuwa sobie fotel wiklinowy, rozsiada się i zaczyna czytać:

Opary według Hansa Groblera (powieść w odcinkach) – część 105

„Nikodem wreszcie przybył. Na twarzy miał wypisaną panikę, a ręcedrzały mu jak u ciężko chorego. On, który nigdy nie tracił zimnej krwi, teraz wyglądał jak cień samego siebie – przerażony, pełen obaw. Zanim cokolwiek powiedział, rozejrzał się po dziupli w dotąd niespotykanym u niego odruchu paranoi.

– Wybacz, nie mogłem wcześniej. Ktoś chyba mnie śledził. Masz Łaskę? – zapytał, starając się za wszelką cenę uspokoić.

Przytaknęła.

– A reszta?

– Zgodnie z planem.

– Dobrze – przytaknął, nie patrząc jej w oczy. – Nie zrozumieliby. Tak jest lepiej.

Kobieta przeżegnała się odruchowo. Złapał jej rękę w nagłym porywie wściekłości.

– Nie waż się – wycedził przez zęby. – Nie rób tego.

Nie odpowiedziała, za najlepsze wyjście wybierając milczenie.

– Mamy niewiele czasu, zanim zorientują się, gdzie znajduje się Łaska. Na razie świątynia jest słabo chroniona. Możemy tam wrócić i zrobić, co należy.

Plan był szalony, ale miał szansę powodzenia. Był zresztą jedynym, co mieli. Nie istniało żadne drugie rozwiązanie, nie mogło istnieć. Jeśli kryształ był zbyt długo poza świątynią, Łaska rozpadnie się, a moc wyzwolona podczas tego procesu zmiecie wszystkich z powierzchni ziemi. A nie o to chodziło, przynajmniej nie w całości.

– Wejdziemy razem, ty i ja. Reszta zostanie na zewnątrz, w razie potrzeby ochraniając nas, dopóki nie zniszczymy Łaski.

– To nie będzie proste. Jest nas jeszcze kilku zaufanych. Czemu wszyscy nie pójdziemy? Tak byłoby pewniej.

– Nie możemy. I nie twoja wola o tym decydować. Nie możemy nikomu ufać. Jeśli chcemy doprowadzić to do końca, musimy iść we dwójkę. Zresztą i tak tylko my wiemy, jak to zrobić.

– Jesteś pewien, że mamy szansę? Większość szuka nas w kanałach, ale co zrobimy, jeśli w środku dalej pozostało mnóstwo straży? – wyraziła wątpliwość.

– Tak, jestem pewien – odpowiedział, tak naprawdę nie udzielając żadnej odpowiedzi.

Pomyślała, że musi wiedzieć, co robi. W końcu zależało mu na wszystkim nie mniej niż jej samej. Wpadła więc w jego roztrzęsione ramiona i wsłuchiwała się w szaleńczy rytm odważnego, choć stropionego serca.

Chwyliła lodowatą dłoń towarzysza i wyszli razem z ruiny, by pozbawić ludzi Łaski i otworzyć im oczy.”

— Niech pan zbierze myśli. — Martin przerywa i wstaje. — Niedługo znowu się spotkamy. Wtedy oczekuję recenzji! I być może przeczytam panu następny fragment!

* * *

Teraz, leżąc beczynn timer w łóżku, jeszcze bardziej zazdrościć spacerowiczom. Mogą chodzić po ogrodach Kortau, patrzeć do woli na to, co ja miałem okazję podziwiać przez raptem parę chwil. Najbardziej irytujące jest to, że nie dociera do nich najpewniej nic z tego, co jasnym byłoby dla mnie.

Do zachodu słońca pozostało jeszcze przynajmniej siedem godzin. Najważniejsze, że noc będzie krótka. Po niej nastanie nowy dzień i termin

mojej następnej eskapady poza budynek lazaretu się przybliży. Potem kolejne doby, jedna po drugiej...

Sięgam po pergamin i ołówek. Mrużę oko i staram się uśmiechnąć szelmowsko. Oczywiście nie mogę, poprzestaję więc na wyobrażeniu. Znalazłem koncept! Ukradnę sobie trochę czasu. Spiszę, co mnie nęka. Ułożę fabułę! Albo nie... Dziennik. Tak, dziennik szpitalny. Moje przemyślenia, pomysły, obserwacje – nic konkretnego. Ot, radosna pisanina. Terapeutyczne działanie. Dziękuję ci, Martin. Wspaniałą ideę mi poddałeś.

Zaczynam skrobać, powoli, z oporem. Koślawe litery pojawiają się na pergaminie. Na razie wprawka, pierwszy wpis:

„Czasem wydaje mi się, że lazaret mówi. Im dłużej leżę w swojej salce, tym większą mam pewność. Bielone cegły każdego wieczoru rozpoczynają swój cichy dialog. Dąb za oknem wtóruje im nieco głośniej, ale za to bardzo nieskładnie. Odzywa się łoże, na którym spoczywam, a następnie włączam się w to wszystko ja. Nie słychać dźwięków, one zdają się przepływać w wibrującym powietrzu z jednego miejsca do drugiego. Muskają skórę, owijają się wokół palców, głaszczą włosy.

Lazaret żyje. Oddycha, patrzy, słucha, czuje. Stara się spać w dzień albo późno w nocy, kiedy personel, zmożony snem, przestanie czuwać, a pacjenci chrapią w najlepsze. Jego doba trwa chyba nieco dłużej niż nasza ludzka.

Zwiedziłem dziś budynek. Zerknąłem w kilka ciemnych kątów, dotknąłem suchych czerwonych ścian. Tylko w mojej salce cegły są pobielone. Taka plama niewinności na krwistym płótnie, kawałek rajy w piekielnym morzu.

Lazaret mówi, ja słucham i staram się odpowiadać. Nie rozumiemy siebie nawzajem. Nie słychać słów, choć rozmowa nie milknie”.

Wyrywam kartkę. Jutro zacznę od nowa.

* * *

Znowu go czuję. Przylatuje z wiatrem, wpada do salki przez otwarte okno. Trzaskają okiennice. Błysk, i po chwili grom. Niedaleko, może kilometr stąd. I deszcz, odgłos spadających kropel.

Wiarus stoi za oknem i patrzy na mnie pustymi oczodołami. Jego twarz jest brudna, cała w strupach, a hełm ze szpicą spływa krwią. Wiem, że bałem się, gdy spotkałem go po raz pierwszy, ale teraz ten widok nie przeraża mnie. Jestem dziwnie spokojny. On tylko czuwa, obserwuje.

Podnoszę się z łóżka i opuszczam nogi na ziemię. Czuję pod stopami zimne drewno. Wiatr muska łydki. Co za rozkosz...

Tylko w snach mam zdrowe nogi. Tylko w snach jestem sobą.

Kładę się do łóżka. Spokój znowu napływa, koi ból. Spoglądam raz jeszcze na mojego towarzysza za oknem. Noc szerniała, nie widać już twarzy.

Nie widać już nic.

* * *

Słyszę jakieś głosy. Panika. To chyba doktor Amterstern woła kogoś. Tupot nóg, jęk kółek, czyżby wózek? Nie, to nosze. Chyba...

Odpływam z powrotem w sen.

* * *

Budzę się znowu. Ile czasu minęło?

Oczy zawodzą, kontury przedmiotów rozmywają się w szarej mgle. Wydają się bliskie i zarazem dalekie. Wyciągam dłoń, ale nie sięgam niczego.

Odór krwi uderza mnie w nozdrza, nie mogę się poruszyć. Wszystko wydaje się znajome. Chyba byłem tu kiedyś? Ten zapach – krew i fekalia.

I jeszcze coś...

Medykamenty. Jestem w Kortau.

Jestem w Kortau...

Zasypiam.

* * *

Otwieram powoli lewą powiekę. Pokój jest zaciemniony, światło nie razi za bardzo. Czuję słabość. Oddycham płytko, z wyraźnym trudem. Ból czaszki nie znika, odurza intensywnością. Świat wiruje, czuję mdłości.

— Będzie dobrze... — słyszę. — Będzie dobrze.

Kobieta. Nie pielęgniarzka. Nie pamiętam tego głosu.

— Obudziłeś się — mówi dalej. — Wreszcie. Siedziałam tyle czasu.

Chcę podnieść głowę, ale rezygnuję, przy każdym ruchu ból wzmagają się. Na moje nieszczęście, wszystkie zmysły się budzą. Cierpienie wykrzywia mi sprawną część twarzy. Czuję ciężar kołdry, nieznośne sprężyny szpitalnego łóżka. Przysiągłbym, że słyszę poruszające się powietrze.

— Miałeś wylew — mówi kobieta. Wiem, że siedzi na brzegu łóżka i ścisną z przejęciem moją lewą dłoń. — Proteza nie wytrzymała. Mówili, że przeszczep został odrzucony. Wszystko puściło. Wykrwawiałeś się.

Tak, teraz poznaję. Ta nienaganność słów, beznamietność głosu. Ton bez skazy, bez cienia emocji.

Podnoszę dłoń. Fala gorąca przetacza się przez moje ciało.

— Co? — pyta mnie małżonka. — Chcesz coś powiedzieć? Nie przemęczaj się. Jesteś jeszcze słaby, Otto.

Mój wzrok wyostri się. Osuwam bezwładnie rękę, a żona podnosi ją i kładzie na niej swoją dłoń. Chyba jedyna jej słabość – banalność gestów, nieudolna czułość tak kontrastująca z lodowatym chłodem głosu.

Nie mówi nic, jakby zbierała się w sobie. Ściska mocno moją dłoń i zaczyna gładzić mnie po policzku.

— Odjęli ci rękę, Otto — mówi wreszcie.

Zamykam oko. Nie chcę na to patrzeć.

* * *

Znów stoję obok łóżka. Próbuję napiąć mięśnie, ale przecież ich nie mam. Chcę ukoić serce, ale jestem bez serca. Mimo to krew krąży, podróżuje kanalikami, nie zatrzymując się ani na moment. Czuję jej rytm napędzający moje ciało. Czerwień istnienia, biologiczny mechanizm niczym zegar odmierza mi czas. Jednostajny, spokojny nurt.

Stoję na glinianej posadzce i spoglądam, jak moje gliniane stopy zapuszczają gliniane korzenie. Ściany z gliny, okna z gliny, łożo z gliny, a na łożu gliniana pościel. Podnoszę nogę i daję krok naprzód. Za lewą podąża prawa, za prawą ponownie lewa. Idę do glinianych drzwi i glinianą dłonią naciskam glinianą klamkę. Zatrzymuję się i kolejny raz patrzę w dół. Zniknęła proteza, wrosła w ciało, otaczając plastyczną materią wszystko: od skóry, przez paznokcie, aż do włosów. Jeden organizm.

Wychodzę na korytarz i nie czuję nic. Wiatr dotyka mnie, lecz nie przenika zimnem. Pachnie dymem, lecz nie drażni węchu. Oczu nie oślepia jasne światło. Mógłbym tak stać do końca czasu.

Idę jednak wzdłuż ścian, spoglądając na drzwi, tak kruche i obce, choć twarde jak ja sam. Każdy mój ruch jest harmonią, ciężkim, twardym pięknem mocnej struktury.

Skądś wiem, gdzie iść, choć nie mam pojęcia, dokąd zmierzam. Idę do celu. Wychodzę na zewnątrz i mijam okopy, nie zaszczycając glinianym spojrzeniem nikogo. Trup ściele się gęsto, kule świszczą naokoło, a zachód słońca maluje krwawe łuny.

Dostaję raz i drugi. Siła trafienia odrzuca mnie w tył, lecz nie mogę upaść. Nogi zapuściły korzenie – gliniane słupy wrosły w zakrwawioną ziemię. Korpus idealnie zatrzymuje pociski. Za moimi plecami chowa się młody chłopak. Sapie i łka, przyciskając karabin do piersi. Chcę mu rzec, by uciekał, lecz język nie porusza się wcale i dopiero wtedy pojmuję, że coś jest nie tak.

Grad wrogich kul sypie się na moje ciało. Glina zatrzymuje ołów. Stoję pewnie, niewzruszenie. Posągowa siła. Potęga.

Aż nagle padam na ziemię. Ginie żołnierz kryjący się za mną. Krew zaczyna się burzyć i zdradzieckie ciepło rozgrzewa mnie od środka. Zza worków piasku, służących za osłonę, wybiega chłopiec we wrogim mundurze. Dźga mnie w pierś.

Coraz cieplej, stwardniała glina topi się. Otwieram usta do krzyku, wybucham, rozpryskuję się, zabijając wszystkich wokół.

Głowa szybuje i upada pod portalem lazaretu.

* * *

— Czy to nie za szybko? — słyszę spanikowany głos. Ktoś stoi za mną, ale nie wolno mi się odwrócić. Jednak czuję, że znam go bardzo dobrze. Znam go, tak jak drzewo zna swoje liście, jak pies swego pana, jak karabin swego żołnierza. — Ludzie zaczynają mówić. Plotki. Niedługo wyjdzie to poza Kortau.

Przestań, może być świadomy...

— I tak nas nie rozumie — dobiega zza mych pleców. — A my musimy zdecydować!

Co proponujesz?

— Zaprześcimy prób na czas odwiedzin. Po co kusić los?

Jak długo?

— Tyle, ile to będzie konieczne.

Nie mamy wiele czasu. Oni są już blisko. Wiesz dobrze, o co im chodzi. Zdobędą to, a my będziemy bezsilni. Tyle lat na próżno. Pozbądź się jej.

— Jak?

Znasz odpowiedź.

— Znam.

Cisza i cień krat. Księżyc w pełni. Idealna noc, by spać.

— Tak — mówię.

A potem wszystko gaśnie.

* * *

— Panie doktorze, proszę mi powiedzieć, ile to jeszcze będzie trwało?

— Z pewnością długo, *Frau Benck* — odpowiada ściszym tonem chirurg. Pobrzmiwa w tym odpowiednia do sytuacji nuta goryczy i współczucia. — Przeszczep został odrzucony przez organizm. Co prawda wszystko wskazywało na to, że będzie inaczej, stan pani męża był stabilny, rokował jak najlepiej, ale coż...

Biorę głęboki oddech i uchylam powiekę. Więc to był tylko sen... Promień jasnego, słonecznego światła oddala grozę nocy. Przetykam ślinę i wbijam paznokcie w skórę. Słyszę własne serce.

— Rozumiem.

Głos Natalie nie chwieje się, słowa płyną pewnie. Jak zawsze doskonała. Zapewne stoi wyprostowana, z wypiętą piersią i miną niezdradzającą żadnych emocji. Jest w niej coś smutnego i zabawnego zarazem – oto niezdojta forteca, której nikt już nie chce zdobywać. Zgaduję, że mierzą się z Amtersternem badawczymi spojrzeniami, wykonując tylko zdawkowe gesty, zerkając czasami w moją stronę.

Nie wiedzą, że nie śpię. Sen już odszedł, zamazał się w potoku słów, jednak coś nie daje mi spokoju.

— Czy w takim razie będzie potrzebna kolejna amputacja?

Jej beznamiętność mrozi mi krew. Nie taką Natalie pokochałem kilkanaście lat temu.

— Nie — uspokaja medyk. — Zdołaliśmy zaszyć spękaną warstwę protezy i unormować za pomocą odżywczych eliksirów poziom gęstości krwi, dzięki czemu jej ciśnienie nie będzie już rozsadzać kanalików żylnych gliny. Jednak same kanaliki, szczególnie w górnej partii, zostały uszkodzone. Niektóre, niestety, są zablokowane. Może to spowodować zator i obrzęk, jeśli czegoś szybko nie zrobimy.

— Czyli nie rokuje najlepiej?

— Obawiam się, że nie.

— I naprawdę nie jest konieczna amputacja? — ciągnie moja żona. Po raz pierwszy od dawna wyczuwam zdziwienie w jej głosie. — Przecież skoro zrobi się zator, to krew nie będzie płynęła dalej i noga nie przyjmie się w ogóle? Proszę mnie poprawić, doktorze, jeśli się mylę.

Nie przychodziła tu od miesięcy. Odkąd odzyskałem przytomność, odwiedziła mnie tylko raz, na chwilę. Podobno czuwała przy mnie cały czas, gdy byłem w śpiączce, tuż po wypadku, ale potem nie interesowała się już niczym. Mówiła, że mój widok przydaje jej cierpień. Teraz za to jest, w pełni gotowości, czujna. Bada grunt. Stoi nade mną i jak gdyby nigdy nic mówi rzeczy, o których nawet Amterstern woli milczeć.

— Pani tok rozumowania jest poprawny, *Frau Benck*, jednak proszę o odrobinę wiary w nas, jesteśmy specjalistami i poradzimy sobie. Uratowaliśmy odrzuconą protezę. To nie byle co, proszę o tym pamiętać.

— Co się więc stanie z moim mężem?

Twarz Natalie nigdy nie pokazuje emocji. Radość wygląda upiornie, a smutek żałośnie. Zaduma bawi, wściekłość zaś zobojętnia. Wszystko na

opak. Jej lico pozostaje kamienne, tak jak jej serce.

— Projektantem owego kawałka gliny jest Wacław Sarment. Utrzymujemy z nim stały kontakt. Nie posłaliśmy po niego, bo nie jest konieczna jego interwencja, *Frau Benck* — wyjaśnia medyk. — *Herr Sarment* oprócz tego, że jest projektantem protez, posiada także wiedzę kabalistyczną. Łączy ją w swoisty sposób z formułami matematycznymi. Jego... aplikacje, to chyba odpowiednia nazwa... oddziałują w niezwykle sposób z przedmiotami, które sam wykonał. Dzięki takiej pomocy i zdwojonym wysiłkom z naszej strony będziemy mogli poprawić stan zdrowia pani męża. Poza tym ma on silny organizm. Odrzut występuje u większości pacjentów, nie jest to rzecz nam nieznaną. Mamy metody i środki na to, aby ozdrowić Ottona Bencka. On sam sobie również pomaga. Wykazuje się iście heroiczną postawą. To bardzo dobra cecha. Rzekłbym, że to nasza cecha narodowa.

— Dobrze więc — wypowiada moja żona. — Uspokoił mnie pan trochę, doktorze Amterstern. Jeśli zdobędę przedłużenie pobytu w Kortau, zadbam o samopoczucie Ottona. Chyba że stanie się nie po mojej myśli. Wtedy prosiłabym pana o kierowanie na mój adres korespondencji i informowanie o dalszych postępach. Proszę dołożyć wszelkich starań.

— *Alles klar, Frau Benck.*

* * *

Matilda mówi, że Natalie nie dostała pozwolenia na przebywanie w lazarecie. Odpłynęła w nocy do Allenstein. Towarzyszyła jej grupa osób odwiedzających bliskich oraz eskorta kilku wojaków. Pośród ryku pancernych powozów II Oddziału Kawaleryjskiego Zakonu Mieczowego, który pod osłoną mroku uwijał się z jakimś zadaniem, wsiadła na pokład. Żołnierze musieli trzymać ją pod ramię, gdyż słała się na nogach.

O podróży statkiem zdecydowały względy bezpieczeństwa. Podobno aż tutaj zapędziły się grupy zwiadowcze Wschodniobałtów. Atakują konwoje, tabory wojskowe, ale też cywili. Transport rzeczny jest bezpieczniejszy. Matilda wspomina, że z Allenstein mają wyruszać pociągi ewakuacyjne do Berlina. Nie wiem, ile w tym prawdy. Nie wiem też, co się stało z Natalie, czemu opadła z sił? Doktor Amterstern przekazał, że źle znosiła pobyt w placówce i z powodu stresu jej stan zdrowia się pogorszył.

Po głowie kołacze mi się myśl, że wojacy może skorzystali z okazji i zhańbili moją żonę. Chłopcy z frontu, przelewający krew, czasem biorą to, co uważają za sobie należne. Jeszcze tutaj, w zakładzie dla obłąkanych, bez okazji, aby udowodnić męskość. Do domu daleko, przepustek brak, nie wolno im się nawet oddalać do pobliskiego Allenstein. A krew nie woda. Tylko czerwone ściany szpitala, wspólna sala i nagle samotna kobieta z mężem kaleką.

Matilda zaprzecza:

— To nie tak, *Herr* Benck.

„A jak?”, kreślę na kartce koślawe litery.

Dziewczyna nerwowym ruchem poprawia kołnierz fartucha i stawia stołek u stóp mojego łóża. Na jej twarzy maluje się troska. Tak muszą się smucić anioły. Odkłada strzykawkę, po czym odchyła lekko kołdrę i patrzy na moją nogę.

Widzę małe szwy. Parę dni temu z tych ran wypływała brudna krew. Mimowolnie dotykam blizny. Muskam nabrzmiąłą fioletowosiną skórę i...

Ostry ból, jakby tysiąc grubych igieł wbijało się aż do kości.

A potem mimo wszystko uśmiecham się kącikiem ust. Uśmiech dla smutnego anioła.

— Natalie wyjechała, bo za dużo węszyła.

Mówi to z taką pewnością, jakby był to fundament całego świata. W tej jednej chwili zdaje się kapłanką tragicznej prawdy, a nie zwykłą,

roztrzepaną dziewczyną z wioski pod Allenstein.

Nie wiem dlaczego, ale jestem skłonny uwierzyć w jej słowa.

— To, co robią, jest złe — podnosi głos. — Widziałam, jak wynoszą ciała, jak wrzucają je do jeziora, obciążone kamieniami! A oni byli tylko chorzy! Widziałam dokumenty! Przeszukałam pokoje, te dla Mistrza Oddziału... Tam jest wszystko. Wszystko spisane! Jednemu oderwali nogę!

Podnoszę dłoń, daję znak, by przestała.

„To jakiś absurd”, piszę w pośpiechu, lecz ona nie zwraca na to uwagi.

— Ale mało tego! Była jeszcze Natalie. Mogła cię stąd zabrać, a na to by przecież nie pozwolili. Nie jestem głupia, Otto! Wiem, że i ją zabili! Nikt się stąd nie wydostanie!

„Dosyć”, kreślę ponownie. Odpycha moją rękę. Podnosi się i ze złością opuszcza salkę.

— Mordercy! — rzuca na odchodne, zupełnie bez sensu.

Nie wiem, co ją napadło.

Do pokoju wchodzi Martin, prowadząc przed sobą mój wózek.

— *Guten Morgen, Herr Benck* — wita się. — Może zechce mi pan towarzyszyć w spacerze?

Witam go półśmiechem. Zapisuję na kartce, że jeszcze nie jestem gotowy z recenzją.

— To nic! Mam następny fragment i być może po takiej próbie się uda?

Przystaję na to z ulgą. Martin przenosi mnie na wózek, a potem udajemy się do ogrodu. Kieruję go do małego portu – tego samego, z którego w nocy odpłynął parostatek Natalie. Rozglądam się uważnie, lecz nie znajduję niczego podejrzanego.

Tymczasem Martin siada na złocistym piasku naprzeciw mnie. Otwiera swój notatnik i bez zbędnych wstępów zaczyna czytać:

Opary według Hansa Groblera (powieść w odcinkach) – część 106

„Nikodem był blady i trzęsły mu się ręce. Próbował skryć to pod długim rękawem habitu, ale i tak widziała jego udrękę. Miała te same wątpliwości. Wszystko, w co wierzyła, było właśnie poddawane próbie. Jej świadomość topniała od myśli. Z niewielkiego kufra stojącego w kącie wyciągnęła czarną szatę i biały sznur. Inni poszli w jej ślady.

– Nędzny jest człowiek skazany na Łaskę – zaczął modlitwę Nikodem. Głosem chwiejnym i cichym dawał im swoje błogosławieństwo. Nielicznie zgromadzeni towarzysze, jedyni wierni oraz wtajemniczeni, pochylili głowy.

Kobieta wiedziała, że po zniszczeniu kryształów nie czeka jej już żadna przyszłość, ani w tym świecie, ani w drugim, tym po życiu. Czuła na skórze rozgrzaną smołę wylewaną na jej ciało w Piekło. Za śmiałość, za wystąpienie przeciw odwiecznemu porządkowi, przeciw normie. Łaska była narzędziem zbawienia, wyższą koniecznością – jednocześnie karą za grzech pierworodny i nagrodą za godne życie w jej oparach. Dla każdego, kto pokusił się o zabranie jej dla siebie, za przebywanie w niej zbyt długo, przewidziana była śmierć w męczarniach zobojętnienia. Ten, kto trzymał się przykazań i wypełniał boskie nakazy, mógł się w niej kąpać bezpiecznie. Tak mówiły nauki Ojców Założycieli, posłańców pierwszego Ojca Jedynego.

Doktryna mówiła, że Łaska przesłania świat fałszu i cierpienia, aby człowiek nie stracił zmysłów, żyjąc w świecie, który zniszczył, występując pierwszy raz przeciw Bogu. Łaska daje ukojenie zmysłów i duszy, daje bliskość siły boskiej, jest Ręką Boga – sprawiedliwą, lecz mocną zarazem. Człowiek nie jest w stanie znieść dotyku Boga zbyt długo, dlatego powinien chodzić w specjalnych szatach i masce. Czasem jednak, jeśli miły jest Stwórcy, powinien stanąć w Łasce w pierwotnej swojej postaci.

Kobieta wiedziała jednak, że nie było żadnej Łaski, tylko trujące opary przebiegle wykorzystywane do kontroli społeczeństwa. Wiedziała to

doskonale. Aż do dzisiaj, aż do teraz, kiedy nagle uświadomiła sobie, że nie ma przecież żadnych na to dowodów. Uwierzyła na wiarę Nikodemowi, tak jak kiedyś wierzyła w Tradycję kultuwowaną przez lata.

Rozumiała też jednak, iż nie sposób się wycofać. Nie teraz, kiedy kryształ były w jej posiadaniu. Tak kruche, na tyle niestabilne, że poza Świątynią, będącą w gruncie rzeczy twierdzą i bunkrem zarazem, poza ich gniazdem, które utrzymywało je w normalnym stanie, które zasilalo je nie wiadomo jaką metodą, mogą wybuchnąć i porwać ze sobą tysiące. Eksplozja uwolni śmiertelne chmury toksyn, które położą się na całym ziemskim stworzeniu.

Czy chciała, czy nie, musiała wrócić do Świątyni. Tylko tam bowiem, wiele metrów pod powierzchnią miasta, można było je bezpiecznie zdetonować. I umrzeć za sprawę, której poświęciła większość swojego życia.

– Amen – zakończył Nikodem.

– Amen – odpowiedziała wraz z resztą jej podobnych.”

* * *

Dziś nie zasnę. Moje zmysły są nad wyraz pobudzone. Patrę i nasłuchuję, ale za oknem tylko ciemność, a w uszach jedynie cisza. Świat zatrzymał się, a ja próbuję biec w miejscu.

Doktor mówi, że to dobrze, że tak powinno być. Kuracja działa.

Twierdzi, że nie powinienem kontaktować się z innymi. Przyczyn odrzutu jest wiele, a jednym z czynników mogą być zarazki. Mój organizm jest osłabiony i należy wyeliminować ryzyko.

Gdy spytałem go o Matildę i jej dziwne zachowanie, mruknął coś pod nosem.

Chciałbym mu powiedzieć, że potrzebuję ich: Martina oraz Matildy, nawet jeśli ma się zachowywać tak, jak ostatnio. Brakuje mi ludzi. Brakuje

mi życia.

Spokój lazaretu jest tej nocy zupełnie niezwykły. Odkąd sięgam pamięcią, nie było tu takiej ciszy. Jest zimno, ciemno i nic nie zapowiada nadejścia następnego dnia. Nie wiem, czy po takiej nocy słońce będzie miało odwagę wznieść się nad horyzont. Chcę, żeby wszystko wróciło do normy, żeby Matilda, ta dawna Matilda, przyszła jak gdyby nigdy nic. Niech Martin dalej czyta tę beznadziejną powieść.

Cisza i mrok to ostatnie, czego teraz mi potrzeba.

* * *

Fartuch siostry Hildy jest biały i wygląda jak nowy. Dziwnie kontrastuje z jej postarzałą twarzą o rysach gargulca. Orli nos, wielkie, głęboko osadzone oczy i przetłuszczone czarne włosy poprzetykane siwizną. Grube łydki wyzierające spod spódnicy i ogromne stopy w wełnianych kapciach. Człapie tak przez salkę, nic prawie nie mówiąc. Jedyne, co od niej usłyszałem, to burknięcie, że nie wie, co z Matildą. Od dziś ona będzie mi podawała proszki. I życzy sobie, abym nie stawiał oporu.

Też coś...

Od samego rana słychać odgłosy musztry i ćwiczeń. Muszkiety i jednostrzałowe karabiny poszły w ruch. To zakonne wojsko pruskie. Nie wiem, kiedy opuszczą Kortau, ale teraz codziennie między ścianami lazaretu odbijają się odgłosy wystrzałów.

Boję się o cokolwiek pytać Hildy. Posłusznie łykam leki, choć gardło mam ściśnięte. Nagle dociera do mnie, że nie lubię obcych. Wolę, gdy zajmuje się mną ktoś zaufany.

Drzwi otwierają się i do sali wchodzi doktor Amterstern. Na widok chirurga rozluźniam się. Prosi siostrę, aby wyszła. Chce zostać ze mną sam na sam.

Nie wiem, czy mam być mu wdzięczny, czy raczej powinienem się obawiać jakiejś złej wiadomości.

— Niosę przykre wieści, *Herr Benck*.

A jednak to drugie.

— Przenosimy pana do wspólnej sali, na oddział z resztą chorych.

Robi pauzę, a mnie przebiega zimny dreszcz. Tysiące pytań roi mi się w głowie.

— Z pewnością chce pan wiedzieć dlaczego? — mówi dalej medyk.

— To rozkaz Heinricha von Gertha, Mistrza Oddziału stacjonującego u nas z podwładnymi. Wczoraj w nocy przybył nowy transport rannych z frontu północnego i trzeba zrobić dla nich miejsce. Pańskie dotychczasowe lokum zostanie przeznaczone dla kilku poszkodowanych. Zmieści się tu przynajmniej czterech. Wiem, że to niesprawiedliwe. Pan jest sparaliżowany, a nie chory umysłowo i spać z nimi łoże w łożu będzie panu nie w smak. Jednak nie ode mnie to zależy. Von Gerth wczoraj wydał rozporządzenie, które pozwala mu administrować szpitalem wedle własnych życzeń. Nie wiem, czemu nagle się na to zdecydował, jest tu od dawna... Przyznam szczerze, że sam jestem zażenowany tą sytuacją.

Amterstern jest blady jak płótno. Dostrzegam to dopiero teraz. Coś ukrywa, czuję to. Znam go już długo.

Kolejne salwy z broni palnej rozrywają ciszę ogrodów Kortau. Dzisiejszą muzyką jest zawodzenie kul, szczęk zatrząsków i ładownic. Metaliczny powiew poranka wygonił zewsząd ptactwo, nie ujada żaden pies, nie słyszę tupotu saren, które czasem, rzadko, przebiegają tuż przy budynku.

Sięgam po papier, ale chirurg ubiega mnie. Wręcza mi też ołówek i cierpliwie, choć z marsową miną, czeka na moje pytanie. Chyba się go spodziewa, dałbym głowę, że już układa sobie odpowiedź.

Albo ułożył ją, jeszcze zanim tu przyszedł.

— „Co się dzieje z Matildą?” — czyta i stara się zachować nienaganny, nic niezdradzający wyraz twarzy. — Proszę się nie martwić, Herr Benck. Zadbaliśmy o nią.

Zadbaliśmy?

— Przeniesiemy pana jutro z samego rana. Proszę się dobrze wyspać.

Wstaje i wychodzi.

* * *

Jest wczesna noc, kiedy budzi mnie dudnienie ciężkich butów. Pomost nad Korto drży. Przystań zdaje się tętnić morderczym pulsem. Łup-łup-łup niesie się po okolicy.

Kolejny transport rannych z frontu. Słyszę ostre komendy. Ponad wszystkim rozlegają się krzyki von Gertha. Wydaje rozkazy, stojąc w rozkroku i zerkając czujnym okiem. Żołnierze pomagają rannym, wloką ich w stronę lazaretu. Żaden z poszkodowanych nawet nie piśnie, nie poskarży się. Jedynie po minach rozpoznaję, że cierpią.

Załoga stoi i patrzy. Parostatek dymi nie tylko z komina, ale i z uszkodzonej lewej burty. Znać po nim ciężką przeprawę na Alnie. Wschodniobałtowie podobno puścili na pruskie rzeki miny podwodne. Jeśli to prawda, to co się stało ze statkiem, którym popłynęła Natalie?

Wszystko dzieje się tak szybko, jakby poganiał ich sam diabeł. Doktor Amterstern biegnie w stronę tych, których stan na pierwszy rzut oka wydaje się poważny. Von Gerth wrzeszczy, poganiając medyka i siostry. Po chwili z budynku szpitala wybiega większa grupa mężczyzn w białych fartuchach. Poznaję niektórych. Widziałem dwóch czy trzech podczas mojej wycieczki po Kortau. Jednak wszystkie twarze zlewają mi się w jedną.

Przytrzymuję się framugi okna. Prawy bok mi ciąży, napinam wszystkie mięśnie. Nigdy nie widziałem parostatku, choć tak wiele ich

przyżywa do Allenstein. Ten, opancerzony i groźny, przypomina smukłego lisa. Musi być zwrotny i szybki.

Lis pełen Prusaków.

Von Gerth... Ten człowiek rzeczywiście zapracował na swoją pozycję. Patrząc na niego, zdaję sobie sprawę z prawdziwości pogłosek krążących na jego temat. Surowy oficer, znawca wojny. Jest coś w barwie jego głosu, co nie pozwala się sprzeciwić, jego pewność siebie widać na każdym kroku. Von Gerth jest niczym tytan w mnisim, a zarazem żołnierskim habitie. Wyprostowany jak struna, z dumnie wypiętą pierśią.

Widzę go pierwszy raz, a wydaje mi się, że znam go od lat. Jego historią swego czasu żyło całe Allenstein. Opisywano ją w gazetach, komentowano na ulicach. Szeptano o niej w kolejce do teatru, obecna była w saunach, jadłodajniach i burdelach. Każdy coś wiedział, jeden lepiej od drugiego. Nawet szkoły tętniły od plotek – dziatwa przekazywała sobie to, co słyszała od rodziców.

W szybkim czasie tragedia urosła do miana legendy i niewielu potrafiło odcedzić prawdę od fałszu. Burzy tej nie zatrzymała nawet poprzednia wojna. Von Gerth bił się ze Wschodniobałtami, nie wiedząc nawet, co mówi się o nim w ojczyźnie.

A mówiono sporo. Spiskowe teorie rozpanoszyły się wszem wobec. Prawdą jest, iż młodszy brat von Gertha został zamordowany, a sprawcy nie odnaleziono. Wszyscy mieli na ten temat swoją opinię, wskazywali przeróżne osoby, podawali rozmaite powody. Niektórzy nie cofali się także przed oskarżaniem samego Mistrza Oddziału, dopatrując się wielkiego rodzinnego sekretu. Pikanterii dodawało to, iż w niedługim czasie śmierć zabrała również głowę rodziny von Gerthów – Gerharda.

Według oficjalnych wieści umarł ze zgrzyoty. Serce nie wytrzymało tęsknoty za utraconym dzieckiem. Trudno było w to uwierzyć. Senior rodu był bowiem twardym zakonnikiem – jednym z tych, którzy nigdy nie pozwalali sobie na chwilę słabości.

Gdy młody dziedzic wrócił z wojny, wszystko ustało. Miasto zamilkło w obawie przed gniewem młodego von Gertha, który spod Rygi przyniósł kilka blizn po odniesionych ranach i srogość oblicza. Rodzinne troski również odbiły na nim swoje piętno – spojrzenie stało się wrogie, żądne krwi, a ktokolwiek zbliżył się do weterana, czuł chłód. Z początku ludzie pytali go o zdrowie, samopoczucie, próbowali dawać dobre słowo, pocieszać. Szybko się to skończyło – Heinrich dotkliwie pobił mężczyznę, który z potrzeby serca starał się okazać mu wsparcie, chwytając go za rękę.

To rozwiało wątpliwości, kto stał za morderstwem młodszego z braci. Mało tego, Mistrzowi Oddziału przypisano jeszcze śmierć ojca. Miał jakoby wrócić do Allenstein na przepustkę i dokonać mordu na starym Gerhardzie. Zakon nie mógł sobie pozwolić na utratę doskonałego dowódcy – Heinrich okazał się bowiem utalentowanym, choć bezwzględnym oficerem z niebywałym wręcz zrozumieniem wojny – sprawę więc zatuszowano.

Wszystko to widać w postawie von Gertha. To prawdziwy demon na czele małej, prywatnej armii, gotowej oddać dla niego życie. Jego ludzie boją się go i uwielbiają zarazem. Znać to po ich nerwowych ruchach, unikaniu wzroku pryncypała. Rozkładają zasieki, nie czekając na jego komendy.

Całe to zamieszanie przypomina mrowisko, gdzie żołnierze i robotnice krążą po dobrze znanych, ustalonych ścieżkach, oszczędzając czas i siły na żmudne myślenie. Nic nie zostaje zmarnotrawione, każda chwila ma swoje znaczenie. Tylko zamiast królowej, wielkiej i dostojnej, jest król.

Tak zaślepia mnie jego widok, że nie słyszę, jak otwierają się drzwi mojej salki i wbiega kilku wojaków. Zaskoczony, otrząsam się, dopiero kiedy biorą mnie pod boki i unoszą w powietrze. Chcę zaprotestować, ale nie reagują na moje stękanie. Próbuje wierzgać, lecz trudno jest stawiać opór, gdy ma się sparaliżowaną połowę ciała.

Wynoszą mnie do hallu. Widzę zapalone świece na żyrandolach pod sufitem wysokiego korytarza. Płomyki migoczą na wszystkie strony, pęcznieją, przygasają, aby ponownie zapłonąć. Cienie kładą się po ścianach, pikielhauby wirują w szaleńczym tańcu pod moim ciałem. Ktoś przebiega obok. Słyszę przeciągły zgrzyt przesuwanych mebli.

— Stójcie! — słyszę znajomy głos. — Co wy wyprawiacie?!

— Rozkaz Mistrza! — rzuca ktoś krótko, jakby to cokolwiek wyjaśniało.

— Ale nie możecie! To mój pacjent!

Świst powietrza i odgłos uderzenia. Nie słyszę już nic więcej.

* * *

Zamykam oczy, by nie patrzeć na ludzi. Jednak wciąż zerkam moim jednym okiem, sprawdzam, czy nie ma żadnego zagrożenia.

Dwadzieścia gęsto stłoczonych łóżek, a na nich obłąkani w różnych stadiach demencji. Zaślinieni, majaczący, wymachujący rękami. Najgroźniejsi przypięci specjalnymi pasami, inni zwinięci w kłębek lub kiwający się na boki jak dzieci z chorobą sierocą. Z błędnym wzrokiem poszukującym chwilowego oparcia, odpoczynku, patrzący w jeden punkt lub przerażająco obojętni. Czekaający na swój czas, aby wybuchnąć.

Wokół czerwone cegły, jakby wypalane we krwi. Dwa okna z uchylonymi lufcikami, przez które leniwie sączy się dym z komina palarni. Nie wiem, co palą wojacy, ale pachnie to, jakby pochodziło z samego dna ziemi.

Moja prycza stoi nieco z boku, w samym kącie izby, tuż obok stołu operacyjnego oraz krzesła z pasami dla krnąbrnych pacjentów. Pamiętam ten stół, to tu amputowali mi nogę i rękę. W malignie narkozy patrzyłem na niego, by za chwilę stracić przytomność.

Na początku ulokowali mnie pośrodku sali, między jednym pomyłonym a drugim. Dopiero interwencja Amtersterna spowodowała, że zwolniło się miejsce pod ścianą, gdzie było w miarę bezpiecznie. Czuję wdzięczność choć za to, nie jest jego winą, że mnie tu przeniesiono. Podobno w mojej dawnej salce leży teraz pięciu rannych. Ortopeda mówi, że oczekują na śmierć, nie wyliżą się. Jednak aby ostudzić moją nadzieję, rzekł, że wciąż dostarczają nowych i nie ma się co łudzić szybkim powrotem.

Napięta cisza przeplata się z wibrującym szeptem i głośnym dyskursem innych leżących na sali o rzeczach mi nieznanach. Gdy choć na chwilę siostra opuszcza pokój, natychmiast ożywiają się. Podskakują na łózkach, podekscytowani, wymachują rękami, oblizują się jak psy. Wędrują z jednego miejsca na drugie, przeciskając się między pryzami niczym węże. Czasem nawet pełzną.

Ale najgroźniejsi wydają mi się ci siedzący nieruchomo. Gdy patrzę na nich, nie widzę żadnego znaku życia. Poruszają się, tylko kiedy nie spoglądam, i zawsze wtedy odwracają się w moją stronę.

Amterstern przyszedł rano i przeprosił za zaistniałą sytuację. Stara się wynegocjować z von Gerthem przynajmniej małe pomieszczenie dla mnie. Będzie to trudne. Wojsko zagarnęło dla siebie większość sal. Nie ma innych priorytetów. Matildy nie widziałem od dwóch dni. Doktor też nie wie, co z Natalie. Zdaje się coraz bledszy. I choć nadal próbuje trzymać fason, widać, że jest roztrzęsiony.

Coś się zbliża...

* * *

Niech cię szlag, von Gerth, słyszę zza siebie. To znowu mała salka, znowu ten sam horror.

— Znałeś ryzyko. Trzeba było przyjeżdżać wcześniej, żydowski psie.

Jesteś dla mnie nikim, mówi drugi głos, przytłumiony, jakby z głębokiej studni. Gdybym mógł, starłbym cię na proch. Jednak jesteś częścią planu. Bóg mi świadkiem, nie wiem dlaczego zostałeś do niego wybrany.

Coś się zbliża, czuję to. Nieodgadniona przyszłość nadchodzi, powoli stając się terażniejszością. Stoję nieruchomo, jednocześnie płynąc wraz ze strumieniem czasu. Jego wody są jeszcze spokojne, ale coraz szybciej wyrwają do przodu – wiem, że niedługo, już zaraz, nurt pogna szaleńczo. Spienią się fale i nastanie czas rzeki, która wkrótce potem wyleje się na pograniczną ziemię, zmieniając się w wielkie jezioro. Zachłanna, bezlitosna woda będzie dalej zatapiać świat, aż przekształci się w morze, ocean. A w końcu wszystko zniknie pod jej powierzchnią.

Nowy potop.

Zaczynam śpiewać, mechanicznie, pusto, bez udziału woli.

— Co to wyprawia?!

Modli się. To ektenia. Ektenia dziękczynna.

— Słyszałem coś podobnego na Wschodzie...

Tam słyszałeś raczej ektenie błagalne.

— Więc za co to dziękuje?

On też już widzi to samo, co ja. W takich momentach wypełnia go jasność. On zna już plan. On wie, co się stanie i jaka w tym jego rola.

Mężczyzna zwany von Gerthem prycha i odpowiada:

— Za nic mam to wszystko — w jego głosie słychać irytację. — Obchodzi mnie tylko wynik. Nie cofnę się przed niczym, aby ochronić przed wrogiem to, co tu robimy. To nie może wpaść w niczyje ręce. Jeśli trzeba, zniszczę dowody i ten twój „plan” upadnie!

Zrobisz dokładnie to, do czego jesteś przewidziany. Nic więcej, nic mniej. Jak i my wszyscy.

* * *

Wstaję.

Muszę wstać.

Nie mogę tak dłużej.

Dyszę ciężko, a ból w piersi uświadamia mi, że tej nocy z pewnością nie będę sam, towarzyszyć mi będzie cierpienie.

Wspieram się na krześle i unoszę. Mebel ani drgnie, jest przytwierdzony masywnymi gwoździami do drewnianej skrzypiącej podłogi. Drgają za to mięśnie, zwiotczałe przedłużającym się pobylem w szpitalu. Długo nierozmasowywane, zastygają zbyt szybko.

Kilka oddechów. Patrzą nieco trzeźwiej. Wzrok przyzwyczał się do mroku, łuny białych plam nie wędrują pod powieką. Zapieram się jeszcze mocniej niż dotychczas, bezdźwięczny koncert bólu i słony smak krwi w ustach. Przygryzłem wargę. Wczoraj było łatwiej. Wstałem prawie bez wysiłku, tak jak to czynię w snach. Po prostu uniosłem się, powoli doczłapałem do okna na lewej nodze, wlokąc za sobą prawą. Kryzys przyszedł, dopiero gdy oglądałem zbiegowisko. Dzisiaj jest zdecydowanie gorzej, ciało stawia opór, organizm nawykły do bezruchu buntuje się. Staram się nie zwracać na to uwagi.

Serce wali jak młot.

— Pomóc ci? — słyszę znajomy głos.

Zerkam na ledwie widoczną twarz Martina.

— Przenieśli mnie przed zmrokiem. Spałeś — wyjaśnia.

Ktoś poruszył się na pryczy. Odwracam powoli drżącą głowę. Martin chwyta ją w swoje dłonie i mogę spojrzeć mu w oczy. Jego spojrzenie wydawało mi się zawsze nieruchome. Oczy nie poruszały się, nawet gdy czytał, jakby od razu widział wszystko.

— Nie bój się, jestem dobry Martin. Jestem bardzo dobry Martin. Byłem pielęgniarzem. Znam się na rzeczy. Leczyłem takich jak ty w Neidenbergu.

Śmieje się cicho, a ja nagle zaczynam się trząść. Martin? Już nie Hans Grobler?

— Bili cię. Wiem, bili cię. Ukradli ci dłoń. To psy. Ale to nic, to się da naprawić, przyszywałem już takie rzeczy. Nieraz przyszywałem. Jestem w tym mistrzem. Nikt nie narzekał, ani Bezoki Hans, ani nawet Mała Polly, chociaż ona zawsze musiała mrużyć pod nosem. Wiesz, wieczna maruda. Ale lubiłem ją. Była ładna. Dopóki nie ukradli jej nosa i nie ogolili brzytwą. A potem miała dwa uśmiechy. Też mi się to podobało, ale Polly już potem nic nie powiedziała. I skóra się jej zapadła. Taka zimna była, zimna. I nie krwawiła, kiedy odcinaliśmy jej pośladki. I nie wrzeszczała. A my byliśmy jej wdzięczni. Bo głód był.

Nagle otula mnie chłód. Ktoś ściągnął kołdrę, ktoś zachichotał.

— Ucisz się, ucisz — Martin szepce mi do ucha. — Niedługo cię stąd zabierzemy. Chwila, a będziesz w domu.

Ktoś krząta się u nóg łoża. Wśród pochrapywań szaleńców słyszę szelest. Odwracam głowę i widzę nóż.

— A pokaż, co tam masz, kochanie. Pokaż — słyszę.

W tej chwili dochodzi do mnie odgłos pukania w okienną szybę. To wiarus z moich snów. Patrzy na mnie pustymi oczodołami, wydaje mi się jednak, że widzi wszystko.

Gdy chłodna stal ostrza rozcina glinę, czuję wzbierającą furję. Potężna fala gorąca przesuwa się z kończyny w górę, rozpalając korpus, każdy mięsień, wszystkie nerwy. Zaciskam lewą pięść i unoszę dłoń. Wydaje mi się, że widzę uśmiech na twarzy wiarusa, choć jego poorana bliznami twarz nadal jest nieruchoma.

Gorączka rozpała czoło, a w żyłach zamiast krwi krąży płynny ołów. Mrok przesłania mi wzrok i czuję tylko, że moja dłoń tnie powietrze. Ktoś upada na podłogę z głuchym pogłosem.

— Co się tu dzieje?! — Siostra budzi się i zaraz zapala małą lampę.

Biorę głęboki wdech, uspokajam się. Kolorowe plamy wirują mi przed oczyma – wyglądają jak odpryski potłuczonych tęczy. Powoli podnoszę powieki, wszyscy patrzą tylko na mnie – pacjenci lazaretu, siostra, Martin leżący na podłodze wraz z drugim, którego nie znam. Wpatrują się we mnie płomiennie czerwone cegły. W dusznym, zadymionym powietrzu pokoju na poddaszu wisi pytanie, którego nikt nie ma odwagi zadać.

Dlaczego siedzę na łóżku bez niczyjej pomocy, skoro jestem sparaliżowany?

W oknie nie widać już wiarusa, lecz tylko chorego z przepaską na oczach. Jedyne, co upodabnia go do postaci z mych snów, to trupie oblicze
Upadam bez sił na pryczę.

* * *

— Nie słyszy nas? — słyszę za sobą szept.

Nie.

Obok ktoś stoi, czuję jego obecność, ale nie mogę się ruszyć.

Jak to wygląda?

— Nie zdołaliśmy go upilnować...

Więc nie podjęliście odpowiednich środków ostrożności.

— Nie było jak ich zapewnić, wiesz doskonale. To przecież był twój pomysł, psie. Teraz pozostanie w uśpieniu.

Nie czuję niczego.

Niczego...?

— Będą konieczne dalsze zabiegi... Nie zdążymy.

Tak nie może być. Instrukcje były jasne i precyzyjne.

— Zdaję sobie z tego sprawę, ale wszystko nie tak.

Musi być czas, inaczej nie można. Nie da rady.

— Zamknij wreszcie mordę!

Tu już nie chodzi o ludzi. Nigdy o nich nie chodziło!

* * *

Wiatr nie zmienił się od dwóch dni. Ciągłe dmie w tę samą stronę, coraz więcej dymu z komina palarni gromadzi się w izbie. Krąży leniwie pod sufitem, tworząc przedziwne kształty. Już przywykłem, zdążyłem zobojętnieć. Tu wszystko jest nie tak.

Prycze nie takie, pacjenci nie tacy, dym nie taki, kolory nie takie, ja nie taki.

Lazaret staje się coraz głośniejszy. Ktoś biegnie korytarzem, ktoś krzyczy, jakiś ranny jęczy nieustannie. Żołnierze nawet nie starają się nikogo pocieszać. Napatrzyl się na śmierć, mają dość. Część z nich pewnie marzy, aby znaleźć się na jego miejscu. Umrzeć w łóżku, w czystej koszulinie, pod troskliwym okiem sióstr.

Mógłbym im coś na ten temat powiedzieć. Od wielu miesięcy czuję się jak umarły. Ja, przykuty do łóżka, otępiały, coraz bardziej pogrążający się we własnych omamach, otumaniony płonną nadzieją. Oni myślą, że tak lepiej, ale nie mają racji. Żywota powinno się dokonać stojąc. Krótko i bez męczarni.

Teraz nawet jest gorzej. Odkąd zjawilo się wojsko, nikt nie ma na nic czasu. Medycy z podkrążonymi z braku snu oczyma, zrezygnowane pielęgniarki, które nie nadążają z wykonywaniem swoich obowiązków, jakby gonili uciekający w zastraszającym tempie czas.

Wszyscy, tylko nie ja.

Drzwi izby otwierają się. Wprowadzają kogoś, jakąś kobietę. Wydaje nieartykułowane dźwięki, miota się. Ktoś z tyłu klunie na czym świat stoi. Przymykam powiekę, to nie moja sprawa.

Martin siedzi w kaftanie. Nie wiem, skąd wziął nóż, to nieistotne. Ważne, że zniszczył protezę. Co prawda nie czuję bólu, ale nie ma nic gorszego na świecie niż stracona nadzieja.

Amterstern przybył rano i nie mógł pohamować złości. Zbeształ siostrę, że nie pilnowała mnie w nocy, a wrzeszczał tak, aż mnie samego sparaliżował strach. Nigdy nie sądziłem, że jest do tego zdolny. Przeczytał zapisy z moich snów i wyznał, że gdyby wcześniej baczniej im się przyjrzał, mógłby zareagować na czas.

Pocierając zmęczoną twarz, z widocznym trudem tłumaczył, że nie możemy przerywać kuracji, że to tylko małe komplikacje. Dlatego jeszcze dziś wieczorem zamierza zoperować mi kikut prawej ręki i przytwierdzić kolejną protezę. Na pierwszy ogień idzie ramię do łokcia, pojutrze zamocują przedramię, a za cztery dni bazę dłoni. Paliczki będą musiały poczekać. Wprawdzie i tak nie jestem jeszcze w pełni gotowy na zabieg, ale nie można zwlekać, mamy niewiele czasu.

Gdy spytałem o nogę, odparł, że na szczęście nie naruszono wszystkich kanalików, tylko niektóre bliżej skorupy. Wewnątrz nie wyglądają na zniszczone. Gdyby urazy były poważniejsze, dostałbym wysokiej gorączki.

Powiedział jeszcze, że zbliżają się Wschodniobałtowie. Na ten czas Kortau ma się stać twierdzą, której żołnierze bronią do ostatniej kuli i ostatniej kropli krwi.

To dlatego ruszyła palarnia i słychać hałasy z ogrodu. Budują umocnienia, okopują się. Wśród płonących dokumentów i ciał zabitych von Gerth tworzy małe osobiste Festung – miejsce bitwy jego życia.

— Do diabła! — dobiega mnie donośny głos dowódcy. Sam Mistrz Oddziału pofatygował się na poddasze, wprost do salki przeklętych. Zdążyłem go znieńawidzić. — Wrzucicie dziwkę do tych wariatów!

Otwieram powiekę.

Matilda.

Zaśliniona, naznaczona licznymi ranami na twarzy i sińcami na rękach, z obłądnym, rozbieganym spojrzeniem. Jej pusty wzrok nawet na chwilę nie zatrzymał się na mnie.

Żołnierze pruskiego wojska zakonnego rozpychają się między pryczami w milczeniu. Matilda wije się w żelaznym uścisku ich dłoni.

— Przykujcie ją do krzesła — grzmi dalej von Gerth. — Obok kaleki.

* * *

Staram się przypomnieć sobie słońce. Dziwnie jest patrzeć na nie przez ten ulotny moment w oceanie bezkresnego czasu. I nawet wtedy nie widać, jak bardzo piękna jest jego świetlista tarcza. Wzrok zaraz zaciera ciemność – zwiastunka goryczy. Tak jakby jasność, jaka spada na ludzi z nieba, miała wystarczyć. Jakby nikt nie zasługiwał na jedno dłuższe spojrzenie na słońce. Zamiast stać u źródła, klęczymy obok ujścia, tam gdzie nie sposób odróżnić rzeki od morza.

Tak właśnie się czuję, patrząc na Matildę.

Nie wiem, co czuje ona. Mam wielkie obawy, czy i ona wie? Hilda wyjawiała mi, że von Gerth trzymał Matildę w swoim pokoju przerobionym na prywatną alkowę i bił. Maltretował to biedne dziecko, gwałcił – słyszeli to wszyscy, którzy czuwali pod salką, gotowi stawić się na jedno skinienie Mistrza. Hilda należała do personelu wyznaczonego do usługiwania wojakom, więc w ucho wpadło jej to i owo.

Nikt nie interweniował. To rzecz dowódcy, co robi z podległymi mu ludźmi.

Martin nie wpatruje się dziś w jeden punkt. Jakby na przekór zabiegom lekarzy, podającym mu ogromne dawki uspokajającej morfiny, jego wzrok krąży wszędzie, pozornie bez celu, ale wiem, że jest w tym jakaś dziwna logika, prawidłowość obłąkanego umysłu. Martin szuka, wciąż na nowo.

Nie mogą go przenieść, nie ma miejsc. Część pacjentów przetransportowano do placówek mieszczących się z dala od frontu, reszta tłoczy się na małej przestrzeni, wiecznie niespokojna. Wszystko jest paliwem dla ich szaleństwa.

Martin patrzy na okno. Uśmiecha się i przekrzywia głowę. Przypomina psa, który zobaczył kość. Wreszcie odszukuje mnie i mówi:

— Znowu się widzimy. Na szczęście jakaś znana twarz w tym kotle.

Odwracam głowę, noga pulsuje jak opętana, uspokajając się tylko na krótkie chwile. Szew przestał swędzieć – teraz pobrzmiwa symfonicznym bólem promieniującym aż do glinianych palców u stopy.

— To jak będzie? Przeczytać panu kolejny fragment? — pyta bez troski. Jest spokojny, tak bardzo opanowany, że aż dreszcz wątpliwości przechodzi przez moje ciało.

— To ja, Hans. Hans Grobler — zagaja ponownie.

Po jego czole spływa gęsta kropla potu.

— Cisza! — gani go siostra.

Sięgam po kartkę i ołówek. Piszę, walcząc z samym sobą:
„Notatnik”.

Kobieta chwilę się zastanawia, po czym wzrusza ramionami.

— Masz pozostać na krześle, Martin — upomina go.

— Hans. Jestem Hans. Piszę książkę.

— Bierz. — Podaje mu zeszyt. — Tylko pamiętaj, że wszystko widzę.

Pacjent przysiada obok mnie i oblizuje spierzchnięte usta. Zanim zacznę czytać, chwytam mocno moją dłoń i spogląda ze współczuciem. Mimo wszystko cieszę się. Oto upragniona chwila spokoju.

Opary według Hansa Groblera (powieść w odcinkach – część 107)

„Blade lico, okryte bezbrzeżnym zdumieniem, przypomniało kobiecie, kim naprawdę była. Bezwzględna morderczynią, gotową na wszystko, byleby osiągnąć swój cel. Gorąca fala emocji i adrenaliny przetoczyły się przez jej ciało, gdy wyjmowała nóż z piersi strażnika. Rzut oka na jego martwą twarz przywrócił jej pewność. Na nowo odkryła swój cel.

Pomyślała, że może się udać. Przyglądając się Nikodemowi, kroczącemu na przedzie, rozglądającemu się uważnie, dostrzegła, że też to czuł. Nerwowe drżenie rąk zniknęło, a krok mężczyzny stał się pewny. W pokutnym habicie szła miłosierna śmierć, nie zaś człowiek.

Droga tym razem stała otworem. Gdy kobieta była tu kilka godzin temu, wszystko wyglądało inaczej. Wejście zabezpieczone potężnymi stalowymi drzwiami, strzeżone przez spory oddział ludzi – na pierwszy rzut oka nie do przejścia. Wystarczyło jednak wprowadzić pozostałych, już nieżywych, złodziei w szeregi ochrony świątyni, a później czekać, jak o ustalonym czasie poderzną gardła zbrojnym. Zaplanowali to z Nikodemem doskonale, realizowali przez długi czas, opłacając najemnych łotrów. Cierpliwie czekali, aż ci zdobędą uznanie w szeregach świątynnych.

Do tej pory wszystko działało nienagannie. Świątynia była praktycznie pusta, tak jak przewidywali. Nikodem mówił, że ważna jest wiara w to, że spisek mający na celu kradzież Łaski pozostanie niewykryty, a cała wina spadnie na prostych złodziei kierowanych brudnym zyskiem, niewiedzących nic o prawdziwych właściwościach kryształów. Jego towarzyszka miała wątpliwości, czy tak się stanie, ale teraz na własne oczy widziała, że nie pomylili się. Obrońcy starego porządku opuścili twierdzę, by szukać zguby nie tam, gdzie trzeba. Zbagatelizowali ich. Do samego końca nie zdawali sobie sprawy z powagi sytuacji.

Posuwali się ostrożnie, w cieniach rzucanych przez lampy wiszące na ścianach krętych schodów świątyni. Szli w dół we dwójkę, pozostawiając współtowarzyszy na zewnątrz, tak jak ustalili. Nikodem prowadził. Pistolet schował za pasem, gotów zabić za pomocą długiego noża każdego, kto stanąłby na jego drodze. Bezszelestnie, jak duchy, pokonywali kolejne stopnie, a potem korytarze z wieloma odnogami. Mężczyzna szedł pewnie, ani razu nie gubiąc drogi, jakby instynktownie wyczuwając, gdzie powinien się kierować. Wprawiało to w niezwykle osłupienie i dowodziło, że nawet ten, kto nigdy nie był w świątyni, kroczył ku jej sercu – gnieździe kryształów.

Przedzierali się przez półmrok otulający komnaty. Szepty nielicznych kapłanów oraz policmajstrów odbijały się od ścian i sklepień, wracając zwielokrotnionym echem. Starannie stawiali kroki, dbając, by żaden demaskujący dźwięk nie wybrzmiał spod ich nóg. W razie potrzeby porozumiewali się ze sobą gestami. We wszechpanującym ciężkim zapachu oparów, które rodziły się z tego miejsca i kanałami wentylacyjnymi uciekały do góry, nie można było wziąć głębszego oddechu nawet po założeniu maski. Stężenie było tak wielkie, że nabierało się przekonania, iż jest to dom wszelkiego zła, nie zaś wiekuistego dobra.

Pomieszczenie gniazda było przed nimi. Jedynym, co oddzielało ich od osiągnięcia celu była gruba ściana bez okien, za to z potężnymi drzwiami. Twierdza w twierdzy, do której dostępu broniły trzy pulpity z pokrętłami i zębatkami. Aby wejść do środka, należało ustawić mechanizmy w odpowiedniej konfiguracji. Za każdym razem, gdy zostało to wykonane, jeden z grubych metalowych prętów chował się z sykiem. Pokonując pierwsze zabezpieczenie, uruchamiało się zegar odliczający zaledwie kilka minut na złamanie dwóch pozostałych kombinacji.

Nikodem odstąpił od pulpitów, tworząc miejsce dla towarzyszki. Kobieta w duchu liczyła na to, że kody nie zostały zmienione, na wypadek gdyby trzeba było szybko przenieść do gniazda odnalezione uprzednio

kryształ. Zwykle zmieniano je dość często, aczkolwiek teraz sytuacja stała się krytyczna. Według przewidywań spiskowców kapłani powinni zachować zdrowy rozsądek oraz założyć spory margines błędu, przez co powiększali swoje szanse na uratowanie Łaski.

Po raz kolejny nie pomylili się. Kombinacje nie zostały zmienione. Wtedy właśnie powróciły wątpliwości.”

* * *

— Jestem wiarusem. Wiarusem.

— A co ty tam masz, skarbie? Pokaż, pokaż, kochanie! — dochodzi skądś obok mnie.

Dwóch pacjentów, którzy zbudzili się tuż przed świtem, stoi teraz nad otumanioną, zmalretowaną Matildą.

— Jestem wiarusem — cedzi szalenięc. — Muszę walczyć, przydam się. Mam broń, tylko gdzie mundur? Gdzie się wszyscy podziali? Moi kompani, idziemy na śmierć...

— Tak skarbie, dobrze gadasz. — Kątem oka widzę zgarbioną, wynędzniałą postać. — W bój! Nasze miejsce jest tam! Ty będziesz prowadził, jam asystent twój! Razem pójdziemy na wojnę wrogom nieść kostuchę!

— Znasz mnie, prawda? — odzywa się nagle Martin. — Znasz. To przecież ja, Helmut, zaopatruję naszych zakonników w broń. I sam walczę, gdy trzeba.

— Skarbie, nie stójmy tak — ciągnie garbaty. — Kochanie, ciemno niedługo, spieszyć się czas. Oni już za progiem czają się jak zbójcy. Musimy ich ubiec, pierwsi zadać cios. Ty masz nóż, ja mam pięść. I siłę. Staranuję ich, wezmę część na siebie. Ty będziesz dorzynał!

— *Mmmmmm...* — rozlega się z przeciwległego kąta sali. Kolejny wariat.

— Cisza wszyscy! — piskliwie krzyczy siostra.

Chorzy odwracają się w jej stronę, a ona nagle traci rezon i blednie. Robi krok do tyłu i nie spuszczaając ich z oczu, stara się sięgnąć klamki. Martin wybucha śmiechem. Wtórjuje mu garbus. I naraz śmieją się wszyscy.

Któryś zrywa się z pryczy i rzuca w kierunku drzwi. Siostra zamiera. Na jej twarzy maluje się przerażenie. Jak najbardziej uzasadnione. Nerwowo macha ręką, poszukując upragnionej klamki. Jest już blisko, gdy szalenciec dobiega do niej i łapie za gardło. Garbus w tym czasie uwalnia Martina z kaftana.

Drzwi nagle otwierają się i staje w nich Amterstern. Zdziwienie na jego twarzy widać tylko przez moment. Wnet pojmuje, co się dzieje. Za medykami stoją pielęgniarki, wszyscy w operacyjnych kitlach, gotowi do operacji.

Mojej operacji.

Garbus podrywa się i ze zwierzęcą zwinnością przebiega po pryczach. Wygląda teraz jak najgorszy z koszmarów. Chirurg odwraca się, by uciec, lecz zderza się z pielęgniarkami. Głupcy stoją jak wryci.

Garbus dopada Amtersterna i powala go na ziemię. Upadają jeszcze dwie osoby z personelu. Natychmiast pojawiają się przy nich inni chorzy. Ich ruchy są piękne, pełne gracji. Bez kłopotu obezwładniają medyków. Siostra klęczy z coraz mętniejszymi oczyma i ostatkiem sił próbuje złapać oddech. Jej sine dłonie opadają. Ktoś wyjął z kieszeni chirurga klucz do salki. Trzask zamykanych drzwi, szcęk zamka.

Wiwaty szaleńców. Oto i oni mają swój bastion.

* * *

Odgłosy kłótni słyhać nawet pośród gwaru pomyśleńców. Dochodzą zza zamkniętych drzwi, niby nerwowa muzyka albo brzęczenie muchy –

ciche, lecz nieznośne. Gdzieś za oknem rozlegają się wystrzały i uderzenia młotem o drewniane palisady.

Wszelkie znaki świadczą o nadchodzącej katastrofie.

Moja katastrofa siedzi obok, obojętna niczym manekin, niczym jakaś kukła z teatru lalek, których pełno w Allenstein. Patrzy, nie widząc. Słucha, nie słysząc. Nie czuje, nie myśli, nie wie. Ciało bez ducha.

Zazdroszczę jej.

Garbus cały czas krzyczy przez drzwi. Niesamowicie spokojny to krzyk. Pomylenieć domaga się praw, chce karabinu i bagnetu, pragnie munduru i żołdu.

Von Gerthowi zależy zaś już tylko na śmierci buntowników. Negocjatorzy nie pomogli. Wszystko zawiodło.

Ciekawe, ile czasu zajmie jego podwładnym sforsowanie drzwi?

Martin jest w swoim żywiole. Opowiada niezwykle historie każdemu, kto staje mu na drodze. Wywrócił kilka łóżek do góry nogami, skarżąc się, że są okropne. On, jako prawdziwy rzemieślnik, wręcz artysta od tworzenia mebli, nie zgadza się na takie partactwo. Chwilę potem spytał starszego chorego z przepaską na oczach, przemierzającego salę wzdłuż i wszerz, czemu nie przyszedł dziś do niego do gospody. Była pieczeń z dzika, wyjątkowo smaczna i podana na wykwintnej porcelanie z Bałkanów. Ten odmruknął coś niezrozumiale i udał się w dalszą podróż przez niepojętą dla niego samego przestrzeń. Omijał każdą pryczę, nie potknął się ani razu. Zdawało mi się, że widzi wszystko albo jakimś tajemnym sposobem wyczuwa przeszkody.

Nieoczekiwanie wzbudziłem zainteresowanie kilku szaleńców. Jęli rzeźbić w mej glinianej nodze ostrymi drewniakami z roztrzaskanych prycz. Dokończyli dzieło Martina. Proteza jest zniszczona. Moje czoło pali gorączka.

Chwilami wydaje się, że oni na swój sposób potrafią planować, myśleć logicznie. Ten ich bunt, to wygrażanie światu jest absurdalną próbą odnalezienia siebie. Wierzą, że kimś są, że nadal na dnie ich umysłów czai się człowieczeństwo. Te domysły podsycają ich ogień.

Martin podchodzi do mnie i siada na brzegu łóżka. Ociera pot z czoła i uśmiecha się zupełnie naturalnie. Odwraca się, omiata wzrokiem salkę. Wszyscy zebrali się przy garbusie. Nawołują przez drzwi, przekrzykują siebie nawzajem. Słomiane słowa rzucają w ogień rzeczywistości. Bunt ułomnych.

— Zrozum Otto, nie było innego wyjścia — mówi spokojnym tonem, a mnie się teraz wydaje, że znam go od wieków. — Gdybyśmy nie skierowali uwagi dowódcy na Matildę, zająłby się tobą. Dostał rozkaz zatarcia wszelkich śladów. Nie pytaj, skąd to wiem.

Moje serce przyspiesza, a paznokcie lewej dłoni ranią skórę wewnątrz dłoni. Chcę unieść rękę, aby jeszcze raz uderzyć szaleńca, lecz nie znajduję sił.

— Trzeba działać, trzeba opóźnić — kontynuuje. — Powinno być inaczej. Jeśli mam cię chronić, to najdłużej jak się da. Musiałem tak, wybaczyć. On zdaje sobie sprawę, że wiemy, kim jesteś... On już wie, że my wiemy... kim będziesz. Musimy cię ocalić, jesteś zbyt cenny.

Rozluźniam dłoń i marszczę połowę czoła. Już nie wiem, kim on jest? Naprawdę jest chory, czy tylko udaje?

— Nie możemy pozwolić, aby dokończyli to wszystko. To zbyt groźne, nie potrafią tego kontrolować. Pojmujesz chyba, że oni wszyscy są opętani? Dajmy im czas, a zniszczą wszystko, nic nie zostanie, jeno ruiny na zgliszcach.

Obok nas przechodzi starzec z opaską na oczach. Gdyby nie ona, rzekłbym, że zerka w naszą stronę, że obserwuje. Martin ścisza głos do szeptu:

— Te znaki na twojej nodze nie są przypadkowe. One cię zmieniają. Już cię zmieniły. Trzeba to zatrzymać, inaczej będzie za późno. Zaufaj mi.

Nagle głos urywa się i widzę zaskoczenie na jego twarzy. Czyjaś ręka mocno chwyta go za gardło i odciąga do tyłu. To ten młody szaleniec! Upadają na podłogę i słyszę odgłosy szamotaniny. Z głębi sali patrzą na nas ciekawe oczy kilku innych. Po chwili ktoś próbuje wyważyć drzwi i już tylko jeden człowiek przypatruje się zajściu. Martin próbuje chwytać powietrze.

Tuż przy nas pojawia się ktoś.

— Aa-aa-aaaa-a po-po-poka-ż m-mi s-sss-ię, ma-aaa-łaaa — duka ogolony na łyso obłąkaniec.

Mówi do Matildy. Ręką gładzi jej czoło.

— Tttt-aa-kaaaa ł-aaad-na-a — peroruje dalej. — Ta-kka-aa s-pp-ok-koj-naaa. Jjj-a-kk tr-uup.

Wyciąga drugą dłoń i chwyta dziewczynę za włosy. Unosi jej głowę ku górze, tak aby obejrzeć twarz. Aż drży z podniecenia. Matilda, obojętna, przymyka powieki, co tylko rozzuchwała mężczyznę. Kładzie dłoń na jej udzie i powoli wspina się wzwyż. Obejmuje jej stopy i z uśmiechem obdarza je pocałunkami. Jego usta, suche i sine od lekarstw, szepczą sprośne wyznanie.

Martin krztusi się, wali pięścią w podłogę. Mocny uścisk napastnika nie zelżał ani trochę.

Dłonie drugiego coraz szybciej i szybciej, mocniej wędrują po nogach Matildy. Jej oblicze nie zmienia się – to wciąż ta sama maska milczącego przyzwolenia. Tylko dłonie drżą. Pojawia się kolejny szaleniec i rozrywa szarą koszulę na jej piersiach. Na brzuchu dziewczyny zaznacza się purpurowy siniec. Dopiero teraz zauważam ślady po nożu na szyi.

— Wr-óóó-ciii-ł-aaśśś do-ooo n-aaas!

Wróciłaś?

Uderzają dziewczynę, jej głowa z głośnym pogłosem zderza się ze ścianą. Zaciskam pięść. Pierwszy odpycha drugiego na łóżko i powraca do lizania jej stóp. Dłonie znikają gdzieś pomiędzy udami dziewczyny, dopiero teraz słyszę jej pierwszy słaby protest, jęk.

Spod mojego łóżka dobiega szczełk, cichy mlask i ciężki odgłos upadku. To przeciwnik Martina pożegnał się z życiem. Słyszę ulgę w łapczywym oddechu Prusaka. Skądś wziął nóż.

Drugi z lubieżników zrywa się szybko i dopada pierwszego. Wymierza cios w potylicę i gdy jąkała upada, kopie go z całej siły w brzuch.

— Zzz-zzo-ooo... s-taa-ww... m-nnniee! — wrzeszczy łysy, a krew z jego ust znaczy posadzkę.

— Świat zmierza do korzeni — mówi miarowo starzec przemierzający salę z jednego końca na drugi. Jego twarz jest zwrócona w naszą stronę.

— Dajcie mi broń, stanę z wami na szanćcach! — Garbus wciąż wrzeszczy, wciąż domaga się swojej wojny.

— Takie rzeczy nie działy się w Neidenbergu, gdzie sprzedawałem książki — dołącza do dyskusji Martin, dysząc jak parowóz.

Jąkała zalega na ziemi, bezradny, plując krwią i kaszląc. Zwycięzca pojedynku patrzy na Matildę.

W jednej chwili łapie kobietę za gardło i unosi do góry wraz z krzesłem. Matilda charczy, dziesięć centymetrów nad ziemią, z obrozą żywych palców szaleńca, stara się schwytać zbawienny łyk powietrza.

Właśnie wtedy słychać strzał. Garbus chwytą się za ramię, upada. Nim pierwsza kropla krwi dotknie podłogi, rozlega się drugi wystrzał. Dwie dziury w drzwiach ukazują uwijające się postacie. Trzeci huk i zamek się rozpada. Noga młodego chłopca w mundurze przygniata twarz Garbusa do posadzki.

Martin odwraca się w stronę wojaka i ciska nożem. Świst powietrza, ostrze zahacza o oko. Młodzian osuwa się bez sił, a jego miejsce zajmuje

następny. Żołnierze są jak głowy hydry. Odrastają. Ten drugi strzela raz i chybia. Kończy ze strzaskaną czaszką.

Moje zmysły szaleją. Czuję pot walczących. Czuję ich emocje.

Zwycięzca nadal trzyma Matildę w uścisku, jest niczym drapieźna zwierzyna: jego palce to szpony, jego oczy – jamy. Nie wiem, gdzie się kończy, a gdzie zaczyna to stworzenie. Jakby przeszedł przemianę, przeistoczył się w coś nierealnego, jak w tym opowiadaniu herr Kafki. Kula trafia go w plecy, a on puszcza kobietę i odwraca się, nic sobie nie robiąc z rany. Kiedy przeskakuje nad łóżkiem, trafia go druga kula. Dopada pierwszego żołnierza w szeregu, bierze zamach, rozległy jak horyzont. Uderzenie zmiata młodego zakonnika. Szaleniec rusza przed siebie i nadziewa się na bagnet sterczący z broni starego wiarusa z zabandażowaną dłonią. Dopiero teraz osuwa się na ziemię.

Martin zasłania mnie, ale nie trwa to długo – po chwili jest martwy. Zamykam oczy. Tak jest lepiej. Świat znika w ciemności pod powiekami. Gdzieś w oddali świszczy kolejna kula, rozrywa kolejne ciało. Przez kołdrę czuję ciepłą posokę. Otwieram oczy.

Patrzę na moją Matildę. Po jej policzku spływa łza, choć oczy są puste jak studnia bez wody.

* * *

Ułożyli nas wszystkich pod ścianami. Żywych – w powrozach, martwych – we krwi.

Wśród tych drugich: Martin i Matilda. Ich dłonie spotykają się na zeszyte, w którym znajdują się fragmenty czytanej mi powieści.

Amterstern, blady, stoi przy drzwiach. Tuż przy nim von Gerth, niewzruszony. Mistrz Oddziału wygląda jak olbrzym, wznosi się niczym góra pośród równin. Chirurg, choć przecież wysoki, wydaje się karłem.

— Coś ty zrobił... — twarz Amtersterna blednie.

Zakonnik nawet na niego nie spogląda.

— Wyślę depezę. Do Königsbergu, do samego Wielkiego Mistrza. A jeśli to nie pomoże, to i do Fryderyka, do Berlina. Nie zostawię tego tak.

— Ślij — zdawkowo odpowiada von Gerth.

Doktor chce coś powiedzieć, ale ubiegają go słowa:

— Jeśli zdążysz oczywiście.

— Grozisz mi?

— Jesteś bezużyteczny, Amterstern. Nic tu po tobie.

Lekarz w niedowierzaniu patrzy to na ciała, to na winnego masakry.

— Wynieście te ścierwa. — Mistrz wskazuje zabitych. — Reszta na podwórze. Pomogą przy stawianiu ostatnich umocnień. Nie mamy zbyt wiele czasu, a jeszcze nie jesteśmy gotowi.

Kilku młodych i postawnych chłopców w mundurach-habitach salutuje leniwie. Podnoszą kolby ciężkich karabinów zakończonych bagnietami i szturchają po kolei trupy spod ściany.

— Wiecie, co robić z tym?

Żołnierze chwytają mnie pod ramiona i podnoszą z pryczy.

— Zostaw go! — Amterstern chwytą dowódcę za ramię, by po chwili upaść pod ciosem von Gertha. — Ty psie!

Głos medyka wypełnia przestrzeń pokoju. Odbija się od prycz, ścian i okien, wraca zwielokrotniony. Jęczę cicho. Wrywam się z objęć wojaków. Upadam tuż obok martwych Matildy i Martina. Sięgam po notatnik.

Amterstern podrywa się i zamierza na dowódcę, jednak zakonnicy chwytają go.

— Nie możesz! Nie możesz! — Doktor krzyczy, miotając się.

— Heinrichu Amtersternie, doktorze z Kortau, jesteś aresztowany za bunt przeciwko władzy wojskowej — spokojnie recytuje Mistrz Oddziału.

* * *

Każdy krok, każdy ruch zastałych mięśni wiąże się z niemiłosiernym bólem. Z protezy powoli sączy się krew, spada na podeptaną setkami żołnierskich butów trawę, jakby samo życie składało ofiarę ziemi.

Zgięty wpool, ze zwisającą ręką i kołyszącą się bezwładnie głową, wlokę się w stronę jeziora. Wody przybrały brudny żółtobrazowy kolor, nie iskrzą się już intensywną jasnością błękitu i zieleni. Wokół bieganina. To wojacy, starają się nie myśleć o nadchodzącej rzezi, która już się czai za progiem. Nie zaszczycają nas nawet spojrzeniem, modlą się o czas, o własne życie.

Lazaret patrzy tysiącami czerwonych oczu. Ceglany wzrok spokojnej, cierplivej litości. Ile widziały te budynki? Ile jeszcze zobaczą?

Amterstern stara się jak może, aby do końca zachować twarz. Chce być bohaterem, Barbarossą albo Ulrichem von Jungingenem tej chwili.

Ja zaś krocę, prowadzony przez wybuchy mej męki, kołysany przez świszczące uczucie wycieńczenia. Zataczam się, ale wciąż idę naprzód. Auf Wiedersehen, Kortau, nic tu po mnie.

Z trudem zerkam w niebo. Jest dziś tak bardzo pochmurne. Jaka pogoda nadejdzie jutro, kiedy będzie już po bitwie? Czy spadnie deszcz, by zmazać krew?

Amterstern przystaje i natychmiast lufa karabinu popycha go naprzód.

— Nie możesz tego zrobić — mówi. — Nie tak miało być.

— Nie musisz się już o to martwić — odpowiada von Gerth.

Nie potrafię przypomnieć sobie Natalie, choć usilnie staram się przywołać jej wizerunek. Widzę za to Matildę z Martinem. Uśmiechają się do mnie. Oboje w białych kitlach, roześmiani. Wskazują wolne miejsce obok.

Ta chwila, ta ostatnia chwila przychodzi chyba zawsze w nieodpowiednim momencie. Za późno, za wcześnie. Gorzki smak w ustach przypomina o złych dniach, dłużących się godzinach, zmarnowanych minutach. Ale wrażenie to szybko ustępuje miejsca innemu. Iskra czegoś nieokreślonego rozpala się i powstały z niej nikły płomyk przesuwa umysł na inne tory. Od tej pory ciemne miejsca wyobraźni stają się jasne, doskonale widoczne. Jednak choć rozświetlone, pozostają tajemnicą. Można zaledwie zawiesić na nich wzrok – tylko tyle odsłania przed nami kurtyna śmierci. Patrzę tam, to przecież zapowiedź. Obietnica.

Lufa pistoletu popycha mnie. Biorę głęboki oddech i daję się ukołysać melodii własnych kroków. Odgłosy szurania podpowiadają mi, że Amterstern już się poddał. Oddycha ciężko, chciwie łapie powietrze.

Jestem jak dziecięca układanka – ktoś bawi się mną, dobiera ostatnie fragmenty, aby zobaczyć obrazek, który nie okaże się sielankowym krajobrazem. Kilka szarych postaci rozmazanych we mgle dymu z komina palarni, gdzieś w tle żółto-brązowa woda, ponura zieleń lasu i kilka kompanii dziarsko pokonujących ostatnie wzniesienie – granicę Kortau. Tak wygląda mój czas.

Dochodzimy do jeziora. Żołnierz stanowczo popycha mnie ku ziemi, lecz nie potrafię uklęknąć. Amterstern za to pada na kolana, posłuszny, zrezygnowany.

Ja stoję.

Padają pierwsze salwy z prymitywnych karabinów Wschodniobałtów. Bitwa się zaczyna. Słyszę krzyki, jakieś trzysta metrów na północ świszczą kule. Rozlega się odgłos wybuchu. Ostatkiem sił napinam mięśnie i odwracam głowę w prawo. Spojrzenie zasłania mi szary płaszcz wycieńczenia, ale jasny ogień palących się zasieków dostrzegam i zza niego. Prusacy odpowiadają ogniem. Nerwowe komendy oficerów armii zakonnej brzmią niczym brzęczenie muchy. Na lewo ode mnie, przy

małym porcie cumuje parostatek – ten sam, który przywoził rannych z frontu odległego wtedy jeszcze o kilkanaście kilometrów.

Nie słyszę Mistrza Oddziału wykrzykującego rozkaz. Nie wiem, co rzekł. Nagle czuję potężne szarpnięcie. Upadam, łamiąc jednocześnie protezę. Ciepło ulatujące z jej kanalików wraz z krwią pozbawia mnie zmysłów.

Gdy odzyskuję świadomość, dostrzegam lufę karabinu przytkniętą do głowy Amtersterna. Proch pachnie dziwnie – dysonans w wilgotnym powietrzu.

Obok mnie ukląkł ktoś jeszcze. Jego siwe włosy powiewają na wietrze, a na starej twarzy nie dostrzegam nawet cienia emocji. Ma przepaskę na oczach.

Ściskam mocno notatnik Martina. Słyszę odgłos gniecionych kartek.

Starzec odwiązuje opaskę i spogląda mi w twarz.

Otwieram usta ze zdziwienia – oto wiarus z moich snów.

— Nie możesz... — Amterstern próbuje raz jeszcze. — Nie możesz...

— Wszystko albo nic — odpowiada niezrozumiale von Gerth.

Krzyk i strzały. Bogowie bitwy uczują w oddali. Kortau się wykrwawia, kto zostanie, aby oddać hołd poległym?

Otwieram zeszyt i znajduję miejsce, w którym skończyliśmy czytać.

Strzał nie pada, a dłonie trzymające broń trzęsą się jak w febrze.

— Wykonać rozkaz!

Patrzę raz jeszcze w oczy starca.

— Wykonać rozkaz!

Jego oczy są z gliny.

Jego usta się śmieją.

Książka przygotowana dla zamówienia numer 1952 w
sklep.powergraph.pl

Rozdział III

Karna kolej

Wagon Tagenkopfa w niczym nie przypomina innych wagonów. Z zewnątrz pozornie taki sam, ciężki, opancerzony, w środku wydaje się znacznie przestronniejszy. Z obrazami na ścianach, małym barkiem, dywanem, trzema wygodnymi fotelami oraz małym, lecz stylowym łóżem wygląda niczym podłużny pokój. Na miniaturowym stoliczku przykrytym obrusem w kratę zawsze stoi popielniczka, leży jakaś książka.

Tagenkopf to wysoki mężczyzna o włosach przyprószonych siwizną. Dzień zaczyna od kilku przysiadów (dla kondycji) i niewielkiej porcji jajecznicy z kiełbasą i razowym chlebem. Potem pali dobry, pachnący tytoń we wrzoscowej fajce z wyżłobionym orłem w koronie. Ptaka własnoręcznie pomalował na czarno.

Czasami zaprasza mnie, gdy ma nowy tytoń. Wyjmuje wtedy z wiszącej szafki dwie gliniane fajki. Gdy spytałem go kiedyś, czemu nie możemy palić w jego wrzoscie, odparł:

— Glina jest neutralna, drewno nasiąka dawnym tytoniem i nie poznasz prawdziwego smaku nowego zakupu.

Obiecał, że kiedyś kupi dla mnie piękną, małą fajkę. Na razie palę tak, by ojciec nie widział. Gdyby tylko zobaczył mnie odurzającego się dymem, złołby mi skórę. Mam zaledwie czternaście lat.

Pocieszam się, że jestem o wiele lepszym towarzyszem dla *Oberstleutnanta* Pruskiej Armii Zakonnej niż mój ojciec, Karl. Papa jest ledwie maszynistą, wiecznie umorusanym węglem i sadzą.

Ja, Christian Velgmann, chciałem zostać oficerem-zakonnikiem i mieć swój dom w takim samym wagonie jak Tagenkopf. Gdyby się udało, z pewnością zrobiłbym jedno – kazałbym uciszyć wszystkich z dalszych taborów.

Krzyczą w nocy.

* * *

Tagenkopfa poznałem, kiedy miałem dziesięć lat. Moje blond włosy były wtedy dłuższe i bardziej zmierzwione. Miałem też mnóstwo piegów. Byłem cherlawym dzieckiem i nie pamiętam miesiąca, w którym nie leżałbym chory w łóżku. Świnka, różyczka, świerzb, płuca i wszy – to tylko niektóre przypadłości, te najbardziej uciążliwe.

Ojciec nie zajmował się niczym. Siedział w domu i prał wszystkich za byle co. Bratu odbił nawet nerkę. Skończyło się tragicznie – Gustav zmarł w drodze do szpitala. Wyrokiem sądu zakonnego Prus Wschodnich papa został skazany na dożywocie w lokomotywie. Na wieść o tym matka wzięła najmłodszą, roczną Grete i uciekła, byle dalej, zabierając spod poduchy wszystkie oszczędności.

Nie było zmiłuj – wyrok ojca stał się i moim wyrokiem. Wraz z papą udałem się na kolejowe zesłanie.

To był czas, kiedy dopiero budowano tory i wdrażano pociągi. Wszyscy się ich bali. Ja również. Przerażała mnie ich wielkość i majestat. Wydawały się ciężkie, zbyt ciężkie, aby w ogóle ruszyć z miejsca. Buchały kłębami pary wielkimi jak chmury burzowe i syczały złowieszczo. Dziesięciolatkowi wydawały się ogromnymi czarnymi monstrami. Wejść do nich, to dać się dobrowolnie pożreć i strawić. Moje przecucie graniczyło z pewnością – jeśli wsiądę do takiego, nigdy już stamtąd nie wyjdę.

Nie powiem, na razie przepowiednia się sprawdza. Minęły cztery lata, odkąd jeżdżę koleją. Jednak teraz już wiem, że nie było się czego bać.

Zobaczyłem tyle świata, ile żaden inny chłopiec w moim wieku.

Jednak pierwsze spotkanie z pociągiem nie było tak wspaniałe. Zamknęli nas w lokomotywie. Wszystkie szyby okratowane, drzwi zamykane od zewnątrz. Ucieczka wydawała się niemożliwa. Z urządzeniami zapoznawał nas stary Gottfried, jegomość obeznany w całej maszynierii, na swój sposób szorstki, ale w gruncie rzeczy sympatyczny. Po prostu znał swoje miejsce – był strażnikiem dbającym o to, by ojciec nigdy nie zapomniał, dlaczego tu się znalazł.

Pamiętam, że rozłożył kilka koców z dala od pieców i powiedział, że od teraz śpimy właśnie tam. Sam odpoczywał na wąskiej metalowej prycy naprzeciwko. Nie pytał, dlaczego wraz z przestępcą do jego siedziby przybyło dziecko. Nie był groźny, raczej niedołączny, choć pracował z werwą. Ojciec, gdyby chciał, mógłby zatłuc go na śmierć, tak jak wcześniej Gustava, jednak nigdy nie przyszło mu to do głowy. Zresztą i tak nic by to nie dało. Także on, jeśli chciał wyjść, musiał walić w stalowe drzwi i czekać, aż strażnik na zewnątrz odblokuje rygle.

Od czasu do czasu przychodził ktoś jeszcze. Dobrze ubrany, w wojskowym mundurze-habicie. Odprawiał krótkie nabożeństwo i spowiadał nas, choć niewiele mieliśmy okazji do grzechu. Chyba że w myślach. W każdym razie zawsze długo rozmawiał z papą – przybierał wtedy groźną minę i mrużył oczy z pogardą. Karl Velgmann, wcześniej butny i pewny siebie, tracił przy nim całą powagę mężczyzny i rodzica.

Później dowiedziałem się, że zakonnik ten to Johann Tagenkopf, dowódca Karnej kolei.

* * *

Pociąg rusza. Wolny terkot kół i leniwie wzdychająca lokomotywa. Czuję, jak wszystko pulsuje gorącem. Monstrualny siłacz napina stalowe mięśnie i z mozołem prze do przodu. Nikt nas nie żegna, inaczej niż

podczas pierwszego kursu kolei; wtedy przyszły tłumy. Wszyscy machali do maszynisty, uśmiechali się, krzyczeli w ekstazie. Byliśmy tam wszyscy – rodzice, ja, Gustav i Grete. Patrzyliśmy pełni zachwytu, ale też nie mogąc wyjść ze zdumienia. Nie mieściło się nam w głowach, jak taki ciężar może ruszyć z miejsca. Jeszcze nie wiedziałem, że kiedyś się tam znajdę. Nawet siostrzyczka, wtulona w ramię matki, spoglądała z niedowierzaniem.

Teraz nie możemy liczyć nawet na obojętny wzrok paromatów budujących umocnienia na wschodniej linii frontu. Maszyny kładą cegłę za cegłą, rozpinają druty kolczaste, wznosząc kolejne poziomy zasieków. To pierwszy punkt obrony przed Wschodniobałtami, jak powiedział Tagenkopf. Festung Bartenstein za kilka dni będzie gotowe na przyjęcie wrogów.

Zamykam powieki i wyobrażam sobie bitwę. Przede mną szarżujące hordy wroga, którego nigdy nie widziałem, ich falujące na wietrze futra i łachmany, one pasują mi do nich najbardziej. Prymitywne bronie w brudnych dłoniach i tę pierwotną chęć zwycięstwa, bijącą z ich postaci. Po naszej stronie dostrzegam tylko jednego kościotrupa w mundurze marszałka. Na głowie hełm ze szpicą. Puste oczodoły.

Otwieram oczy. Otrząsam się z ponurych rozmyślań i zawstydzam. Wyobraźnia potrafi zaprowadzić mnie daleko, czasem zbyt daleko.

Od półtora roku możemy poruszać się swobodnie po wagonach. Nikt już nas nie zamyka, dostaliśmy nawet klucze do wewnętrznych drzwi. Korzystam z tego tylko ja, bo ojciec zajęty jest prowadzeniem maszynierii, a Gottfrieda już nie ma. Umarł kilka miesięcy temu, zastrzelony przez bandytów, którzy napadli na pociąg. Nie wiedzieli, że nie przewozimy niczego cennego, w każdym razie niczego, co dałoby się ukraść. Było ich siedmiu, może i głupich, ale na pewno odważnych. Uczepili się rozpędzonego pociągu i strzelali, gdzie popadnie. Nie docierało do nich, że taka masa nie może się tak łatwo zatrzymać. Trzech odpadło po kilkuset metrach, a pozostali, próbujący sforsować kraty w oknach, zostali

zepchnięci. Stary maszynista przypłacił to jednak życiem. Od tamtej pory jeździmy sami.

Opuszczam lokomotywę. Już dnieje. Chociaż *Oberstleutnant* jest na nogach od dawna, dopiero teraz znajdzie czas na śniadanie. Wcześniej doglądał budowy fortyfikacji i długo rozmawiał z innymi oficerami. Pochylali się nad mapami i coś rysowali. W tym czasie paromaty wyładowały materiały, które przywieźliśmy.

Za lokomotywą znajduje się mały wagon, w którym trzymamy zapasy jedzenia i broni na wypadek kolejnej napaści. Są tam też ubrania na zmianę i nasze rzeczy osobiste. Niewiele tego. Ja mam tylko kilka wystruganych z drewna zabawek, które już mnie nie zajmują, a ojciec trzyma starą, pożółkłą fotografię tuszową. Prawie nic na niej nie widać. Farba roztapia się od gorąca i rozplywa po papierze.

Jest tam piec i garnki, w których przygotowuję jedzenie dla Tagenkopfa. Gotuję tutaj od czasu otwarcia lokomotywy. Nie wiem, kto pełnił tę funkcję wcześniej. Posiłki dla nas były wsuwane przez wąskie szpary, nigdy nawet nie widziałem dłoni kucharza.

Jajka gotowe. Biorę talerz z parującym daniem i ruszam do wagonu dowódcy. Pukam trzy razy. Zawsze pukam trzy razy. To taki mój rytuał. Codzienna czynność, która, jak wierzę, pozwala mi dobrze zacząć dzień.

Wchodzę. Wojskowy w rozpiętym habicie siedzi głęboko w fotelu. Ma potargane włosy i przepocony podkoszulek. Jego oficerki leżą rozrzucone na dywanie, na nagich stopach widać odciski. Uśmiecha się do mnie mimo zmęczenia.

Nie wiem dlaczego, ale czuję się lepszy, gdy rozpromienia się na mój widok.

— Połóż na stoliku — mówi cicho. Ton jego głosu zabawnie współgra ze stukotem pociągu. — Zanim zjem, odprawię mszę. Wypowiadasz się.

— Mam zawołać ojca? — pytam.

— Nie, nie musisz.

— Nie rozumiem, czemu nie może pomodlić się z nami? Dawno się też nie spowiadał. Będzie ponad rok.

Patrzy na mnie z rozbawieniem.

— Pan kiedyś zawsze przychodził i spowiadał wszystkich — kontynuuję. — Także papę.

— Kiedyś było inaczej, Christian — odpowiada. — Karl był skazańcem, sprawowałem nad nim pieczę. Nie był wolny, więc musiał robić to, co kazałem. A podstawą dla zbrodniarza jest modlitwa. Dziś twój ojciec ma większą swobodę. Odbył część kary, był posłuszny, okazał skruchę, nie mogę więc od niego wymagać, żeby uczestniczył w czymś, co — jak uważa — jest przeciwko niemu. Choć nie może opuścić kolei, to ma wybór i korzysta z niego w ten właśnie sposób.

— Chciałbym, żeby był inny...

Tagenkopf wstaje i podchodzi do mnie. Kładzie dłoń na mojej głowie i mówi:

— Ty jesteś inny, Christian. Nie zaniedbujesz siebie jak Karl. Tak podobni, a tak różni... Przygotuj tabernakulum, kielich i Biblię. Przed nami długa droga. Do Neidenbergu dotrzemy dopiero pod wieczór.

Odwracam się i robię dwa kroki w stronę szafki. Pokład lekko drży, przez ściany czuć swąd węgla. Tknięty impulsem, szepczę:

— Chciałbym być taki jak pan...

Na szczęście nie słyszy.

* * *

Zakonnicy zaganiają więźniów do wagonów. Na rozkaz króla Fryderyka mamy przewieźć ich kilkadziesiąt kilometrów na południe, do ośrodka położonego w gęstej puszczy. Lochy zamku są przepełnione, w obliczu wojny narastają zbrodnia i nieład. Tagenkopf mówi, że

nieszczęścia chodzą parami – najpierw napadli nas obcy, teraz psują się nasi.

Przestępcy ustawieni są na placu, kilka grup po kilkaset osób, każda odgradzona od innej płotem sięgającym dorosłemu mężczyźnie do piersi. Dzięki temu można ich lepiej pilnować i w porę stłumić sprzeciw. Z każdej zagrody jest tylko jedno wyjście – wąski korytarz. Wojskowi co chwila wyciągają kilkanaście osób z grupy, prowadzą ich tymi ścieżkami i wrzucają do żelaznych paszczy wagonów. Gdy wszystkie z nich – właśnie stojących przy peronie – są przepełnione, zaryglowują drzwi i papa podjeżdża do przodu, by zapełnić następną partię. Wszyscy uwijają się jak mrówki, chcą skończyć przed świtem.

Słyszę głośne protesty, żale i jęki. Widzę wychudzone postacie, otwarte rany po torturach i oczy zwrócone ku niebu. Czuję smród niemytych ciał i odór grzechu.

Wieczorny dworzec w Neidenbergu tętni martwym szaleństwem.

Stoję u boku *Oberstleutnanta* i milczę. Czekamy wyprostowani, głodni i zmarznięci. Wiosna nie jest jeszcze nazbyt ciepła. Tagenkopf ma u pasa paradną szablę i bogato zdobiony pistolet. Ja wetknąłem za pas drewniany kozik, pamiątkę z dzieciństwa, a w dłoni ściskam krzyżyk. Po cichu odmawiam pacierz. Końca prac na razie nie widać, nasz pociąg dopiero w ćwierci zapełniony jest skazańcami. Dzięki modlitwie minie mi trochę czasu.

Nagle jak spod ziemi wyrasta postać. Siwowłosa, chuda, z blizną na policzku – wygląda niczym utkana z cienia. Po chwili uświadamiam sobie, kto to, choć nigdy nie widziałem tego człowieka. To komandor, naczelnik zamku, stary przyjaciel Tagenkopfa. Uśmiecha się do nas w ten sposób, w jaki uśmiechają się zapracowani ludzie – jakby wreszcie znaleźli chwilę wytchnienia.

— Bóg z tobą, Johann — mówi. — Cieszę się, że cię widzę.

— I z tobą, druhu — odpowiada *Oberstleutnant*. — Kopę lat.

— Ano, dawno nie zaglądałeś w te strony...

— Wybacz, ale wolałbym, żeby tak zostało. Nie lubię patrzeć na tych wszystkich ludzi.

Mistrz więzienia ze zrozumieniem kiwa głową.

— Wierz mi, do tego nie da się przywyknąć.

— Szczególnie kiedy znajduje się po ich stronie, Thomasie Reichstuds.

— Tagenkopf podkreśla ironię ruchem głowy. Wskazuje więźniów. Starzec przygryza nerwowo wargi.

Krzyk skazańca z najbliższej zagrody rozdziera noc. Spoglądam w tamtą stronę i z tłumu szaleńców wyławiam desperata. Przebija się do płotu, rozpychając wszystkich wokół i wrzeszcząc, by usunęli się z drogi. Część mierzy go wzrokiem i pochyla trwożliwie głowy. Inni, wściekli na jego widok, próbują go odepchnąć. Ma kołnierz zapinany koloratką, na piersi złoty krzyż.

— Uspokójcie ich — rzuca Reichstuds do zakonników.

Patrzy, czy ktoś ruszy się, by wykonać rozkaz, ale w końcu rezygnuje i jego wzrok przenosi się na mnie.

Jego oczy są tak zimne, że przez plecy przebiega mi lodowaty dreszcz.

— A więc to o nim wspominałeś w listach? — pyta.

— Tak, to mój podopieczny.

— Christian — przedstawiam się.

— Dobre imię. — Reichstuds zerka na Tagenkopfa, jakby na coś wyczekiwał. Gdy Mistrz kolei kiwa głową, starzec dodaje — młody, ale to dobrze. Wyrośnie na solidnego mężczyznę.

— Mistrzu... — ośmielam się odezwać. — Kim jest tamten człowiek w zagrodzie? Ten, który tak wrzeszczy?

Naczelnik więzienia nie odwraca się. Domyśla się, o kogo mi chodzi.

— Był kiedyś spowiednikiem więźniów. Dobrze służył, równo dziesięć lat. Zawsze trzymał się boskiej koszuli, ale w końcu zaczęła go uwierać. Nasłuchał się od tych szumowin różnych herezji i teraz sam zbluźnił przeciw Bogu. Nazywa się Jurgen, zwykły zakonnik w stopniu *Feldfebla*.

Tagenkopf marszczy brwi. W wątym świetle gazowych latarni jego twarz wygląda jak głowa wyjątkowo wielkiej sowy.

— Co się stało? — wtrąca się do rozmowy.

— Miesiąc temu w Neidenbergu odbył się konwent Kościoła Augsburskiego i on w nim uczestniczył. Rozmawialiśmy o problemach czystości natury ludzkiej i związanego z tym stanu duszy. Przeważało stanowisko Wielkiego Doktora Lutra, że dusza nie wynika z natury, choć obie są naznaczone jeszcze przed stworzeniem człowieka. W końcu nasz feralny brat wstał i ze świętym oburzeniem krzyknął: „Ludzie oddają Panu wszystko, a on ich skazuje na otchłań przed powołaniem do życia?!”. Potem padły jeszcze gorsze słowa, których nie będę przytaczał. Dość, że wrzuciliśmy go do lochu, skoro tak sobie ukochał niekochanych.

Oberstleutnant odszukuje moją dłoń i rusza do zagrody. Z zaciętą twarzą, nieogarnioną złością i determinacją podchodzi do płotu. Heretyk już tam jest i chwyta go za ramię. Mówi:

— Wypuście mnie. Nie można tak traktować ludzi.

Kątem oka spoglądam na Tagenkopfa. Jego oblicze nie zmieniło się ani trochę.

— Wypowiadam cię, jeśli chcesz. Tyle jesteśmy ci winni za oddaną służbę. Może Bóg podaruje ci łaskawą śmierć.

Feldfebel zabiera rękę i przyjmuje gniewną postawę. Widziałem już wielu więźniów, zarówno szalonych, jak i całkiem zdrowych na umyśle; tych butnych oraz pokornych; zrezygnowanych i pełnych nadziei. W niewielu tliła się tak silnie iskra życia, jak w tym tutaj, ale każdy chwycił

się jej kurczowo, gdy przyszła pora wejścia do ciasnego wagonu. Jurgen jednak, wściekły urażoną wrażliwością, wypełniony nieopisaną dumą i rozczarowany postawą niedawnych braci, gasi nagle ten płomień istnienia. Zamienia go w popiół śmierci. Mówi już o wiele ciszej, zapada się w sobie.

— Wiara skończyła się dla mnie w chwili, w której zrozumiałem, że jestem winny od urodzenia. — Pieczętuje swój los.

— Jedź więc ku swojemu przeznaczeniu — kwituje Tagenkopf, po czym odwraca się i pociąga mnie za sobą.

Głową kiwa na Reichstudta. Udajemy się do wagonu dowódcy Karnej kolei na mały poczęstunek.

Gdy wsiadam, pada strzał. A potem jęk ulgi.

* * *

Krzyczą.

Niechętnie ciągnie się ten kurs. Wyruszyliśmy o wschodzie słońca. Nie zatrzymaliśmy się ani na chwilę, ale nadal nie dotarliśmy do celu. Pociąg toczy się, trzeszcząc i zawodząc. Czuję jego zmęczenie, skrajne wyczerpanie każdej najmniejszej części. Lokomotywa sapie, pocąc się smarem w ogniu rozgrzanego do białości pieca. Już zmierzcha, a stacji nie widać.

Krzyczą.

Ładunek jest zbyt ciężki, nawet jak na nasz pociąg. Gdy wyjeżdżaliśmy z Neidenbergu, wychyliłem się przez drzwi lokomotywy. Sznur wagonów nie miał końca. Odwłok czarnej maszyny wił się po horyzont, ginął w oddali. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego. Przewoziliśmy już wiele, oprócz więźniów przede wszystkim drewno i cegły, beczki zaprawy murarskiej i wielkie płyty z kamienia do budowy umocnień. Bywało, że doczepiano nam też kilka taborów z jechaniem dla wojska. Inne ogniwa tego łańcucha przeznaczano dla

paromatów, kolejne wypełniano bronią. Karna kolej ciągnęła potężny ciężar. Jednak największym brzemieniem okazali się ludzie. Jeszcze nigdy nie było ich tak wielu.

Krzyczą.

Ruchomy kręgosłup pociągu wygina się na zakręcie z metalicznym jękiem. Monstrum przygniatane do ziemi zawodzi boleśnie. Komin lokomotywy wyrzuca z furją kłęby pary. Wszyscy czujemy, że jeśli pociąg zatrzyma się choćby na chwilę, już nie ruszy ponownie. Po wielu latach nasi następcy odnajdą jej opustoszały, pordzewiały szkielet w ostępach Puszczy Białej. Odpoczynek, przerwa – oznacza śmierć. Życie jest tylko w nieustannym ruchu.

Krzyczą.

Jak oni krzyczą...

Nawet nie wiem, czy śpię, tak męcząca to podróż. Po prostu leżę zrezygnowany na pryczy i czekam, aż zajdzie słońce. Zamykam oczy, ale równie dobrze mógłbym pozostawić je otwarte. Żadnej różnicy. Moje zmysły otępiały wśród jednostajnych bodźców. Monotonny dźwięk kół, piekielny żar z pieca, mizerne światło dogasającego dnia... Czas jakby zatrzymał się w miejscu, choć jedziemy do przodu. Przestrzeń pozostawia czas w tyle.

Krzyczą.

Ten krzyk z setek gardeł. Raczej go czuję, niż słyszę. Ściany są mocne, zagłuszają dźwięki z zewnątrz. Jednak te zawodzenia przenikają wszystko, kołyszą całym składem.

Gdybym był Mistrzem kolei, kazałbym im się uciszyć.

Na razie jestem tylko synem swojego ojca.

Na razie jestem nikim.

Przewracam się na bok i dotykam policzkiem krzyżyka. Wtedy nadchodzi sen i oddala wszystko inne.

* * *

We śnie stoję po kolana w ciemności. Ciemność jest mokra jak woda i zimna jak lód.

Ostre światła gazowych latarni nie potrafią rozgonić mroku zalegającego u stóp. Rozświetlają za to kontury wielkiego pomieszczenia. Widzę stację tak długą, że na jej tle mój pociąg wydaje się zaledwie miniaturową jętką. Na peronie nie ma ludzi.

Rozglądam się i ten widok mnie urzeka. Stacja skrywa setki domów. W każdym z nich palą się lampy. Wszystkie okna mrugają do mnie radośnie i smutno zarazem. Jest w nich coś ulotnego. Teraz są pełne ciepła. Jednak skądś wiem, że za chwilę płomień zmarnieje i miły blask zgaśnie.

Robię krok do przodu i odkrywam, że mam bose stopy. Mróz bijący od podłoża jest upiorny, ale nie poddaję się. Odrętwiałe z chłodu nogi stawiają kolejne kroki. Grunt jest elastyczny, zarazem miękki i stanowczy. Zapada się lekko pod moim ciężarem, lecz gdy drobię palcami, powoli powraca do naturalnego stanu.

— Jest tu kto? — nawołuję.

Bezskutecznie. Pytanie wraca do mnie, zwielokrotnione echem.

Gdy słyszę je ponownie, nie brzmi już jak pytanie. Jakby echo odpowiadało swoim własnym głosem.

— Jest tu kto.

Wtedy pociąg rusza. Stoję otumaniony, nie wiedząc, co się dzieje. Mrok oplata koniuszki palców. Mrowienie. Przeróżliwy pisk. Zasłaniam uszy, ale nie pomaga. Dźwięki odbijają się od ścian i przesywają umysł.

Po chwili wszystko ucicha. Czuję ciepło spływające po policzkach na szyję. To krew.

Ocieram z oczu łzy i patrzę na wagon stojący naprzeciwko. Jest cały wypełniony ludzkimi ciałami. Widzę twarze wykrzywione bolesną agonią,

kurczowo zaciśnięte pięści i wychudzone torsy nagich mężczyzn. Długie włosy i paznokcie zmarłych kobiet wtopione w glinę, z której wybudowano kraty i ściany.

Gliniana kolej. Gliniany pociąg. Gliniany wagon.

Karna kolej.

Lampy dogasają, a mrok podnosi się wyżej, zasłania mi twarz. Po chwili nie ma już nic, tylko chłód.

* * *

— Wyglądasz niespokojnie, Christianie — mówi Tagenkopf. — Czy wszystko w porządku?

— Miałem złe sny, to wszystko.

Oberstleutnant sili się na ciepły uśmiech, ale wychodzi niemrawo. Jest zmęczony. Wszyscy jesteśmy znużeni długą jazdą. Tylko papa stoi niewzruszenie, gryząc w ustach końcówkę długiej fajczanej zapalki. Cuchnący potem i dymem, oblepiony sadzą, wygląda jak nic nieznaczący posąg bezimiennej postaci. Znam rzeźby bohaterów, herosów starożytnych, stoją na co bardziej zadbanych stacjach, spoglądając na wszystko kamiennym okiem. Mój ojciec nie przypomina żadnego z nich.

Wyglądam przez drzwi lokomotywy i omiatam wzrokiem otoczenie. Nasz pociąg nie jest jedyny. Stoi tu co najmniej pięć długich czarnych glist z wagonami zapełnionymi ludźmi. Zakonnicy czuwają nad wyładunkiem.

Nie czuję się najlepiej. Kręci mi się w głowie, a plecy przygniata niewidoczny ciężar. Jakbym z tego dziwnego koszmaru wyniósł na jawę niewidzialny balast. Nie rozumiem tego.

Najgorzej jest, gdy patrzę na ludzi.

Obudziwszy się, spojrzałem na ojca dorzucającego do pieca. Pod czaszką zagotował się przeraźliwy ból. Rzeczywistość rozmasała się, by po chwili wyostrzyć. A ja byłem już gdzie indziej.

Matka.

Matka, piękna urodą pospolitej kobiety, ociera łzy z policzków. Na jej kolanach siedzi mała Grete. Ma otwarte usta i szkliste oczy. Nic się w nich nie odbija.

Obie znajdują się w ciemnej – i to pomimo wiszącej nad ich głowami zapalonej lampy – komnacie. Wyjątkowo ostre światło bije po oczach, ale nie rozświetla niczego oprócz tej dwójki. Stoję ukryty w ciemnym kącie, nikt nie może mnie dojrzeć. Widzę dwóch ludzi w mundurach-habitach. Siedzą przy stole, popalając długie fajki. Grusza – stwierdzam. Tytoń może tak pachnieć tylko w gruszy.

Wojskowi przenikliwie wpatrują się w twarz matki. Zadają pytania, których nie mogę usłyszeć. Tylko ruch warg zdradza, że coś mówią. Ich gesty są niedbałe, choć tkwi w nich doskonała harmonia. Porządek w chaosie.

Podsuwają jakiś papier, żądają podpisu.

Mrugam. Uchylam powieki i sytuacja jest już inna. Jestem Inge Velgmann i wiecznym piórem zamasyście kreślę na pergaminie swoje nazwisko. Dokument nie ma tytułu ani treści. Tylko jego zapach przebija się do nozdrzy, mimo aromatu perfumowanego tytoniu płynącego z przeciwległego końca stołu. Papier pachnie krwią.

Wtedy wizja znikła i znów byłem sobą, leżącym na pryczy w lokomotywie. Ojciec stał przy piecu i patrzył na mnie. Machnąłem dłonią na przywitanie i czym prędzej wybiegłem na świeże powietrze.

Okazało się, że stoimy na wielkiej stacji przypominającej tę z mojego snu. Obok przechadzał się Tagenkopf i krzyczał coś do innych zakonników. Spojrzałem w tamtą stronę. Jeden z wagonów był otwarty i wyprowadzali z niego ludzi.

Ból głowy odezwał się znowu, gdy tylko zerknąłem na wykrzywioną przestraczem twarz jakiegoś staruszka. Ulve Hertz, tak się nazywał. Nie

miałem pojęcia, skąd to wiem.

Następna była kobieta z kikutem dłoni, trzymająca pod pachą małe zawiniątko. Claudia Joss z małym Steffenem. Kobieta wyrwana z własnego łóżka w środku nocy przez wojskowych Pruskiej Armii Zakonnej. Czułem jej każdą emocję, zwierzęcy strach.

Mistrz kolei dostrzegł mnie, gdy wymiotowałem na tory. Podbiegł i wziął na ręce. Zaniósł do swojego wagonu i napił gorącą miętą. Potem zawołał mojego ojca.

— Coś widziałeś, prawda? — pyta teraz *Oberstleutnant*.

Spoglądam na niego, zdziwiony. Nagle w kąciku oczu pojawia się łza. Tagenkopf ociera ją, po czym odwraca się w stronę maszynisty.

— Idź do składziku. Przynieś mi czerwoną butelkę.

Ojciec odmrukuje i wychodzi. Stary Johann pochyla się nade mną i szepce:

— Teraz możesz mówić. Oprócz nas nikogo tu nie ma.

— Skąd pan wiedział...? — zaczynam ponuro i zaraz przerywam. Łzy wciąż wzbierają pod powiekami, nie umiem ich powstrzymać.

— Uspokój się, to normalne. Masz halucynacje.

Nie odpowiadam, starając się uspokoić. Płacz nie przystoi chłopcom. Na pewno nie tym, którzy chcą kiedyś być w armii.

— To była długa podróż. Mieliśmy pełne wagony. Ci ludzie często są chorzy, może czymś się zaraziłeś. Cicho, już wszystko w porządku.

Wraca ojciec i stawia butelkę na stoliku. Tagenkopf odprawia go ruchem dłoni. Papa waha się, ale w końcu obojętnie wzrusza ramionami i wychodzi na peron. Smród lokomotywy zostaje jednak z nami.

— Kiedyś byłem taki jak ty, Christianie — kontynuuje zakonnik. — Towarzyszyłem innemu staremu zakonnikowi w jego podróżach przez kraj. Tak jak ty teraz, także i ja byłem czternastolatkiem przewożącym towary

i ludzi. Tylko wtedy nie było kolei. Były za to powozy z końmi. Potem parostatki.

Załamionymi oczami spoglądam zaciekawiony na *Oberstleutnanta*.

— Jesteś zdziwiony, mały? Nie powinienes.

— Czy... — ośmielam się zadać pytanie. — Czy pan jeździł z Reichstudtem?

Uśmiecha się i odpowiada:

— Nie, skądże. Naczelnik Neidenbergu jest w moim wieku, jeździł z kim innym. Tak, mój mały, zostaje się zakonnikiem.

Rozpromieniam się w jednej chwili. Choć ciężar nie znika z ramion, a zawroty głowy nadal są silne, jest mi lepiej. Teraz już wiem, po co tu jestem i jaki będzie mój los.

— Jestem pańskim uczniem — raczej oznajmiam, niż pytam.

— Mam nad tobą pieczę. Tak to nazwijmy. A teraz napij się tego.

Upijam mały łyk z przyniesionej butelki i kolejna wizja staje mi przed oczyma. Widzę bramę, przez którą wybiegają ludzie w obcych mundurach, z dziwną bronią w dłoniach. Tą bramą są drzwi ostatniego wagonu na naszej obecnej stacji.

Obcy rozbiegają się i zaczynają strzelać do wszystkiego wokół. Z uśmiechem na ustach i determinacją w oczach prą wciąż naprzód, zdobywając stację metr po metrze. Obrońcy osuwają się na ziemię, rażeni ognistymi piorunami. Ich ostatnie tchnienie jest moim tchnieniem, czuję krwisty smak ostatniego haustu powietrza. Kątem oka dostrzegam młodzieńca, który przypatruje się nam z lokomotywy innego pociągu. Jemu nie jest do śmiechu, tak jak i nam. Skądś znam tę twarz...

Kiedy ponownie przytykam szyjkę butelki do ust, wizja staje się rzeczywistością. Twarz Tagenkopfa nabiera ostrości, rysy zdają się wyryte w kamieniu.

— Widziałeś to — mówi. — Przed chwilą to widziałeś.

Kiwam głową , a Mistrz kolei zrywa się i wybiega na zewnątrz. Wprost w początek bitwy.

* * *

Ziemia tonie we krwi, a kule świszczą. Krzyk przerażenia i panika zmieniają powietrze w wibrującą gorącą chmurę, w której rozmywają się kształty. Obcy wybiegli z ostatniego wagonu. Około dwudziestu żołnierzy, uzbrojonych i groźnych, choć chwiejących się na nogach. Zmęczenie wyczekiwaniem promieniuje z ich ciał. Nie są godnym przeciwnikiem.

Zatraskuję drzwi wagonu za Tagenkopfem i ostrożnie przysuwam się do okna. Kula mija mnie o centymetry, rozbijając szkło na tysiące kawałków. Zasłaniam twarz ramieniem, ale niewiele to daje – ostre odłamki wbijają się w skórę i wchodzą aż do kości.

Obcy powoli wycofują się na granicę lasu. Pierwsze zaskoczenie minęło i Prusacy sformowali szyk bojowy. Biegną w stronę wroga, przeskakując swoich konających towarzyszy. Patrzę na nich i czuję, jakbym to ja umierał. Chwytam się za bok, by powstrzymać krwawienie, ale to nie mój ból, lecz wojaka osuwającego się po ścianie stróżówki. Biedak nie miał szczęścia, nie zdołał nawet wyjąć broni, kiedy dosięgła go śmierć z karabinu Wschodniobałtów. To muszą być oni.

Potyczka oddala się i znika wśród gęstwin drzew. Słyszeć tylko echo strzałów i jęki rozpacz.

— Uciekają! — krzyczy któryś z zakonników. — Wygrywamy!

— Głupiec! — wrzeszczy Mistrz kolei. — Bierz ludzi, trzeba im odciąć drogę! Chcą uciec, by dać znać swoim, gdzie jest nasz posterunek! Nie możemy pozostawić żywego ducha!

Osuwam się na kolana i dyszę ciężko. Mięśnie nóg palą żywym ogniem – to obcy biegną przez las, jakby sam diabeł ich gonił. Pomimo starań, gubią się w ciemnej puszczy. Czuję strach. Armia Zakonna depcze

im po piętach, Prusacy znają teren i są wypoczęci. Chcą dorwać wszystkich, utłuc jak psy, w myślach każdego z naszych dominuje żądza mordy i podniecenie. Wreszcie ofiary, które można gonić, które walczą, a nie tylko pokornie błagają o litość, nie bezbronni i słabi więźniowie.

Oberstleutnant pociąga za drzwi wagonu i klnie głośno.

— Otwieraj! Otwieraj szybko!

Reszką sił doczołguję się do zasuwy i odryglowuję ją. Ostry szcęk metalu odrywa mnie od wypełnionych zdenerwowaniem uciekinierów i Prusaków uniesionych w euforii zabijania.

Pada ostatni strzał i choć huk nie dochodzi do stacji, tłumiony przez splecione gęsto gałęzie lasu, słyszę go doskonale. Przed utratą zmysłów czuję jeszcze dłoń Tagenkopfa na swoim policzku. Odgarnia mieniące się w blasku wiosennego słońca kawałki szkła.

* * *

Nerwowe porykiwania towarzyszą pierwszym chwilom po bitwie. Słońce chowa się za chmurami, zawstydzone, i okolica pogrąża się w cieniu. Przerwano wyładunek, by przebadać resztę wagonów. Ktoś podbiega do pociągu stojącego na lewo od naszego i rozkazuje odjeżdżać. Niewielka załoga wsiada prędko do lokomotywy i rozgrzewa piec.

Gdy pociąg rusza, nadzieja zostaje na stacji i czeka na innego pasażera. Tymczasem reszta więźniów upchanych w ciasnych wagonach rozchmurza się. Wyczuli swoją szansę, wydaje im się, że nie są zdani tylko na naszą łaskę. Głupcy. Nie wiedzą, że nikt spośród Wschodniobałtów nie przeżył ucieczki.

Leżę w ciepłej pościeli Tagenkopfa, z kubkiem gorzkiego, zaprawionego leczniczymi ziołami wina w dłoni i gorączką rozpalającą czoło. Atmosfera stała się nerwowa, wszyscy szukają winnych zdrady. Jednocześnie wiedzą, że trzeba kontynuować pracę. Jest tyle do zrobienia.

Czuję każdą śrubę pociągu, jego irytację. Niecierpliwi się, chciałby już jechać dalej. Ja też. Nie wiem, czy wtedy poczułbym się lepiej, ale może jazda ukołysałaby mnie na tyle, że mógłbym się zdrzemnąć. Nie zmrużyłem oka, odkąd tu przyjechaliśmy. Miotam się tylko z boku na bok i przeklinam więźniów. Rany na twarzy i ręce pieką i czuję, jak pod opatrunkami wciąż sączy się krew.

Stawiam kubek na stoliczku i wstaję. Może nieco ruchu dobrze mi zrobi. Ramiona przykrywam narzutą i wychodzę.

Pierwsze kroki są niepewne. Chwieję się, lecz idę. Poranny chłód przenika przez ubranie i gryzie skórę. Niezauważony, wkraczam na stację. Wszyscy zajęci są wyładunkiem i omawianiem sytuacji. Gwar nerwowych rozmów i krzyków irytacji otula moje posapywania. Żołnierze emocjonują się potyczką, a dowództwo pochowało się w głównym budynku stacji na naradę. Odwracam się, by poszukać wzrokiem papy albo Tagenkopfa. Nigdzie ich nie ma.

Wyczuwam jednak czyjąś obecność. Zmysły są przytłumione, ale w końcu kieruję wzrok w stronę lokomotywy pociągu stojącego naprzeciw naszego. *Tam*, podpowiada głos w głowie. Brzmi znajomo, aczkolwiek nie przypominam sobie, abym słyszał go wcześniej.

Majaki. Gorączkowe omamy.

Czy ta bitwa naprawdę się zdarzyła?

Przestań, Christian. Przestań myśleć.

Każdy wagon to wielki żelazny wór tajemnic. Każdy tabor skrywa sekrety. Co przewożą? Dokąd? Już cztery lata żyję w pociągu, każda moja myśl jest związana z Karną koleją. A teraz, pod wpływem gorączki zmieszanego z ziołami wina, wyobraźnia rusza. Widzę przeszłość innych ludzi, przenikam do ich marzeń i złudzeń, jestem w każdym wagonie i spoglądam na jego pasażerów, oceniając ich życie. Widzę ich ciągle i nie

mogę przestać patrzeć. Obrazy jak przez mgłę. Szumiące w głowie wino nie pozwala się skupić.

Osuwam się na kolana. Opierając się o metalową ścianę wagonu, patrzę w kierunku lokomotywy pociągu nadjeżdżającego z naprzeciwka. Nie mogę dostrzec jej wnętrza. Jest dla mnie zamknięta. Choć przysięgłbym, że widzę czyjąś twarz w brudnym, zakratowanym oknie.

Wtedy z komina bucha para. Dostrzegam młodzieńca biegnącego w moją stronę. Zanim stracę przytomność, bierze mnie na ręce.

* * *

— Wynoś się — syczy Tagenkopf. — To nie twój pociąg. Wynoś się.

— On jeszcze nie wie, prawda? — mówi młodzik, na oko starszy ode mnie tylko o jakieś trzy, może cztery lata. — Nic nie wie, tak? Powinieneś mu powiedzieć.

— Niby czemu? — Mistrz kolei prostuje się, dumnie wypinając tors. Skądś wiem, że jednak się boi.

— Nauczy się z tym żyć — odpowiada chłopak. — Powiedz mu.

Zakonnik łapie nieproszonego gościa za barki i popycha w stronę wyjścia. Ten nie sprzeciwia się, w jego ruchach nie ma nerwowości, raczej uległość. Oczy chłopaka nie skrywają gniewu. Tylko czerwone ziarna żalu, skupione na tęczówce. To mnie dziwi – ma wielokolorową źrenicę.

Dopiero teraz widzę, jak bardzo jest zmęczony. Ciężkie, opadające powieki, sflaczałe mięśnie, trzęsące się dłonie. Wygląda jak żywy trup, jak istota doprowadzona do granicy wytrzymałości. Jego ciało z oporem poddaje się woli.

— Wynoś się — powtarza wściekły Tagenkopf.

Młodzieniec wychodzi, jednak przez okno, w którym nie ma już szyby, widzę tylko oddalającego się dorosłego, brudnego mężczyznę.

* * *

— On widzi rzeczy — mówi Mistrz kolei.

Jego słowa dobiegają do mnie zniekształcone i ciche, jakby z dalekiego szczytu, odbite i poorane ostrością górskich skał.

— Naturalnie — odpowiada chropowaty, mocny głos. Czuję jego siłę i starość, choć nie mogę dojrzeć ust, z których wydobywają się dźwięki. — Istnieje taka możliwość.

— Co to znaczy? — znowu Tagenkopf, wcale nie bliższy niż poprzednio.

— Nie jestem pewien. — Obawa ledwo wyczuwalna w słowach, kielkująca gdzieś na granicy między pewnością a strachem. — Proszę mi opisać, co się z nim dzieje.

— Powinieneś wiedzieć, to ty jesteś kabalistą.

Otwieram oczy, ale chwilę trwa, zanim obraz wyostrzy się wystarczająco, abym zobaczył ich twarze. Ten drugi to brodacz, Żyd w czarnym chałacie.

— Być może to tylko reakcja na nieustanne przebywanie w pociągu... — zaczyna staruch.

— Litości — przerywa *Oberstleutnant*. — Nie zapominaj, co do ciebie należy. Nie chcę słuchać hipotez, tylko profesjonalnej diagnozy.

— Diagnoza! — oburza się Żyd. W gniewie wydaje się mniejszy niż przedtem, skurczony z irytacji. Przyglądam mu się ze zdziwieniem. — Chcesz diagnozy, wezwij łapiducha!

Tagenkopf bierze głęboki oddech i czuję ciepło powietrza cuchnącego dymem z węglowego pieca lokomotywy. Muszą utrzymywać ją na chodzie na wypadek ponownego napadu.

— Nie mamy czasu na kłótnie. — Łagodzi sytuację, kładąc dłoń na ramieniu kabalisty. — Reichstutdt musiał wiedzieć o tych wschodnich

świniach. Jeśli jest zdrajcą, a wszystko na to wskazuje, eksperyment jest zagrożony. Trzeba ratować co się da.

Brodacz odwraca się do mnie i odchyła puchową kołdrę. Wodzi palcami po mojej skórze i pod wpływem tego dotyku robi mi się gorąco. Palce Żyda są jak szpony czarnoksiężnika, jakby wypalały na piersi tajemne znaki, inskrypcje, zaklęcia.

— On jest inny niż reszta — mówi z namaszczeniem. — Siła duchowa przeważa w nim nad tym dziwnym ciałem. Jednocześnie ciało wyostrza intelekt. Wokół niego czuję wyraźną aurę.

— Czy potrafi z niej czytać?

— Nie wiem. Ciało nie może się zsynchronizować z duchem, stąd gorączka. I pewnie stąd te fenomeny.

— Co można zrobić?

— Nie wiem, potrzeba nam czasu na obserwację.

— Tego nie mamy.

— Od tego zależy eksperyment.

— Od kiedy ci na nim zależy? Jesteś tylko więźniem.

— Żal mi go. — Żyd wskazuje mnie ruchem głowy. — A poza tym im szybciej to się skończy, tym szybciej się stąd wydostanę. Przeklinam tego chasyda! Przez jego knowania tu gniję!

Mistrz kolei milczy, spoglądając na mnie jak na wybryk natury. Pierwszy raz widzę u niego ten wzrok, ale nie jestem zdziwiony. Skądś wiem, że gdybym był w jego skórze, też nie umiałbym na siebie spojrzeć. W oczach starca dostrzegam za to nieudawaną troskę wymieszaną z niemocą.

— Pierwszy raz spotykam się z czymś takim — duka Kabalista, jakby nagle przestraszony moim widokiem. — To nieludzkie. Widać w nim każdy kanał krwionośny. Może nie wytrzymać.

— Dlatego dostaje lekarstwa...

— Co konkretnie? Przyznaj się, pruski psie, faszerujecie go tymi swoimi świństwami. Robicie z niego kalekę.

— Zapewniam cię, że jeśli eksperyment się uda, będziemy mu mogli tylko pozazdrościć. Tymczasem ilu się nadaje?

— Mamy kilku, którzy przeszli testy bez zarzutu. Von Guich już o nich zadbał.

Mierzą się wzrokiem. Czuję przyływ gorąca i mdłości. Odwracam się na bok i zasypiam. Śni mi się ojciec patrzący w lustro. Odbicie nie jest identyczne – lustro śmieje się szaleńczo, podczas gdy papa ma minę zgnębionego życiem człowieka.

— Obudź się, Karl — mówi zwierciadło. — Pora na ciebie.

* * *

— Obudź się, Karl — mówi Gottfried. — Pora na ciebie.

Patrzę na starą twarz budzącego mnie mężczyzny. Widzę poruszającego ustami trupa.

Sen. To sen, mówię w myślach i od razu jestem spokojniejszy.

Przecieram zaspane oczy, by ujrzeć dawno nieoglądanego przyjaciela. Nie zmienił się ani trochę, wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętałem. Stoi przede mną niczym skarb wyciągnięty ze sterty zakurzonych, zamkniętych na klucz wspomnień. Sen nie dodał mu ani jednej zmarszczki.

— Jak się czujesz, Karl? — pyta starzec. — Już lepiej?

— Tak — odpowiadam. — Już lepiej.

Wstaję z łóżka powoli i ciężko. W oddali piec lokomotywy syczy z zapalem, gdy stawiam pierwsze kroki w stronę lustra. Wiem, co tam zobaczę. Ujrzę twarz ojca. Skądś wiem, że w tym śnie właśnie nim jestem. Mam jego ciało, jego zmysłami odbieram świat. Czuję każdą jego myśl. Przez chwilę idee wydają mi się znajome.

Wydają się moje.

Ostatni krok i spoglądam w zwierciadło.

— Karl, pora na ciebie — mówi Gottfried. — Musisz pójść z Żydem.

— Gdzie?

— Tam, gdzie zawsze. Do trzeciego wagonu.

— Gottfried?

— Tak?

— Powiedz mi... Co widzisz w lustrze?

Starzec odwraca się ode mnie i bierze głęboki oddech.

— Pytasz mnie o to każdego ranka... Ile razy mam ci powtarzać to samo?

— To ostatni raz, przyrzekam. Powiedz, proszę...

— Nie jest ważne to, co ja widzę w lustrze, lecz co ty w nim widzisz.

Milczę, bijąc się z myślami. Zamykam i otwieram oczy, ale obraz się nie zmienia.

— Widzę Christiana — mówię niepewnie. — Śmieje się, jakby był szalony...

— Jak co rano, Karl. Jak co rano.

* * *

Zakonnik śpi. Dziwny to sen, pełen niepokoju i potu. Tagenkopf nie znajduje odpoczynku nawet w marzeniach. Miota się w głębokim fotelu. Pierś drga mu nerwowo, jakby uciskana przez wielką siłę. Nad ranem obudzi się i dalej będzie zmęczony.

Tymczasem ja czuję się lepiej. Nadal osłabiony, znużony i otępiły, jednak znacznie silniejszy. Jakby kajdany paralizującego bólu nagle puściły. Nie wiem tylko na jak długo.

Wstaję. Opieram się o małą półkę z książkami. Rozpoznaję jedną z nich – *Opary* według Hansa Groblera. Mistrz kolei czytał mi ją kiedyś, jednak zaprzestał przed końcem, kiedy ujrzał, że nie porywa mnie ona tak jak jego. Wiedziony impulsem, otwieram ją na losowej stronie.

Część 108

„Gniazdo stało na środku pomieszczenia. Na niewielkim podwyższeniu, pod szklaną osłoną umieszczone były wloty przewodów wentylacyjnych. Obok zainstalowano tablicę z mnóstwem przycisków i wskaźników. Pod wszystkim biegły rury przypominające korzenie starego drzewa. To właśnie one odprowadzały opary wyżej, do systemów filtrujących, których zadaniem było regulowanie stopnia toksyczności chmur.

Kryształy rozgrzane były do białości i coraz intensywniej wydzielały truciznę. Kobieta zbliżyła pakunek do miernika zagrożenia umieszczonego przy tablicy i wskazówka szybko dotarła do końca skali, zapalając czerwoną lampkę, która oznaczała stan wyjątkowego niebezpieczeństwa.

Łaska traciła stabilność. Koniec ich dzieła zbliżał się do nieuchronnego końca.

– Tyle jeszcze chciałabym ci powiedzieć – rzekła kobieta w stronę Nikodema. – Kocham cię za to, co robisz. Kocham siebie za to, co robię dzięki tobie.

Mężczyzna wpatrywał się w jej oblicze z uwagą. Milczał, spięty i nieodgadniony. Dłonie znowu mu drżały. Towarzyszka podeszła, by oprzeć głowę na jego piersi.

– Nie możesz teraz się lękać – dodała. – Zobacz, udało się! Jesteśmy głęboko pod ziemią, w jedynym miejscu, w którym można zniszczyć Łaskę. To tu wszystko się zaczęło i tu się skończy. Włożę kryształ go gniazda i uruchomię ciąg wsteczny. Wywoła to przegrzanie systemu i da paliwo potrzebne do wybuchu. Za kilkanaście minut to miejsce przestanie istnieć,

a ludzie wolni będą od tyranii. Otworzą oczy i zobaczą świat takim, jaki powinien być. Będą panami własnego losu, wreszcie będą mieli wybór, jak żyć. Czy nie o to nam chodziło? Czy nie po to się poświęcamy? To twoje dzieło. Nie mogę być bardziej dumna!

Mówiła z pasją, ale na dnie duszy skrzyły się iskry niepokoju. Gasiła je, zduszając w zarodku niepewność. Oddech jednak stawał się coraz szybszy, a niezrozumiały lęk – nie o siebie, nie o sens jej sprawy, ale inny, jeszcze nieuświadomiony – zbliżał się nieubłaganie.

Przymknęła oczy, lecz zaraz szeroko je otworzyła, w porę dostrzegając błysk unoszącego się ostrza. Nóż w dłoni Nikodema zmierzał już w stronę kobiecej piersi. Całym ciałem naparła na towarzysza.

Upadli. Na podłogę wysypały się kryształowe Łaski. Wściekle zaczęły emitować opary. Nikodem mocnym chwytem zerwał maskę z twarzy współpracownicy. Odskoczyła i sięgnęła po swój nóż. Spojrzała do tyłu, pomieszczenie w zastraszającym tempie wypełniało się śnieżnobiałą trucizną.

– Przepraszam cię, Mario – powiedział, okrążając ją. Po raz pierwszy od dawna nazwał ją po imieniu. Zdążyła już zapomnieć, jak ma na imię. Zwykle tytułował ją Siostrą, Gołąbką.

Maria, pomyślała. Mam na imię Maria.

– Przepraszam, ale nie możemy tego zrobić – dodał Nikodem.

– Od początku byłeś szpiegiem? – wysyczała pytanie.

– Nie – odparł. – Wierzyłem, że należy się nam lepszy los. Nam wszystkim. Ale przekonali mnie, co jest naprawdę dobre.

– I od tamtej pory byłeś ich poplecznikiem. Ty, twórca całego planu. Nie wierzę. Nie chcę wierzyć, że tak mogłeś nas zdradzić. Że tak zdradziłeś siebie.

– Musimy uratować Łaskę. Nic innego się nie liczy. Nie mieliśmy racji. Wysłuchaj mnie, odłóż nóż.

– Śmiesz mnie o to prosić? Ty pierwszy się nim zamierzyłeś! Teraz chcesz rozmawiać?!

Splunęła i ruszyła na przeciwnika.

Od tej walki zależało wszystko.”

Odkładam tom, zastanawiając się, po co w ogóle po niego sięgałem. Stawiam krok naprzód. Zbyt długo już gniłem w tym łożu. Pora wyjść. Po malignie został tylko gniew. Mówią, że ludzkie życie opisują trzy stany – strach, ciekawość i gniew. Strach potrafi dodać skrzydeł, ale zwykle je podcina. Ciekawość prowadzi najczęściej w mrok, gdzie nie sposób nic dojrzeć. Gniew zaś ożywia i rozpala. Gniew powoduje, że człowiek urasta do rozmiarów olbrzyma, podczas gdy świat wokół się kurczy. Człowiek, który niesie w sobie furię, potrafi być bogiem.

Podsycam więc wściekłość i opuszczam wagon.

Wokół ludzie. Ludzie i pociągi. Nieustająca pielgrzymka z wagonów do magazynów. Czekające opancerzone parowozy. Krzykliwa krzątanka. Otulam się szalem i omiatam wzrokiem otoczenie.

Po lewej lokomotywa, mój prawdziwy dom. Nawet z tej odległości czuję jej ciepło. Papa musi cały czas strzec ognia w palenisku. Chyba jeszcze nie śpi, bo światło świec przebija się przez okno. Papa często siedzi w nocy i patrzy otępiąły w dal. To jakby rytuał, przygotowanie do snu. Pamiętam, że jeszcze nie tak dawno siedział tak Gottfried, dopóki żył. Ojciec musiał przejąć przyzwyczajenie starego maszynisty.

Bliżej pierwszy wagon – magazyn i kuchnia. Delikatny zapach wypiekanego pieczywa. Nijaki zapach konserw. Rozglądam się nerwowo, jednak w pobliżu nie ma nikogo. Wartownicy stoją daleko, w okolicach budynku dworca i przy koszarach. Opróżniają pociąg stojący na pierwszym peronie. Jego metalowe cielsko mnie zasłania.

Drugi wagon – legowisko Mistrza kolei. To z niego wyszedłem. Wciąż słyszę chrapanie Tagenkopfa. Dźwięk przebija przez metalowy pancierz.

Niespokojny sen zakonnika popycha mnie do działania. W każdej chwili opiekun może się obudzić. Gdy nie dostrzeże mnie leżącego w przygotowanym specjalnie dla chorego pośłaniu, cała stacja w mgnieniu oka stanie na nogi.

Spoglądam w prawo i widzę trzeci wagon.

Rzeźnia, taką nosi nazwę. Nie pamiętam, skąd ją znam. Nigdy tam nie byłem, nie mam do niej dostępu. Gdyby nie ostatni sen, ten dziwny efekt gorączki, nie zwróciłbym uwagi na to miejsce.

Lekka poświata wątego płomienia świecy błądzi po wewnętrznej stronie zakratowanych okien. Ktoś krząta się w środku – widzę cień poruszający się w tę i w tę. Podchodzę bliżej, najciszej jak się da. Nocny mróz daje się we znaki, trzęsę się i szcękam zębami. Dobrze, że wokół nie ma strażników.

Okno znajduje się na tyle wysoko, że nie mogę zajrzeć do środka. Wspinam się więc na palce i wyciągam rękę, by sięgnąć jakiegoś uchwytu. Pod stopami chrzęści podsypka torowiska. Jedna próba, druga. Mam.

Zdecydowanym ruchem podciągam się i stawiam stopę na żelaznej sztabie okalającej wagon. Chwilę trwa, zanim upewniam się, że nie spadnę. Poprawiam uchwyt i spoglądam przez szybę.

Brodaty jegomość stoi pochylony nad dużym, drewnianym stołem, na którym leżą zwłoki. Na ścianie wiszą narzędzia: piły, szpikulce, młotki, noże. U stóp ciała widzę grubą książkę, otwartą pośrodku. Dłonie stojącego mężczyzny umazane są krwią, choć na samym stole jest jej niewiele. Jakby ktoś zawczasu wypompował z trupa posokę.

Robi mi się słabo, lecz nie puszczam uchwytu. Biorę dwa głębokie wdechy i zamykam oczy, by spokojna ciemność zmyła pierwszy szok.

W brodaczu rozpoznaję starego Żyda, który wcześniej rozmawiał z Tagenkopffem. W świetle świec doskonale widać krótkie szponiaste pazury. Są z metalu – ostre nożyki, które tną skórę martwego mężczyzny

lepiej niż jakikolwiek skalpel. Staruch wyrzyna na torsie ofiary jakieś znaki. Jego usta poruszają się w niemej modlitwie.

Skąd mogę wiedzieć, że to modlitwa?

Nagle brodacz odchodzi od stołu i zabiera księgę ze sobą. Staje tuż przy moim oknie, odwrócony lewym profilem. Gdyby jego orli nos wywęszył moją obecność, prawdopodobnie znalazłbym się na miejscu trupa. Jednak oczy mężczyzny wpatrzone są w znaki spisane na pergaminie. Prawa dłoń gestykuluje wolno, choć usta coraz szybciej wypowiadają słowa, których nie mam prawa słyszeć.

Gaśnie świeca, po niej następna i jeszcze jedna. Półmrok otula Żyda i spowija chłodem stół oraz leżące na nim ciało. Ja również czuję zimno, większe niż dotychczas. Z palców odpływa mi krew, nogi drętwieją. Tylko pierś przepelnia żar, taki sam, jaki czułem wtedy, gdy leżałem półprzytomny w łóżu Mistrza kolei, a metalowe szpony brodacza błądziły po mojej skórze.

W szybie naprzeciw mnie, po drugiej stronie wagonu, pojawia się postać w spiczastym hełmie. Wygląda, jakby wisiała w powietrzu. Chcę spojrzeć w jej oczy, ale nie mogę. Zgniła, poorana bliznami twarz nie ma oczu.

I wtedy trup leżący na stole podnosi się powolnym, ciężkim ruchem.

Zeskakuję i upadam pod pociąg. Żołądek nie wytrzymuje i wyrzuca swoją zawartość. Rzygam krwią.

Gdy drzwi Rzeźni otwierają się, zrywam się z ziemi i biegnę. Zakrywam uszy, by nie słyszeć nerwowych krzyków Żyda, i biegnę, byle dalej, jak najdalej stąd. Bylebym tylko został sam.

Mijam budynek dworca. Spory gmach z czerwonej drobnej cegły, pachnący węglem, uwędzony dymem. Katedra nowoczesności, kościół żelaznej kolei. Wokół same symbole – szyny, szlabany – poustawiane byle

jak znaki nowej pruskiej religii. Dziwna to wiara, która wiernych zamyka w wagonach.

Łąduję twarzą w błocie. Padało. Czuję wodę w butach, szlam przykleja się do powiek. Uderzam pięścią w muł, rozpryskuje się na boki. Jeszcze raz. I jeszcze.

Płaczę. Gniew nagle smakuje inaczej – gorzko. Sprowadza gorycz, w której grzęznę głębiej niż w brudnej kałuży. Łzy skapują na rozmokniętą ziemię.

— Dalej nie ujdiesz — słyszę.

Gwałtownie odwracam się na plecy, by dostrzec twarz młodzieńca. Jego usta wypowiadają słowa:

— Nie uciekniesz.

Podnoszę się i mokrym rękawem ocieram policzki z tłustej, ziemistej brei.

— To ty — mówię bez sensu. — To ty zaniósłeś mnie do pociągu.

— A teraz nie mogę tam wysiedzieć — odpowiada chłopak. — Tam jest ich za dużo.

— Co oni z nimi robią?! Widziałem... — zaczynam, ale chłopak przerywa.

— Przestań. Wszystko w swoim czasie.

Spoglądam na niego. Jest wyższy, lepiej zbudowany. Tak samo chudy jak ja. Jego skóra jednak jest chropowata, twarda i zimna. Stoi pewnie, choć lekko zgarbiony. Wyobrażam sobie, jak mnie teraz widzi: cherlaka młodszego od niego o kilka lat, uświnionego i zaryczanego.

— Też masz te sny? — Uspokajam się, widząc pewność, jaka z niego bije.

Chcę mówić, ale nie wiem o czym. Obraz powstającego ze stołu trupa wypełnia mi myśli. Byle odsunąć go jak najdalej.

— Sny? — pyta.

— Zwidy, omamy — wyjaśniam. — Nie widzisz tych ludzi...?

Milczy. W jego oczach widać wahanie. Jakby rozważał, czy powiedzieć dziecku coś, czego nie powinno się mówić.

— Ja widzę. — Wymachuję rękoma ze zdenerwowania. — Patrzę na nich i wiem, kim są. Kim byli. Nie znam ich, a mogę wymienić ich nazwiska, winy. Boże, widzę nawet ich pragnienia!

— Niedługo o tym zapomnisz.

— Jak można o czymś takim zapomnieć?! — krzyczę.

— O poprzednich już zapomniałeś.

— Jakich poprzednich?!

Schylam się i ugniatam w pięści ziemię. Czuję ból nadciągający powoli pod czaszkę. Zapowiedź powracającej gorączki.

— Co ty mówisz? — ściszam głos do szeptu.

Podchodzi bliżej i siada na ziemi, na wprost mnie. Bije od niego ciepło i skądś wiem, że mógłby nim ogrzać wszystkich tutaj, lecz nie mnie.

— Opowiem ci o chłopcu, który niczego nie pamiętał — mówi.

Otwieram usta, ale zaraz je zamykam. Pięść rozluźnia się, szlam przecieka przez palce.

— Chłopiec mieszkał kiedyś w domu rodzinnym. Dom nie był za duży ani za mały, w sam raz dla niego, jego starszego brata, młodszej siostry i rodziców. Był też pies, duży wilczur, szarej maści, wdzięczny przyjaciel. Chłopiec nie miał zabawek, nie starczyło na nie pieniędzy, a ojciec nie miał talentu do drewna. Matce brakowało czasu, by szyć, więc nie było w domu żadnych szmacianych lalek. Ledwie skakanka z drutu i kilka kamieni, z których można zbudować zamek na piasku. No i pies, żywa maskotka, wiecznie zaśliniony towarzysz zabaw w lesie.

Milczę. Wygląda, jakby chciał mówić dalej. W tle jakiś zakonnik znęca się nad więźniem. Przez moje plecy przechodzi stłumiony ból spadających na jego ciało razów. Tak wyładowują złość, na innych.

— Chłopiec miał tyle lat, co ty teraz, kiedy przyszli ludzie z bronią. Byli spokojni i nie okazywali wrogości, ale była od nich niezwykła pewność siebie. Wszyscy w domu wnet poczuli, że przybysze dużo zmienią w ich życiu, że mają możliwości, by życie szarej, pruskiej rodziny przemienić w niebo bądź piekło. Po to właśnie przyszli, choć mówili co innego. Ich słowa brzmiały mądrze i dorośli dali się przekonać – przystali na to, co im proponowano.

— Co to było? — pytam.

— Mówili dorosłym, że nie wiedzie im się dlatego, iż żyją w grzechu. Wiecznym grzechu, tym nadanym przez Boga. Potem powiedzieli, że to wszystko można odwrócić, że poprawa może nadejść. Trzeba się tylko wypowiadać i wypełnić pokutę.

Otulam się narzutą i siadam po turecku w błocie, nie widząc nigdzie suchego kawałka ziemi. Kilkanaście metrów dalej niespiesznym krokiem czwórka mężczyzn niesie więźnia na noszach. Nie czuję już bólu. Jedyne, co do mnie dociera, to chłód.

— Wszyscy więc wypowiadali się i rozpalono kadzidła. Chłopiec zapamiętał z tego zdarzenia niezwykłą aurę, przenikającą przez słowa przybyszów. Potem wyciągnięto pergaminy i rodzice skreślili na nich po trzy ikсы, gdyż nie potrafili pisać. To wystarczyło. Nastąpiła noc, nadszedł sen. Dla chłopca ostatni sen w rodzinnym domu. Nazajutrz go zabrano. Rodzice ani siostra nie płakali, starszy brat też nie. Skamlał jedynie pies. Wiedział, że traci przyjaciela wspólnej niedoli. Chłopca wrzucono do lokomotywy i choć nie zakuto go w kajdany, to poczuł się więźniem.

Przerywa, by otrzeć krople spływające mu po policzku. To deszcz. Wiosenny, zimny deszcz.

— Czy ten chłopiec to ty? — zadaję pytanie, gdy orientuję się, że skończył opowieść.

Patrzy na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

— Ten chłopiec to Christian — odpowiada.

— Nosi moje imię — mówię, choć już nikt mnie nie słyszy. Wokół pada deszcz i nie ma nikogo więcej.

* * *

Dzień jest słoneczny i gwarny. Nie zwracam jednak na nic uwagi. Przechadzam się wokół pociągu, obserwując okolicę. Staram się nie patrzeć na nikogo, nie dostrzegać żadnej postaci. Spoglądam w dal, próbując dosięgnąć wzrokiem to, czego nie mam w zasięgu ręki.

Wczorajszy dzień pamiętam słabo. Utopił się w gorączce i gorzkim winie, zalał go deszcz, który spadł w nocy. Woda ochłodziła emocje. Coś jednak wciąż tli się w środku.

Postępuję krok do przodu. I kolejny. Lewa, prawa, lewa, prawa, coraz bliżej trzeciego wagonu. Na bezchmurnym niebie ptaki rysują niewidoczne trasy. Są jak pasażerowie pociągu Karnej kolei, brną w nieznanne.

Chcę wrócić myślami do wczorajszej rozmowy, ale nie umiem. Zostały tylko wrażenia – gorączka czyhająca tuż obok, wilgoć i chłód bijące z ziemi. Widmo postaci w spiczastym hełmie, trup, który zmartwychwstaje. Wszystko blednie w świetle dnia. Ot, kilka słów, niczym klucze niepasujące do żadnego zamka. Muszę zdobyć księgę Żyda. Wśród jego papierów musi się kryć wyjaśnienie tajemnicy.

Lewa, prawa, coraz bliżej wagonu.

Drzwi są otwarte, jakby już na mnie czekały. Stoję chwilę, patrząc, czy nikogo nie ma w środku, po czym wchodzę.

Smród uderza znienacka. Zakrywam usta dłonią, ale nie pomaga. Łapią mnie mdłości.

Zwłok już nie ma, tylko pod stołem znajduję strzępki ciała. Poszarpane, jakby wyrywane szczypcami, może odkrajane. Spoglądam na ścianę, ale po narzędziach nie ma śladu. Stawiam niepewny krok i pod podeszwą czuję kawałek czegoś na poły twardego, na poły miękkiego. Pochyliłam się, starając się wstrzymać oddech.

Zakrwawiony kawałek gliny. Mały, podłużny, plastyczny płat z jednej strony równy i gładki, a z drugiej poorany wąskimi kanalikami. Rozglądam się po podłodze i dostrzegam kolejny. Tym razem palec.

Doskonała replika, linie papilarne, paznokieć – wszystko z gliny. Palec odcięty na wysokości drugiego paliczka.

Wstaję, chowając znalezisko do kieszeni. Przeszukuję stół, ale niczego na nim nie ma. Tylko małe plamy krwi, zakrzepłe wysepki na drewnianej tafli blatu. Obchodzę mebel dookoła, najszybciej jak się da. Muszę się trzymać kantu, smród coraz bardziej doskwiera. Rzeźnia śmierdzi śmiercią.

Jeśli zmysły nie mamły mnie zeszłej nocy, działo się tu coś strasznego, niepojętego. Teraz jednak, w świetle dnia, wnętrze wagonu wygląda prawie zwyczajnie. Gdyby nie ten stół i fragmenty gliny, gdyby nie ten smród. Można by pomyśleć, że to zwykły tabor, w którym zgnił transport mięsa.

Wyczuwam coś opuszkami palców. Kształt pod blatem stołu.

Ukryta szuflada. A w środku plik kartek zapisanych chybotliwym pismem.

Chowam zwinięte w rulon notatki do kieszeni i wybiegam, zamykając za sobą drzwi. Świeże powietrze w końcu dociera do płuc.

* * *

Notatki nie tworzą żadnej zwartej historii. Pisane przez różnych ludzi albo przez jednego, który dopiero uczył się alfabetu. Litery stawiane niedbale, rozedrgane.

Wybieram najmniej pogniecioną kartkę i zaczynam czytać:

„Sen dwudziesty ósmy.

Stoję w pokoju naprzeciwko okna. Na zewnątrz krzątają się ludzie. Niosą coś, chyba ciała. Jest zima i ich twarze otulają chusty, ale i tak z ust wydobywa się para. Wiem, że gdybym mógł czegokolwiek pragnąć, chciałbym spojrzeć w dal. Jednak i tak niczego bym nie dostrzegł, gęsta mgła ogranicza bowiem widoczność.

Stoję prosto, według rozkazu. Obok mnie drugi taki sam jak ja. Stoimy obaj i słuchamy basowego głosu dochodzącego zza naszych pleców. Mówi nam, że jesteśmy za słabi nawet jak na prototypy. Jesteśmy za wolni i za mało skoordynowani. Ale może dać nam jeszcze jedną szansę.

Teraz mamy się naprawdę postarać, bo jeśli źle wypadniemy, to będzie koniec. Głos mówi, że na nieudany eksperyment nie mogą tracić następnych pięciu lat.

Potem opisuje nasze zadanie. Mamy pójść na swoje pozycje i walczyć. Lepszy przeżyje”.

Odkładam kartkę i sięgam po następną. Cała pożółkła i poskręcana. Twardy, gruby papier i koślawe litery. Brzmi tak, jakby pisał to lekarz.

„Wybudzenie numer 102, egzemplarz numer 24, wiek trzy lata.

Po wybudzeniu pacjent nie czuje bólu w nogach, na który skarżył się od dawna. Mówi, że śniło mu się, iż amputowali mu stopy i przyczepili gliniane kończyny. Dodaje, że we śnie cieszył się, że może biegać.

Odchylam kołdrę i pokazuję mu jego nowe protezy”.

Jeszcze jedna notatka i dosyć. Chore majaki więźniów. Biorę do ręki ostatni papier. Wygląda na prawie nowy, gdzieniegdzie tylko poplamiony krwią. Przyglądam się bliżej. To pismo...

To pismo ojca.

„Sen 88.

Zgodnie z rozkazem bierzemy ciała nieudanych i odnosimy na cmentarz za stacją. Jest ze mną Pierwszy i Trzeci. Niesiemy ciała Czwartego i Piątego. Według dyrektyw są już niepotrzebni. Nie spełnili wymagań. Po wybudzeniach nie mogli dojść do siebie – tak tłumaczy głos. Mówi bardziej do siebie niż do nas.

My przecież i tak nic nie czujemy”.

* * *

Noc – przyjaciółka ukrytych i wróg obserwatorów.

Noc – sprzymierzeniec ciekawskich.

Idziemy we dwóch, ja i Christian, chłopak z sąsiedniego pociągu. Idziemy cicho, na palcach, tak, by nikt nie dosłyszał naszych kroków. Ubrani w czarne szaty, usmarowani sadzą, niewidoczni pośród hałd żwiru okalającego stację. Tylko oczy świecą się nam z podniecenia.

Milczę uparcie, choć mam ochotę mówić. Gdybym tylko otworzył usta, natychmiast wyleciałyby z nich słowa. Zapytałbym, czy naprawdę nie wie, o co w tym wszystkim chodzi.

Smutek nie znika z twarzy Christiana, choć chłopiec wydaje się prawdziwym aniołem. Tylko odcięto mu skrzydła.

Idzie teraz u mojego boku, ale i tak czuję strach. Przygniata mnie jego obecność. Choć wiem, że jest niczym mój strażnik, to jednak nie czuję się bezpiecznie. Jestem jak ktoś nieważny, nieistotny. Patrę na niego i widzę swoją przyszłość – pustka w oczach, przygasły żar życia, milcząca zgoda na wszystko.

Czy jednak tak jest w istocie? Czy kilka lat nieustannego kursowania między jedną stacją a drugą zabiło w nas ducha? Gdyby tak było, czy skradalibyśmy się w stronę puszczy? Pewnie nie chcielibyśmy zobaczyć tego, co kryje się za granicą lasu. Ale idziemy tam, gdzie nie wolno. Gdzie z karabinów żołnierzy Pruskiej Armii Zakonnej może spotkać nas śmierć.

Smród jest coraz mocniejszy. Wyraźny zapach zgnilizny uderza w nozdrza, wyciska z oczu łzy. Nie ma wiatru, więc czuję go dobrze. Jest jak niewidzialna zawiesina, jak chmura otaczająca wszystko wokół. Zasłaniam dłonią usta i nos, ale to nie pomaga.

On idzie pewnie, nie zważa na odór. Lekko skulony, czujny, omiata wzrokiem otoczenie. Tutaj nie ma świateł, więc niewiele widać. Chmury zasłoniły gwiazdy, jedynie skąpa poświata księżycy potrafi się przez nie przebić.

Rozglądam się. Dobra nasza, myślę. Nie ma nikogo. Możemy iść dalej. I wchodzimy w las, prosto w paszczę najczarniejszej nocy.

Tutaj nie widać już nic, więc chwytny się za ręce i zwalniamy. Ważny jest każdy krok, chwila nieuwagi, nadepnięta, chrzęszcząca gałązka i już mogą się dowiedzieć o naszej eskapadzie.

Przypominam sobie słowa jednego ze strażników: „Żaden się nie wyrwie”. Uśmiecham się mimowolnie. Nawet nie wie, jak bardzo się mylił.

Stawiam następny ostrożny krok i czuję pod butem małą nierówność, jakby górkę usypaną ze świeżej ziemi. Ściskam mocniej dłoń towarzysza. Odpowiada mi tym samym, po czym pochyla się i zaczyna grzebać w ziemi. Powolnymi, spokojnymi ruchami odgarnia nasyp. Zanim dochodzi do mnie absurd sytuacji, widzę siebie z boku, również kopiącego z zapalem.

Przykry zapach staje się nie do zniesienia. Gryzie w nos, piecze w oczy. Żołądek wywraca mi się do góry nogami.

— Hans? — słyszę za plecami.

Jak na komendę przestajemy kopać i zastygamy. Boję się nawet odwrócić, by blask oczu nie zdradził nikomu, że tu jesteśmy.

— Hans? Do cholery, odezwij się.

— Co?

— Widziałeś Grubego Matta?

— Nie, a co się stało?

— Poszedł do lasu i jeszcze nie wrócił.

— Dawno?

— Wystarczająco, żeby zrobić, co trzeba. Nie możemy na długo opuszczać posterunków, ale powinniśmy go poszukać.

— Dobra, chętnie ruszę się stąd choćby na chwilę. Cały czas tylko dwieście kroków w tę, dwieście z powrotem. Boże, zlituj się...

Milczymy, starając się wyłowić odgłosy oddalających się kroków, jednak strażnicy krążą blisko. Głośno nawołują. Z każdym ich okrzykiem mocniej przygryzam usta.

Spoglądam na Christiana, jednak w jego dziwnych oczach nie dostrzegam pocieszenia. Widzę portret obojętności, bezmyślne odbicie swojej twarzy, które w tych szklistych oczach przestaje mieć jakikolwiek wyraz.

— Hans! *Scheisse*...

— Gdzie jesteś?

Mrużę powieki i pochylam się powoli, aż mój policzek dotyka gruntu. Wilgotna ziemia pachnie trupem. Żołądek podchodzi do gardła. Przełykam ślinę i się uspokajam.

Jeszcze chwila i całkowicie przesiąknę tym smrodem.

Zalanymi krwią oczyma widzę czyjeś powłóczące nogi. Mężczyzna, staruszek w dziurawym bucie. Chudy jak szkielet, kroczy z trudem. Obok brudna para trzewików należąca do kobiety w sile wieku. Stąpa ostrożnie, lecz chwiejnie. Jest wyczerpana.

Wchodzą między drzewa i czują ten sam odór, który roznosi ciemny, nocny las.

Ktoś kładzie mi dłoń na głowie i wizja znika. Podnoszę się ostrożnie, by spojrzeć wprost w poraną bliznami twarz. Spiczasty, pruski hełm, wojskowe szaty. Usta pełne ziemi. Puste oczodoły.

Zrywam się na równe nogi i krzyczę. Christian puszcza moją dłoń i wybiegam z lasu.

— *Halt!* — Słyszę, ale nawet nie zwalniam.

Dopiero strzał osadza mnie w miejscu.

Zamykam powieki. Gdy znowu je otwieram, widzę przed sobą dwóch wojaków w mundurach-habitach. Długimi karabinami mierzą wprost we mnie. Wyloty luf są tak czarne, że przebiega mnie dreszcz. Wyglądają jak dwie bezdenne studnie, wąskie wizjery w bezgwiezdną noc. Jak oczy diabła.

— Ktoś ty? — pyta pierwszy z zakonników.

— Więzień — odpowiada za mnie drugi, gdy staram się skołowaciałym językiem wymemlać swoje nazwisko — ucieka.

— Niemożliwe. — Gęsta ślina ląduje między nędzną, zgniłozieloną trawą. — Żaden się nie wyrwie.

— A jednak!

Biorę głęboki oddech i natychmiast lufa ląduje mi między oczami. Jest gorąca, jakby czuła nadchodzący strzał i pociła się z podniecenia.

— Velgmann z pociągu Tagenkopfa — wyrzucam z siebie jednym tchem.

— Maszynista?

Przytakuję, choć to nieprawda. Nie ma czasu na zbędne wyjaśnienia, mogliby zwątpić i pociągnąć za spust.

Kim właściwie jestem, jeśli nie maszynistą? Moim domem jest lokomotywa.

Opuszczają karabiny.

— Nikt tu nie wejdzie i nie wyjdzie stąd żywy, chyba że odjedzie w pociągu. Takie rozkazy — mówi pierwszy z żołnierzy.

— Odstawimy cię do von Guicha — dodaje drugi. — Mamy wojnę, to nie przelewki. Nie można łązić tam, gdzie się zechce.

Biorą mnie za bark i prowadzą w stronę stacji. Idę nierówno, popychany przez strażników. Pragnąłbym zgubić się w puszczy okalającej stację. Nie chcę wracać do pociągu. Gdziekolwiek, byle nie tam.

Gdziekolwiek, byle nie tu.

Wiatr zza mych pleców przynosi smród. To woń trupów.

* * *

— Co tam robiłeś? — pyta skrzekliwym głosem Mistrz oddziału strzegącego stację.

Gdyby nie wciąż wyraźne w pamięci odbicie martwej twarzy wydobywającego się z ziemi Prusaka, powiedziałbym, że von Guich jest straszny. Ma wychudzoną, szkurzą twarz, suche usta i krogulczy nos. Zamiast palców – zakrzywione szpony, jakby dopadła go jakaś dziwna choroba.

Kto wie, czy wszyscy tutaj nie są chorzy? Tylu jeńców przewożonych jak świnie na rzeź, stłoczonych nielitościwie w za małych wagonach. Z pewnością zaraza wisi w powietrzu.

— Odpowiedz mu — mówi Tagenkopf.

Spoglądam na zakonnika z wyrzutem. Nic mi nie wyjaśnia. Cały czas tylko obiecuje – że kiedyś zajmę jego miejsce, że będę kimś więcej, niż jestem. Jego puste słowa łopoczą na wietrze.

Tagenkopf nie dopuszcza mnie do siebie. Myślałem, że jestem mu bliższy niż ktokolwiek. Karmię go, poję, kurzę z nim tytoń. Rozmawiamy o Bogu, o grzechu, o ludziach, o zakonie. Zwierzam mu się, opowiadam o ojcu, o jego życiu. Nie śmiem nawet marzyć o czymś, czego Mistrz kolei by nie zaaprobował.

A teraz on chce, bym oskarżał sam siebie.

Von Guich podchodzi do mnie i łapie za szczękę. Jego skóra jest ziemista, pachnie szarym mydłem.

— Mów, gówniarzu — syczy mi prosto w twarz.

Zamykam oczy, by nie widzieć jego upiornie podłużnego lica, ale od razu uderza mnie otwartą dłonią w policzek.

— Jak wydostałeś się ze stacji? Wasz pociąg stoi na peronie, jest pod ciągłą obserwacją. Wszystko tutaj widzimy, nawet myszy w magazynie.

— Ale wrogich żołnierzy nie zdołaliście zobaczyć na czas.

— Ty świnió! — Dostaję w twarz po raz drugi.

Oberstleutnant nie patrzy na nas. Bawi się małym złotym zegarkiem, na którego kopercie wygrawerowano napis: „Johannowi, rodzice”. Udaje, że czuwa nad wszystkim, że pilnuje, aby przesłuchanie przebiegało jak należy. W jego zachowaniu jednak widać, że nie jest tym samym człowiekiem, którego znałem.

A może po prostu dotychczas go nie znałem?

Otwieram usta i zaczynam:

— Czemu...

— Masz szczęście, chłystku, że cię potrzebujemy. Inaczej sam rozstrzelałbym cię bez wahania. Ale nie czuj się bezpiecznie. Jeśli nie będziesz gadał, zamknę cię z całą resztą w pociągu, żebyś zgnił. Skażę cię na tortury, ale będę utrzymywał przy życiu. Ważne, żebyś żył i był w tych przeklętych wagonach. Nieważne, czy będzie ci się działo krzywda. Jeszcze się przydasz, jeszcze mamy na ciebie czas. Powie się, że to dla dobra badań. I tak jesteśmy dla was nazbyt pobłażliwi.

Przygryzam wargę, zastanawiając się nad sensem jego słów. Kto tutaj jest wariatem? Kto nie widzi niczego, a kto widzi zbyt wiele?

— Spytałem jeszcze raz – co tam robiłeś?

Zamiast odpowiedzi nadstawiam drugi policzek.

— Jak tam trafiłeś?

Nie mówię nic.

— Z kim uciekałeś?

Milczę.

Mistrz oddziału wie, jak bić, żeby bolało. Zna się na swojej robocie. I diabelsko ją lubi.

Niech bije, nic nie powiem.

Ciekawe tylko, czy schwytali mojego anioła? Gdzie jest Christian?

— Karl, na Boga, odpowiedz mu! — krzyczy Tagenkopf.

Karl?

* * *

Prawdziwy człowiek to zwierzę. Gdy jest wściekły, nie potrafi ukryć emocji. Wychodzi z niego bestia – wtedy jest najbardziej ludzki.

Czy Bóg naprawdę stworzył nas na swoje podobieństwo?

Patrzę w lustro i nie rozumiem. Falujące odbicie, jak wibrująca tafla wody, a nie płaska strona zwierciadła. Widzę obrazy ze swojego życia: matkę i małą Grete, wpatrujące się we mnie z obrzydzeniem. Potem nadjeżdża pociąg i gwizd pary z komina lokomotywy brzmi potępieńczo. Drzwi uchylają się i ze środka wychodzi Tagenkopf, cały we krwi. Reszta wagonów jest z gliny, z glinianych ciał, wijących się z bólu.

Chwilę później jakaś obca twarz zerka na mnie z lustra i czuję przejmujące zimno. Robię groźną minę z nadzieją, że obraz rozprysnie się na tysiące kawałków, w których nie ujrzę już nic.

Zarost na policzkach, suche spuchnięte usta, garbaty nos. Tylko oczy znajome, choć też nie moje. Wielokolorowe źrenice z czerwonymi plamkami, jakby przekrwione od nadmiaru dymu i pyłu.

Spoglądam na dłonie – mocne jak szufle, poranione i oparzone w kilku miejscach. Nie mogę rozprostować palców. Bolą.

Skołtunionie włosy, przyprószone siwizną, podobnie brwi.

Wyglądam jak mój ojciec.

Uderzam pięścią w lustro. Trzask zawisa w powietrzu oskarżycielsko. Zaraz chwytają mnie i wykręcają ramię.

— Wyrывa się! — krzyczy jeden z wojaków. — Dajcie jeszcze dwóch!

— Mocny — sapie drugi, czuję na szyi jego gorący oddech. — Ogłuszmy go!

— Nie. Ma być przytomny, rozkaz von Guicha — dodaje trzeci.

Tym trzecim jest Tagenkopf.

Dwójka zakonników dobiega. Dźwigają mnie i niosą do otwartych drzwi jednego z wagonów. Rozglądam się. To mój pociąg. Wrzucają mnie do środka i zatraskują rygle. Łąduję w bezkształtnej masie więziennych ciał, stłoczonych wewnątrz żelaznej komory taboru.

Tracę przytomność.

* * *

— To jeden z nich — kobiecy głos tuż nad moim uchem. — Boże, jaką on ma skórę... Jakby nie...

— Przestań bredzić i zacznij myśleć. Po co by go tu wrzucali? — dopytuje mężczyzna.

— Nie wiem, ale to na pewno jeden z nich.

— Tu wrzucają tylko więźniów — dołącza ktoś inny.

— Stoimy już jakiś czas. Długo. Nikogo wcześniej nam tu nie dołączyli.

— Pamiętacie, jak Boris podejrzwał ich przez okno? Oni tutaj wyładowują ludzi. To stacja.

— Zamknij się, Berta. Jesteśmy już jakieś pół kraju za tamtą stacją.

— Przecież nie ruszyliśmy się z miejsca.

— Zamknij pysk, tylko mącisz.

— Podsadzę cię, a ty sprawdzisz, że mówię prawdę.

Odgłos szurania, jęk. Widać tylko nikły promyk światła pod sufitem, resztę zakrywa ciemność. Tu wzrok nie gra żadnej roli. Można tylko czuć i słyszeć.

We wnętrzu Karnej kolei jest ciemno. Ma się wrażenie, że wagony są puste. Tylko dźwięk zdradza, że jest inaczej.

— I co, Frycek? Gdzie jesteśmy? — Kobieta ledwo mówi. Wiem, że jej usta znajdują się tuż nade mną, czuję jej oddech. Nie czyściła zębów od tygodni. Dreszcz obrzydzenia przebiega mi przez plecy.

— Nie wiem... Jakby stacja...

— A mówiłam! Złaź, nie utrzymam cię dłużej — dodaje po chwili.

— Wy tam, uspokójcie się — dobiega z oddali. Jakby z drugiej strony wagonu. — Próbujemy spać. Poruszacie się, a z wami cała reszta.

— Jeremij, dorzucili nam kogoś — odpowiada mężczyzna.

Słyszę wyraźnie, jak stawia bosą stopę na podłodze wagonu. Kobieta oddycha z ulgą.

— I co z tego? Żyje?

— Żyje, ale chyba jest nieprzytomny. Oddycha, choć na nic nie reaguje.

— No to połóżcie go gdzieś. Połowa musi leżeć, połowa stać. Inaczej się podusimy. Przestańcie się wiercić.

— Boże, ta jego skóra... — mówi kobieta.

— Wszystkich was pies... — dorzuca staruszek leżący obok mnie.

* * *

— Nie budzi się. — To Berta, tak na nią mówią.

Jej głos jest kwaśny i chropowaty. Gdy go słyszę, przychodzi mi na myśl poskręcana struna do skrzypiec, a na języku czuję posmak niedojrzałych, zielonych jabłek.

— Albo nie chce się obudzić. — A to Frycek.

Ma nietypowy akcent, zaciąga. Nie wiem, czy Wschodniobał, czy Polak, ale z pewnością ktoś z Kresów Wschodnich.

— Na jedno wychodzi — dodaje staruszek.

On zwykle marudzi, jak małolat. Starość jest powrotem do gorzkiej strony dzieciństwa.

Rozmowa. Dźwięki zmieniają się w barwy, każdy głos ma swój smak. Wszystko jest otulone brzmieniem. Każdy z nas pływa w jeziorze tonów. Jesteśmy na samym dnie, w absolutnej ciemności. Tylko pod sufitem, u góry, widać marny promyk światła z małego okienka – już dzień. To uświadamia mi, w jak głębokich tonę wodach.

Czas biegnie tu inaczej – odmierzany zdaniem, słowami, wreszcie sylabami. Sekunda to nabranie powietrza do płuc, aby nie zabrakło tchu. Czas to strumienie rozmów rozcinające ciemność. W tym wagonie tylko tak można liczyć chwile.

Każdy tutaj sam jest sobie zegarem i zegarmistrzem.

— Myślisz, że po niego wrócą? — pyta Berta.

— Po co mieliby wracać?

— Nie wiem...

Z lewej dobiega nerwowy skrzek.

— Stary, nie charcz mi w twarz.

Jednak stary kaszle i ślina z ust pada na twarz mówiącego mężczyzny, który w jednej chwili wierzga nierozsądnie. Między nim a staruszką stoi

bowiem ktoś jeszcze, a zaraz obok niego ktoś następny.

Wystarczy jeden nieostrożny ruch, by las stojących ciał zachwiał się i padł, jakby śmierć podcięła im kosą nogi.

Tym razem jednak nikt nie pada, chociaż czuję ucisk na klatce piersiowej. Ktoś stanął na niej, by nie upaść. Czekam wieczność, aż cofnie nogę.

— Kurwa — klnie jakiś Polak. — Co tam się dzieje?

— Jakiś stary cap zdycha!

— Dobijcie go!

— Pies wam mordy... — wrzeszczy starzec, ale po raz wtóry zanosi się kaszlem.

— Niech ktoś go uciszy! — wołają z drugiego końca wagonu.

— W łeb mu! I tak przecież nie można pomóc!

Nagle czuję przypływ gorąca. Czoło zrasza pot, palce zaciskają się kurczowo. Szorstka skóra dłoni szoruje ramię. Uderzam przypadkiem łokciem leżącą obok Bertę. Wiem, że odwraca twarz w moją stronę. Na szczęście nie może dostrzec, czy przebudziłem się, czy nie.

Tymczasem opluty mężczyzna szturcha dziadka. Syk uchodzącego z płuc powietrza słycać doskonale. Nic tak nie brzmi, jak cios w brzuch. Stary traci oddech i charczy ponownie.

Te dźwięki... Jakby ktoś rozpruwał jedwab. Zarazem delikatne, ale w jakiś sposób brutalne, ostre. Jak gdyby tkanina rzewnie płakała. Odgłos ma posmak piołunu. Stary dostaje po raz kolejny. Jest coraz gorzej. Nie może złapać tchu.

— Dobij! — krzyczy reszta. — Dobij!

Dziadek dusi się, lecz rzuca się tylko nieznacznie. Miota się tyle, ile musi – ani mniej, ani więcej. Chyba zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Gdyby umierał gwałtownie, wymachując rękoma, wierzgając, gdyby szamotał się z kostuchą, pociągnąłby wszystkich za sobą.

Przyjmuje więc kolejny cios i dokonuje żywota. Tak słaby, tak mizerny, zgorzkniały i śmierdzący, a zarazem tak piękny. Ma nadzieję, że przyjmując swój los, uczyni go lepszym. Wiem to.

Wiem też, że mężczyzna, który go zabił, w przeszłości zamordował innego człowieka. Właśnie za tę zbrodnię tu gnije.

Berta biła swoje dzieci.

Frycek handlował niewolnikami.

Widzę ich dusze. Widzę ich wspomnienia. Widzę przez nich na wskroś.

Widzę ciemność na pięćdziesiąt par oczu.

I czuję pięćdziesiąt śmierci wiszących pod sufitem.

Stary wiedział, kiedy umrzeć...

* * *

Żołnierze wiedzą, jak strzelać, by zabić.

Nie wiem, czy to ranek, czy wieczór. Światło sączące się leniwie przez wąski lufcik równie dobrze może być promieniami słońca, jak i silnych pruskich latarni gazowych. W wagonie jest zimno, pomimo stłoczonych razem kilkudziesięciu ciał. Trwamy w bezruchu, świszcząc tylko rozedrganymi oddechami. Boimy się poruszyć, by nie zniszczyć tej chwilowej równowagi. To ostatnie spokojne chwile.

Na zewnątrz wojskowe gardła plują rozkazami jak ołowiem z karabinów. Kanonada ryków i ponagleń. Otwierają wagony, słysząc metaliczny jęk i wibrujący pogłos przypominający dźwięk źle nastrojonego fortepianu.

Raz po raz rozbrzmiewa strzał. Z początku nieśmiały, pojedynczy, jakby nie na miejscu, mącący ciszę i spokój. Potem krótkie salwy, buńczuczne i zdecydowanie śmielsze, hardo rozcinają szumiące dźwięki

lasu. Następnie ogień ciągły, aż do wyczerpania naboji – dumne burze z piorunami, metalicznie szyszące z agonalnych krzyków.

Moje piersi wypełnia ogień, a myśli płyną w stronę setek konających więźniów z innych wagonów.

Gdy wszystko ucicha, słyszę słowa Tagenkopfa:

— Glinianych na cmentarz, zakopać. Resztę spalić. Potem następny wagon. Kiedy skończymy, zabierzemy się daleko stąd.

Próbuję o tym nie myśleć.

* * *

— Uspokój się — kolejny głos, inny niż wszystkie, a jednak podobny. Melodyjny, mocny, ale zarazem tak samo naznaczony cierpieniem. Znam ten głos. — Bądź spokojny.

— To ty, Christian? — choć szepczę, i tak wiem, że mnie słyszy.

— Christian? Tak mnie nazwałeś?

Na policzki spływają mi rumieńce wstydu. Dobrze, że nie może ich zobaczyć. Skąd niby miał wiedzieć, jakie imię mu nadałem?

— Podoba mi się — mówi dalej, nie czekając na moją odpowiedź. — Ale nie jestem tym, za kogo mnie uważasz.

Wagon jest cichy. Słyszać tylko mnie i jego. Skrajne wyczerpanie utuliło pozostałych do męczącego letargu. Myślę sobie, że jestem strażnikiem. Czuwam nad losem śpiących, doglądam ich snów.

— Jak się tu dostałeś?

— Ściany nie są już dla mnie przeszkodą.

— Ktoś musiał cię widzieć, jak wchodziłeś... Zabijają wszystkich z innych pociągów. Jak się przedarłeś?

— Nikt nie mógł mnie zobaczyć.

Mrużę oczy ze zdziwienia. Jednocześnie uświadamiam sobie, jak pusty to gest. W mroku zdradzają cię tylko twoje odgłosy. Dźwięk to wszystko, czym jestem w ciemności. Milczę więc, by udać, że mnie nie ma.

Całe ciało zalewa ogień. Palące symbole, jakby wyrte na mojej piersi. Czulem je już wcześniej, ale nigdy tak bardzo nie dawały się we znaki. Pamiętam jak przez mgłę, że wyłabiano mi je nożem cztery lata temu, zanim przekroczyłem próg Karnej kolei. Ból wykręca członki, jednak także rozjaśnia umysł.

Co się ze mną dzieje?

Jeśli miałbym opisać obłąd, podałbym swoje imię.

Jak mam na imię?

— Przyjdą po ciebie — mówi chłopiec. — Przyjdą po ciebie, tak jak tamci przyszli po mnie. Są już blisko, najpierw ich usłyszysz, później zobaczysz. Wraz z nimi skończy się wszystko.

— Dlaczego nie jestem sobą? — szepczę po chwili milczenia.

Pytanie brzmi żałośnie, jak skowyt przestraszonego, bitego psa.

— Żaden z nas nie jest sobą — odpowiada. — Jest nas wielu, zagubionych między ciałem a duchem. Każdy z nas widzi więcej, niż chciałby zobaczyć.

— Czy jestem swoim ojcem?

— Jesteś pustym śmiechem, drwiną z natury, niczym innym.

Milknie znacząco, by po chwili dodać:

— Mnie tu nie będzie, kiedy przyjdą. Zostaniesz sam.

Zaciskam pięści i wbijam paznokcie w ciało, aż do krwi. Nie mam jednak siły płakać.

— Będą już niedługo — kontynuuje. — Przygotuj się.

* * *

Ostre światło rozcina wieczną noc wagonu. Drzwi się otwierają.

Odwracam wzrok i natychmiast tego żałuję. Oczy, odzwyczajone od słońca, rozpalają się bólem. Czuję, że wypływają z oczodołów wraz ze łzami. Czuję setki rzeczy naraz.

Krzyk żołnierzy.

Gotowość karabinów do strzału.

Hamowaną wściekłość von Guicha.

Strach Frycka.

Słabość Berty.

Ciekawość i rozczarowanie Tagenkopfa.

— Velgmann! Powstać! Reszta na ziemię!

Łatwiej powiedzieć, trudniej wykonać. Oślepiiony, wyzuty z sił, podnoszę się, przytrzymując się obcych chudych ramion.

— Tutaj — mówię, najgłośniejszym głosem jak mogę.

— Wyłazić!

Stawiam niepewny krok między łopatki któregoś z jeńców. Rzuca przekleństwem jak brudnym ochłapem dla psa, ale nie mam siły, by zareagować. Stawiam następną nogę, drżącą z przejęcia i zwiotczałą. Przewraca mnie własny ciężar. Upadam po raz pierwszy. Gdzieś na granicy zrozumienia odczuwam, że to stacja mojej drogi krzyżowej. Kilka rąk pomaga mi wstać. Twarze więźniów skierowane na mnie, kilkadziesiąt par oczu wlepionych w moją postać. Dotykam ich dłońmi, podtrzymuję się na ich ciałach. Mam w palcach ich niechęć oraz obrzydzenie. Żegna mnie nienawiścią i nawet nie mam siły na złość.

Kolejny krok i leżę na torowisku. Czarna podsypka, brudny pył i kamienie rozgrzane od wiosennego, upalnego popołudnia. Silne ramiona stawiają mnie do pionu. Przekłęte słońce. Nie widzę nawet twarzy żołnierzy. Tylko rozmazane ludzkie sylwetki i kontury budynków. Wydaje

mi się jednak, że wszystkie pozostałe pociągi opuściły stację. Nie dostrzegam ich.

Za moimi plecami ktoś zamyka metalowe drzwi wagonu i po chwili ciągną mnie w stronę dworca.

Żegna mnie nierówna kanonada pruskich karabinów i świst kul. Z gardeł współwięźniów nie wydobywa się już nic.

* * *

Nie muszę zadawać żadnych pytań. Usta Tagenkopfa otwierają się same, nagle tak skore do wyjaśnień, których nie dostawałem przez lata.

— Ewakuujemy was — mówi bez emocji, nie patrząc mi w oczy. Nie potrafi zdobyć się nawet na ten jeden pusty gest. Jestem dla niego tym, kim był ten prosty zakonnik, ofiara herezji na stacji Neidenberg. Figurą w cudzej grze, narzędziem do wykorzystania. — Trzeba opuścić stację.

— Gdzie? — pytam beznamiętnie. Choć chcę ruszyć na niego, pięściami jak łopaty wybić z głowy całą tę piekielną wojnę, jestem bezsilny. Zakuty w kajdany, słaby, mikry. Bezradny. — Gdzie nas zabieracie?

— Niedaleko. Mamy swój cmentarz tuż obok. Tam traficie. Już nie jesteście nam potrzebni. Według Kabalistów jesteście nieprzydatni. Sprawiacie zbyt wiele kłopotów.

Zapala fajkę. Aromat suszonych śliwek w gęstym kłębie dymu roznosi się po całym pomieszczeniu. Słodka gorycz.

— Świnie...

— *Scheisse*, Karl, myślałeś, że to będzie trwać wiecznie? — w jego głosie czuć irytację. — A może Christian? Woląłeś, bym tak cię nazywał... Eksperyment dobrze rokował, ale nie mamy już na was czasu. Trzeba uciekać, cofnąć się, oddać pola. A na twoje miejsce czeka tysiąc kolejnych...

— Zamknij się — przerywam. — Wykorzystałeś mnie.

— Dałeś się wykorzystać. Nie musiałeś katować rodziny. Do tej pory się zastanawiam, czemu Inge, twoja słodka Inge, płakała, gdy nam ciebie odsprzedawała.

— Odsprzedawała?

— Zamiast kary, przecież wiesz. Byłeś zdziwiony, kiedy dopadliśmy cię wtedy, na stacji kolejowej, gdy biłeś syna. Biedny Christian, nie przeżył tamtej nocy. Nie rozumiem, dlaczego kobieta taka jak Inge płakała nad tobą, zamiast nad swoimi dziećmi. Inge Velgmann — mówi Tagenkopf. — Pamiętam ją jak dziś, stojącą pomiędzy rozpaczą a miłością. Prosta robotnica, potrafiła się tylko podpisać... Nie zadrżała jej ręka, gdy sygnowała papiery. Kochała cię, a jednak siła argumentów zrobiła swoje. Ty ją skrzywdziłeś, a my zaproponowaliśmy spokój, pieniądze i bilet w jedną stronę do Berlina. Opowiedziała nam o Gustavie, o Christianie. Te jej oczy, gdy cię zabieraliśmy... Tak, ona też miała w sobie trochę twojego szaleństwa.

— Płakała, bo zdradzała wszystko, w co wierzyła. — Nagłe oświecenie podpowiada mi słowa. — Wierzyła we mnie. Chciała we mnie wierzyć...

— Wiedziała, że jesteś winny, i cię sprzedała. — Uśmiecha się kpiąco. — Mniejsza z tym. Miałeś zgnić w lochach Neidenbergu, ale znaleźliśmy dla ciebie coś lepszego. Byłeś ciekawym przypadkiem. Kabaliści do tej pory rozwodzą się nad fenomenem częściowo zachowanej pamięci. Twoja przemiana w Christiana była czymś niezwykłym. Zacząłeś tak silnie odczuwać emocje... Nagle zmieniłeś się nie do poznania. Był w tobie Karl Velgmann, ten stary rzeźnik, ten wariat z zimną krwią katujący własne dzieci, ale było też coś jeszcze. Nie zrozum mnie źle, wielu z was, morderców, przechodzi metamorfozy, jednak nigdy tak mocne. Byłeś czymś, czego nie potrafiliśmy pojąć. Po przemianie zostałeś swoim synem. Nie mamy jeszcze odpowiedzi na wszystkie pytania, ale już spełniłeś swoje zadanie. Możesz udać się na spoczynek.

Tagenkopf odwraca się w moją stronę i wolnym, stanowczym tonem mówi:

— Pozwól, że odprowadzą cię moi bracia. Mnie wzywa obowiązek. Trzeba zatrzeć wszystkie ślady. Podarowałem ci ostatnią rozmowę, docień to. Inni nie mieli tego przywileju.

Wstaje i poprawia swój mundur-habit.

— Mogę cię jeszcze wypowiedać, jeśli chcesz — mówi beznamiętnie.
— Tyle jestem ci winny.

Spluwam pod nogi. Uśmiecha się pobłaźliwie i wreszcie spogląda mi w oczy. Mocno zaciąga się tytoniem i odkłada fajkę na mały, drewniany stojak leżący na sekretarzyku nieopodal.

— Te wszystkie wagony, cały ten ładunek... — zaczyna z namysłem.
— To tylko ludzie, zbrodniarze, w większości mordercy, tacy jak ty. Musieliśmy dokonać ostatecznej selekcji, wybrać tych, którzy będą dla nas przydatni. Nie nadajesz się, przyjacielu.

Milknie i odwraca twarz do okna. Trwa tak kilka chwil, jakby zbierał się na odwagę. Pod paradnym mundurem napinają się mięśnie. Oddycha nerwowo i bezwiednie stuka palcami w ścianę.

— Myślę, że teraz mogę być z tobą szczery. To wszystko już nie potrwa długo, ten pociąg jest ostatni. Gdzieś blisko są Wschodniobałtowie. Słyszałem o masakrze w Kortau, nie został tam kamień na kamieniu. Pewnie osiągnęli już Neidenberg.

— To, co znalazłem w lesie... — przerywam. Czuję, że odpowie na moje pytanie.

— ... to groby — kończy za mnie. — Wszyscy ci, którzy się nie nadawali.

— To nieludzkie.

— A ty? Jak bardzo jesteś ludzki? Niech policzki nadstawiają inni, my jesteśmy żołnierzami. Mamy walczyć, aby cała reszta mogła wierzyć

w cokolwiek tylko zechce.

— Nauczałeś mnie czego innego, Tagenkopf...

— Niczego ciebie nie nauczałem.

— Obiecałeś mi, że będę taki jak ty!

— Tak naprawdę to ja jestem taki jak ty. Obaj zabijamy. Tylko że ja złoczyńców, a ty niewinnych.

Oberstleutnant odwraca się na pięcie i wychodzi z wagonu. Dogasający tytoń przynosi zapach wyrzutów sumienia.

Płaczę.

* * *

Na zewnątrz pada strzał. Przez okno widać von Guicha ściskającego w dłoni pistolet. Obok stoi oddział żołnierzy, wszyscy z karabinami wymierzonymi w otwarte drzwi ostatniego wagonu na ostatnim peronie. Przeładowują broń.

Czuję niepokój wszystkich znajdujących się w środku. Krew uderza mi do głowy zupełnie jak zamarłej z przestrchu Wiktorii. Palce zaciskają się w geście rozpaczony jak Matthiasowi. Na usta cisną się przekleństwa, które wypowiada Kaszub z drugiego końca wagonu.

Rozbrzmiewa salwa i padają ci z przodu, najbliżej drzwi. Po chwili powtórka i giną następni. Ogień, proch i krew. Gorące, żywe ciała zmieniają się w martwą, zimną materię. Ludzie osuwają się na ziemię, impet rozpędzonych kul rzuca ich na ściany. Widziałem to już kiedyś, śniłem o tym.

Martwe ciała, mięso, padlina.

Glina.

Tym są teraz.

Kolejne strzały. Dobijają rannych. Wewnętrzny ogień bólu rozpała mi trzewia. Każda wystrzelona kula trafia i mnie. Czy apostołowie czuli gwoździe Jezusa?

Zupełnie jakbym coś odzyskał i stracił jednocześnie. Powróciło dawne ja. Oto siedzę tu, skuty Karl Velgmann, z dłońmi pooranymi od ran i poparzonymi od rozgrzanego do białości węgla, ze skórą szorstką jak tarcza do prania i obłąkańczymi myślami szukającymi ujścia. Powróciły też wspomnienia, a wraz z nimi naga prawda. Odzyskawszy siebie, uświadamiam sobie, co zaprzepąściłem.

Zabiją mnie. To pewne.

— Przynajmniej mam wyrzuty sumienia — szepczę.

Zakonnicy spoglądają na mnie wzrokiem pełnym irytacji. Ich ruchy są pospieszne, niezbyt dokładne. Ten po prawej, młodzian z ogoloną na łyso głową, nieświadomie zaciska palce na moim ramieniu za każdym razem, gdy pada strzał. Patrzę na niego i uśmiecham się kpiąco – chce groźnie wyglądać, ma pistolet wetknięty za pas, jednak nikogo nie oszuka. Boi się. Chciałby stąd uciec, najszybciej jak się da.

Podjeżdża parowóz z dużą przyczepą. Transport skazańców, poczekalnia dla martwego mięsa przygotowanego do wyrzucenia. Wokół zbiera się grupka żołnierzy. Przerzucają ciała. Ruch rozpromienia to miejsce, dzięki niemu tabor pełen trupów tętni życiem.

Stacja powoli pustoszeje. Szczęśliwcy znajdują miejsca w pojazdach, które z sykiem gorącej pary odjeżdżają w las na zachód, inni tłumnie maszerują ich śladem. Reszta wojaków dobija tych, którzy nie zdążyli szczeznąć w wagonach.

Przechodzę obok lokomotywy. Przez zakratowane okno spogląda Gottfried pakujący do małego worka kilka drobiazgów. Staruszek stara się unikać mnie wzrokiem, ale raz po raz wychwytyuję jego spojrzenie. Jest

brudny i obojętny niczym posąg. To w nim musiałem widzieć siebie. To w jego oczach musiałem znaleźć Christiana.

Prowadzą mnie na wschód. Idą szybko, jakby bali się, że reszta zniknie, zanim zdążą wrócić. W ich krokach wyczuwam niepewność, a w myślach niejasne wątpliwości. W gruncie rzeczy nie wiedzą, czy jeszcze są armią, czy już tylko niedobitkami dowodzonymi przez opętanych oficerów. Nie znają sensu tego wszystkiego, nie potrafią powiązać w całość tego, co widzieli.

Idą i myślą. Czuję ich strach.

Wchodzimy w las, mijamy liczne kopce ziemi. Usypane między drzewami, niewidoczne z daleka, dostrzegalne dopiero po przekroczeniu granicy drzew. Podnoszę głowę, by nie patrzeć na wspomnienia spoczywające na mchu obrastającym podłoże. Ślady butów na opadłych liściach, krzyk bólu zaczepiony o wystającą, obumarłą gałąź, krew rozcieńczona medycznymi specyfikami, którymi faszcerowali więźniów.

Zakonnicy uwalniają moje ramiona ze swoich niepewnych dłoni.

— Idźcie — mówię. — Ja zostanę wśród swoich.

— Mamy rozkaz, trzeba wykonać.

Dopiero teraz orientuję się, że ta dwójka to ci sami strażnicy, których spotkałem wcześniej podczas samowolnej wycieczki poza stację.

— Już nie musicie nikogo ani niczego pilnować — dodaję. — Idźcie, uciekajcie, obcy zjawią się niedługo. Są już blisko. Idźcie, ja zostanę wśród swoich.

Patrzą na mnie z wdzięcznością. Kiwiają głowami, pełni nadziei. Ktoś rozwiązał ich problem, podał receptę, wydał rozkaz. Mijają mnie bez poczucia zdrady.

— Zostawcie pistolet — rzucam za nimi. Odwracają się, zdziwieni. — Na wszelki wypadek.

Łysy wzrusza ramionami i wyjmuje z za pasa broń. Z ulgą kładzie ją na ziemi. Nie był prawdziwym żołnierzem – wyuczono go wojaczki, ale nie miał jej w sercu. Teraz w końcu wie, że znajdzie swoją drogę. Uśmiecham się do niego.

Po chwili zostaję sam wśród leśnych kurhanów.

* * *

— Jesteś — mówię.

Potakuje. Pikielhauba błyszczy w słońcu prześwitującym przez korony drzew.

— Zmieniono mi duszę — dodaję. — A podobno mamy tylko jedną, przez Boga nadaną. Na jej piersi wyryty złotymi literami wyrok – zbawienie lub potępienie. Który napis jest mój? Ten na duszy mordercy czy niewinnego dziecka?

Patrzy na mnie pustymi oczodołami. Nie ma oczu, lecz jednak widzi. Nie boję się, nie muszę. Już teraz wiem, że jest tylko strażnikiem, pilnuje zmarłych, dogląda śmierci. Był tu cały czas, to jego posterunek. Mój prywatny przewoźnik, towarzysz ostatniej podróży.

— Nie mam dla ciebie obola — płaczę. — Czy mimo to weźmiesz mnie ze sobą? Chcę przestać czuć. Chcę przestać pamiętać.

Stąpa krok po kroku, upiorny, coraz bliżej. Wyciąga dłoń długą jak cała wieczność. Po ojcowsku gładzi mój policzek. Jego mundur-habit, zdarta stara szata, powiewa na wietrze zagubionym między drzewami. Słyszę melodię setek dusz zakopanych w ziemi braci i sióstr. Ich ciała płoną z podniecenia, choć dawno stały się martwe. Ich umysły pracują na przekór planom konstruktorów, którzy myśleli, że tworzą bezrozumne maszyny.

— Jestem tylko nieudanym eksperymentem. — Łzy skapują na rozkładające się mięso. — Mam dwie dusze...

Gdyby miał oczy, zobaczyłbym w nich żal.

— Mam dwie dusze i obu nienawidzę! — krzyczę.

Twardymi dłońmi dotykam twarzy i rozrywam skórę. Krwi jest niewiele, rozorane policzki nie boją. Pod paznokciami mam tylko zgniłozółty, ohydnie plastyczny materiał. Wyję w niebo nieokreślonym wrzaskiem, tylko w połowie przypominającym krzyk istoty ludzkiej.

Coś ze mną zrobił, Boże? Na to skazałeś mnie przed urodzeniem? Czy po prostu zmieniłeś w trakcie swój plan?

Ale martwy strażnik milczy, on mi na to nie odpowie. Prawda jest tylko dla ludzi. Nie dla mnie.

Prawdy nie ma dla nikogo pochowanego tutaj.

Więc wyję. Wyję, bo jestem pustym śmiechem, drwiną z natury.

Odpowiada mi wycie ze wschodu.

— Tam! Tam! — krzyczy ktoś w głębi lasu.

„Przyjdą po ciebie”, powiedział mi chłopiec. „Są już blisko, najpierw ich usłyszysz, później zobaczysz. Wraz z nimi skończy się wszystko”.

— Biegiem! Biegiem!

„Przygotuj się”, powiedział chłopiec.

— Jesteśmy blisko, broń w dłonie!

Broń w dłonie.

Podnoszę z ziemi pistolet i przyglądam się lufie. Zdobiona czarnym orłem i herbem Wielkiego Mistrza. Prosty mechanizm, żelazo i proch.

Śmierć i płacz.

— Oddam ci duszę syna — mówię do martwego Prusaka. Jego głowa kiwa się na boki w niezrozumiałym transie. — Oddam ci duszę syna, a ty weź mnie tam, gdzie nie będę niczego pamiętał ani niczego czuł.

Wiarus kiwa głową i tuż za nim pojawia się Christian. Zdezorientowany, słaby jak trzcina na wietrze. Chwieje się, upada na kolana. Podaję mu dłoń i staram się uśmiechnąć przez łyżę. Wygląda tak, jak

go wyśniłem, jest taki, jakim go widziałem w lokomotywie w zwierciadle każdego poranka. Ma smukłe dłonie, czarne potargane włosy.

Patrzy otępiały, lecz zaraz jego twarz rozpromienia się. Wstaje.

Jest piękny.

— Twój los to cud — mówi swoim głosem, ale wyczuwam, że ktoś przez niego przemawia. Na dnię tych słów czai się światło. — Nie cierpiełeś na darmo. Teraz pójdz za nami, wraz z resztą pasażerów twojej kolei. Oni dzięki tobie tam są. Całe dni nasiąkałeś winami innych ludzi, by w nocy przespać każdy zły uczynek. U tuliłeś ich do snu, utuliłeś ich krzyk.

Oniemiały, schylam pokornie głowę i słyszę:

— Bóg nie jest z kamienia. Trzeba tylko znaleźć sposób, aby Go usłyszeć i zmienić to, co zaplanowaliśmy wbrew Jego woli. Chodź z nami, twój towarzysz z sąsiedniego pociągu już tam jest.

— Gdyby nie on...

— Dzięki niemu zechciałeś sam sobie pomóc. Opuść Karną kolej.

— Widzę go! Tam jest! — obcy krzyk dobiega zza jednego z kurhanów.

Widzę bojowe mundury, maskujące czapki i karabiny gotowe do strzału. Wschodniobałtowie.

A więc przyszli. I z nimi skończy się wszystko.

Wiarus się uśmiecha.

Christian rozpromienia się światłem.

Glinianą dłonią podnoszę pistolet do glinianej skroni.

Książka przygotowana dla zamówienia numer 1952 w
sklep.powergraph.pl

Rozdział IV

Tarot dla ułomnych

Beztroska twarz Sylvie patrzy na mnie z fotografii. Dziewczynka ma kręcone loczki, wesołe oczy i szczęście wypisane na twarzy. Dziecięca radość nadaje kolorów czarno-białemu zdjęciu oraz moim myślom, które nieustannie za nią błędzą. Chciałbym jej powiedzieć, że tęsknię, chciałbym podarować jej parę słów otuchy, ale to możliwe jedynie w wyobraźni. Tam wyciągam dłoń do jej rumianych policzków, do zadziornego noska, krągłego podbródka, do niesfornej grzywki, której nigdy nie mogłem okiełznać.

Boję się kłaść karty na stół, by zobaczyć jej przyszłość. Boję się, że nie zobaczę nic.

Wtedy zabiłbym się od razu. Nie czekałbym na śmierć w mieście wymierającym stopniowo, lecz nieubłaganie. Jednak chcę żyć, by zamiast fotografii, marnej namiastki człowieka, ścisnąć prawdziwą Sylvie.

Kładę głowę na poduszce i pozwalam się otulić mrocznym snom, które nawiedzają mnie ostatnimi czasy.

W nich moja córka pyta:

— Jesteś bez winy, tato?

* * *

Sterowiec WBA „Falkon” wznosi się nad miastem. Ogromny, przesłaniający słońce owalny kształt, który przypomina cygaro – oto duma

najeźdźców. Patrząc w niebo na tego latającego potwora, ma się wrażenie, że ktoś wykradł jego plany z naszych pracowni. W końcu nie tak dawno temu pruski minister w rządzie cesarza Fryderyka – Ferdinand Graf von Zeppelin – grzmiał z Berlina, że prace nad nowym typem aerostatu są w zaawansowanej fazie.

Parada wojsk, tak doskonale widoczna z mojego okna, musi być dla jego załogi ledwie plamą czerni na tle szarości ulic i czerwieni okolicznych budynków. Żaden z lotników nie może zobaczyć jakichkolwiek twarzy. A wszystkie wykrzywione są w bezrozumnej dumie. Te ich głowy uniesione wysoko, na znak triumfu, te mocne prymitywną siłą ramiona niosące karabiny... Sylwetki wojaków oświetlone gazowymi latarniami Allenstein – wszystko to zlepia się w jedną bezkształtną masę.

Otoczyli nasze Festung szczelnym kordonem, z którego nikt się nie wyrwie. Nikt też nie ma szans przedostać się do środka. Może tylko szpieg czy zdrajca z żelaznym glejtem – dawniej oficerowie Armii Zakonnej, dziś tyrani w strukturach Wschodniobałtów. Łatwo ich rozpoznać – wstyd wyrył na ich obliczach srogi piętno, żaden to bowiem honor zaprzedać wolność za życie.

Jest nas tutaj kilkadziesiąt tysięcy. Kobiety, dzieci, mężczyźni, biedota i bogacze – wszyscy żyjemy z dnia na dzień, czerpiąc siły z wypalającej się powoli nadziei na to, że niedługo przyjdą nasi. By zrobić porządek. Czekamy na odsiecz. Czekamy biernie, bo nie ma sił na nic innego.

Nowy zarząd wziął twierdzę w swoje łapy i od razu nastąpiły zmiany. Już pierwszego dnia po bitwie o Kortau radio zatrzeszczało obcym językiem. Od tamtej pory wszystkie audycje są nadawane najpierw po bałtycku, a potem po niemiecku. Zniknęły wieści z frontu, nie wiadomo, gdzie teraz toczą się walki i z jakim skutkiem. Jedyną pozostała prasa, czyli „Gazeta Olsztyńska”, stała się propagandówką najeźdźców.

Wprowadzono godzinę policyjną, a na ulice wyległy patrole. Pruscy żandarmi nagle stali się barbarzyńskimi żołdatami. Ich rolą jest zaganianie

do domów, szukanie spisków i intryg. Flaga z jednogłowym czarnym orłem i z niebieską wstęgą wijącą się pod nogami litewskiej Pogoni, łopocąca na zamku kapituły warmińskiej, patrzy na nich z góry. Tak właśnie – patrzy; zerka i pilnuje, by pamiętali o swoich nowych obowiązkach.

Odwracam wzrok i sięgam po fajkę. Wrzoścówka wyciągnięta z ostatniej paczki dla cywili zrzuconej przez pruskie balony. Wraz z nią dobry, delikatnie słodki tytoń w płatkach – jedyne, co nie zainteresowało innych zgromadzonych nad znaleziskiem w dniu bitwy. Jedzenie, broń i amunicję przebrano, zanim zdążyłem rzucić okiem na zawartość zrzutu.

Jedzenia brakuje już od dawna, tak samo jak wody pitnej. Zmyślni czerpią ją z Alle, a potem gotują dwa razy, jednak sporo ryzykują. Nawet ci mieszkający nad rzeką nie mogą się zbliżyć do niej bez obaw, gdyż cały czas krążą patrole. Złapani rozstrzeliwani są na miejscu. Dwujęzyczna nota, przybita masywnymi gwoździami do pni drzew, informuje o zakazie czerpania wody. Rzekomym powodem ma być zaraza. Psia krew wie, może i jakaś jest? Może te bałtyckie psy przyniosły ją z Friedlandu czy też z Prawdinska, jak go teraz nazwali.

Właśnie zaraza jest powodem, dla którego wojska najeźdźców zatrzymały się tutaj i nie poszły dalej. Gdy na miasto spadła wieść, że Wschodniobałtowie zapadają na przedziwną chorobę, przez co ich dalszy pochód opóźnia się, niektórzy otwierali już najlepsze wina ukryte w najciemniejszych skrytkach piwnic. W ludzi wstąpił nowy duch – być może starczy czasu, by podnieść się do walki. Mówiono o nadchodzącej odsieczy, a wielu spośród moich przyjaciół dało się ponieść euforii. Odtrąbiono rychły koniec wojny lub przynajmniej wyzwolenie Allenstein. Niektórzy nie czekali na Zakonników, postanowili sami chwycić za broń, licząc na zaskoczenie najeźdźców i spontaniczną reakcję mieszkańców. Ich bunt został zdławiony szybciej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Umierali bezsensowną śmiercią.

— To... straszne — szepcze staruszka siedząca naprzeciwko. Jej krzaczaste brwi uniesione do góry marszczą czoło. Przez środek policzka biegnie głęboka bruzda, a oczy są jak dwa węgle. — Znowu maszerują...

— Napawają się zwycięstwem, *Frau Amterstern* — odpowiadam. — Chcą, żeby ich podziwiać, psy.

Kobieta odwraca twarz w moją stronę. W jej spojrzeniu wyczytuję żal oraz rezygnację, choć głos mówi co innego:

— Nie możesz ich winić, Klaus. To tylko wojacy. Wypełniają rozkazy, tak samo jak nasi.

— Mówi tak pani, jakby nie zabrali pani syna — ripostuję. — Heinrich powinien wrócić dwa miesiące temu, najpewniej zabili go i wrzucili do jeziora, tak jak się wrzuca padłe bydło.

Jej oblicze nie zmienia się, kobieta ma w sobie twardość, jakby zamiast serca w piersi bił jej diament, a w żyłach pulsowała płynna stal. Wiem, co mówię, znam ją od tyłu już lat.

— Unosisz się zupełnie niepotrzebnie. Jeśli Heinricha już nie ma, nie ma nad kim płakać. Jeśli zaś jest, twoje klątwy mogą go tylko wpędzić do grobu.

— Zawsze podziwiałem pani opanowanie, *Frau Amterstern*, jednak ta armia nie ma żadnych wzorców moralnych. Jeśli dopadli pani syna, już po nim, niech będzie pani pewna, dla nich to żaden kłopot zabić czy też pogwałcić wszelkie świętości. Myli się pani, stawiając ich razem z Armią Zakonną. Zakonnicy mają kodeks, zbiór praw nadany przez Boga.

— A jednak właśnie to wojsko porzuciło cię na polu bitwy nie tak dawno temu...

Milczę. Zawsze potrafiła trafić w samo sedno. To po niej Heinrich odziedziczył siłę woli i rzeczowość, a także potężną ambicję, która pchała go w największe tarapaty. A on, tak jak jego matka, przyjmował to dzielnie, bez mrugnięcia okiem.

— Dziwię się, że nie chce się pani dowiedzieć czegoś o synu — zmieniam temat, starając się, z nikłym skutkiem, zamaskować wstyd i rozczarowanie powracające zawsze, ilekroć przypominam sobie tamten czas. — Mógłbym wyciągnąć karty...

— Mógłbyś, mógłbyś — odpowiada z irytacją. — Tylko po co? Co mi to da? Gdyby żył, dałby już dawno jakiś znak. Nie potrzeba mi twojego tarota, bym poznała prawdę. Serce matki wie wszystko. A tak pozostają mi przynajmniej złudzenia. Czasem warto mieć próżną nadzieję.

Dolewam herbaty z imbryka i nie mówię nic więcej. Siedzimy i z niemym poczuciem krzywdy obserwujemy przemarsz zaborców.

* * *

Sylvie – moja mała, gdzie jesteś?

Sylvie jest pamiątką z czasów, kiedy byłem na dnie. Pojawiła się, gdy moim towarzystwem stały się popiół i zaschnięta krew. Każdy dzień przybliżał mnie do śmierci, więc w beznadziejnej nadziei patrzyłem na jutro – czy przyniesie upragniony spokój.

Tymczasem los sprawił, że oderwałem się od śmierci tak samo, jak niegdyś urwałem się życiu. Mała istota, którą znalazłem w piwnicy na pół spalonego domu – jednego z tych, które zostawialiśmy za sobą w marszu na Rygę, dziesięć lat temu. Spoczywała w ramionach zmarłej matki, kwiląca, wtulona w jej zimną pierś. Nie mogła zrozumieć niczego, była niemowlęciem, zawiniętym w zabrudzony krwią i sadzą becik, cudem ocalonym z pożogi.

Wziąłem ją na ręce i w tej samej chwili zrozumiałem, że jest moja. Jej małe dłonie wyciągnęły się ku mnie, a kiedy ją przytuliłem, z czerwonych ust wydobył się jęk zachwytu. Gdyby nie ta dziwna, niepojęta radość dziecka, nie zabrałbym jej ze sobą.

* * *

Pukają do drzwi, na szczęście nie moich. Stoją przed wejściem kamienicy naprzeciwko. Jest ich kilkunastu, każdy z prymitywnym karabinem na plecach i strzałkowcem u boku. Wrzeszczą, żeby im otworzono. Są wściekli i zdeterminowani. Jest środek nocy. Zawsze przychodzą o tej porze, kiedy wszyscy już zasypiają. Wtedy nie ma się siły myśleć, nie ma się odwagi działać.

Drzwi są mocne, ale kiedy przestrzelą zamek, wedrą się bez kłopotu, a wtedy może być tylko gorzej. Lepiej otworzyć, mówię sobie w duchu, lepiej otworzyć, może wtedy komuś odpuszczą. Zniszczą meble, porzucą ubrania, może strzelą w dłoń bądź połamią palce, ale nie zabiją. Nawet barbarzyńcy by tak przecież nie mogli.

Na piątym piętrze zapala się świeca. To Hermann Hadich – lekarz, w połowie Węgier, który przybył tu za miłością swego życia, a dziś żoną, Hilde. Mówi coś do niej, pokazuje podłogę, a ona zrywa się z łóżka i gdzieś biegnie. Dwa okna obok, w sąsiednim mieszkaniu, dzieci państwa Juntów podglądają żołdatów zgromadzonych na dole. Jeden z chłopców z zaciekawieniem pokazuje furgon Wschodniobałtów – stary opancerzony powóz, do którego ktoś dołożył silnik turbinowy, zapewne zabrany z zakładu Kanta. Tymczasem *Herr* Hermann schodzi niżej, krzycząc „Chwilę”.

Hilde Hadich znowu pojawia się w sypialni. Ściska coś w garści – biały pakunek, spory. Kładzie go na sekretarzyku męża, tuż pod oknem, a sama dopada podłogi i we wskazanym wcześniej miejscu próbuje podważyć deski. Mężczyzna tymczasem pojawia się na dole, u drzwi.

— *Aufsperrren! Polizei!* — krzyczy żołdak koślawym niemieckim. Jego dłoń błądzi przy kaburze.

— Co się... — zaczyna Hermann, otwierając, jednak głos zaraz milknie. Pada na schody, pchnięty przez drzwi, które kopnął żołdat.

Dom stoi przed nimi otworem.

Wchodzą szybko, sprawnie. Mają to wyćwiczone. Są gotowi do walki w razie potrzeby. Tu jednak nie czeka ich opór.

— Idzie pan z nami, *Herr* Hadich — pada rozkaz. — Jest pan potrzebny w naszym obozie.

— A... — przerażony medyk nie potrafi znaleźć słów. W końcu jednak kończy. — Ale moja żona...

Twoja żona, sąsiedzie, właśnie się mocuje z deską. Już ją podważyła, teraz wyjmuje. Kładzie obok tak szybko, jak się da. Z natury leniwa, powolna, teraz jakby poparzyła się ukropem.

— Idzie z nami — nakazuje żołdat, po czym popycha gospodarza w stronę zgromadzonych na zewnątrz podwładnych.

Hilde mocuje się z pakunkiem, który nie mieści się do skrytki. Zastanawiam się, cóż to może być tak ważnego? Pieniądze? Tajne listy? Wieści od dzieci zamordowanych jakiś czas temu na froncie?

Żołnierze wchodzą po schodach. Pierwszy z nich niesie świecę Hermanna – cudem nie zgasła, kiedy mężczyzna upadł. Są już na półpiętrze...

Przeklęta paczka! Hilde! Psia mać, kobieto! Mocniej! Pchaj!

Już są u drzwi sypialni. Zamykam oczy, ale spod powiek nie chce zniknąć widok nadchodzącej tragedii. Zastaną ją pochyloną nad skrytką, upychającą z całych sił coś, co jest po prostu za wielkie na to, by dało się ukryć. Strzelą jej w głowę... Albo zrobią jeszcze coś gorszego.

Otwieram oczy – już tam są, już krzyczą. Wyciągają broń, ale ona dalej szarpie się z cholernym pakunkiem! Patrzy na nich bezradnie. Paznokcie zdarła do krwi, w kolanach utkwily drzazgi.

A on wyczuwa, że coś jest nie tak – patrzy w górę. Dostrzega przestraszone spojrzenie malców Juntów, spogląda w swoje okna, ale jeden z żołdaków popycha go do otwartego furgonu.

Wschodniobałtowie wyrywają zawiniątko z rąk przerażonej kobiety. Rozrywają materiał, a listy, papiery, banknoty, oszczędności życia, chowane na czarną godzinę gdzieś w kuchni, w puszkach na przyprawy, rozsypują się. Leżą teraz na podłodze, a dwóch żołnierzy bierze Hilde pod ramiona. Prowadzą ją do okna. Trzeci zatrzymuje ich na chwilę – to dowódca, teraz widać go lepiej – by dać kobiecie w twarz.

I Hilde Hadich, ukochana żona swojego męża, lekarza, pół-Węgra – Hermanna Hadicha – roztrzaskuje się na bruku ulicy, tuż u stóp swojej miłości.

Żołnierze wybuchają śmiechem.

Dzieci chowają się za firanką.

Hermann upada na kolana – martwy za życia.

* * *

Jej piękna dziesięcioletnia twarzyczka oblepiona jest gliną, a każdej następnej nocy jest jej coraz więcej. Z każdym kolejnym snem otacza Sylvie coraz ciaśniej. Rozciąga i lepka materia – prawie jak pajęczyna, tylko mocniejsza, trwalsza, bardziej obca...

Usta dziewczynki – już nie tak czerwone jak kiedyś – rozchylają się i wydobywa się z nich pytanie:

— Jesteś bez winy, tato?

A zaraz potem:

— Tato, dlaczego mnie im oddałeś?

Odesłałem ją z Allenstein, gdy wiadomo już było, że Wschodniobałtowie nie zatrzymają się przed murami miasta, ale wkroczą i je zniszczą. Nie mogłem ryzykować. Ruszały transporty. Parostatki przyływały do małego portu w Alle, wysypując ludzi z różnych zakątków kraju. Miasto stało się punktem ewakuacyjnym. Musiałem posłać ją wraz z innymi dziećmi, na zachód, do Berlina. Pojechała z nianią, poczciwą starą

Franką – Polką z urodzenia, adoptowaną przez solidną pruską rodzinę. Dałem im pieniądze, wszystkie moje oszczędności, dałem pakunek z jedzeniem oraz słowa otuchy:

— Będzie dobrze. Zaczekacie na mnie w Berlinie. Ja nie mogę jechać, muszę zostać i bronić tego, co zostało.

Czy postąpiłem słusznie?

Zostałem dlatego, że wzywała mnie Ona. Wołała mnie, chcąc powiedzieć coś ważnego. I do Niej muszę pójść po radę...

* * *

Wyrocznia mieści się niedaleko, w piwnicy, która pamięta nielegalny interes – dom gry. Krąży tu wciąż widmo utraconych pieniędzy, w chmurach dymu puszcanych z fajek pobratymców, gromadzi się rozczarowanie przegranych i euforia zwycięzców. Razu pewnego rozegrano tutaj nawet mecz szachowy między człowiekiem a maszyną.

Idealne miejsce dla Wyroczni.

Pamiętam jak dziś karty tarota rozłożone na stole. To tam uczyłem się tajemnej sztuki czytania znaków. Magini, wieszczka o setce imion (a żadnym prawdziwym), tasując po raz kolejny talię, uchylała rąbka tajemnicy znaczeń. Dni mijały mi na nauce, na zgłębianiu własnego losu. Każdy tarocista musi poznać swoją przyszłość. Dostępne jest mu to tylko raz w życiu. Potem widzi się już tylko los innych. Jednak prawda nigdy nie jest dana wprost.

Ja dowiedziałem się, że moje życie wypełni ból i zwątpienie, a także cień, w którym będę musiał się kryć albo który sam będzie mnie skrywał. Przed kim? Przed czym? Nie wiem. Tarot, ujawniając nadchodzący los, nie daje nam tak naprawdę żadnych odpowiedzi. On raczej stawia pytania. Każde z nich, prędzej czy później, poprowadzi nas dalej.

Przekraczając próg tego domu, spoglądam za siebie, czy na pewno nikt nie zwrócił na mnie uwagi. To ważne, aby utrzymać istnienie Wyroczeni w tajemnicy. Tym bardziej teraz, gdy barbarzyńcy chodzą po naszych ulicach.

Grzegorz, mocno zbudowany, lecz przygarbiony sługa, rygluje za mną zamki. Jego polskie pochodzenie rzuca się w oczy – brązowe oczy, jasne włosy i tępota na twarzy. Bitny z niego chłop. Widziałem raz, jak rozprawił się z równie wysokim i barczystym mężczyzną, jednym z tych, których nie chce się spotkać w ciemnym zaułku. W tym Polaku drzemie niebywała siła.

Mijamy salę gier, by wkroczyć w podpiwniczne pomieszczenia, wydrążone tu jeszcze za czasów, gdy Jagiellonowie swobodnie przemierzali ulice miasta. Niegdyś zapewne były miejscem spotkań jednej z łódz wolnomularskich. Nie ma jednak co do tego pewności, przeszłość wydrążonych w ziemi i skale korytarzy nadal pozostaje tajemnicą.

Gdy wchodzimy do pierwszej izby, widzę ją. U niej pobierałem nauki.

— Witaj Klaus, miło cię znowu widzieć — mówi ochrypłym głosem.

— Samanto. — Pochylam głowę.

— Przyszedłeś po następny pakunek?

— W istocie. Chyba już pora na wieści, prawda?

— Uhm... — mruczy chrapliwie, zamyślając się nad kartką papieru. Spoglądam jej przez ramię. Spisuje coś, jednak nie potrafię dostrzec cóż to takiego.

Rozglądam się, czy coś się zmieniło. Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda tak samo, jak kilka miesięcy temu. Te same retorty i słoiki na ścianach – pozostałości po ślepej uliczce nauki, alchemii. Kotły z parującymi wywarami, magiczne księgi – cuda na kiju, pozory pozorów. Prawdziwe czary to paromaty, pociągi – mechaniczne twory, w których zagnieździła się myśl. Ona wie o tym. Dawno już porzuciła żalosne zabawy. Aparaturę trzyma na pamiętkę.

— Wyrocznia ciebie nie wzywała — zaczyna starucha. — Nie wiem, czy powie ci cokolwiek.

— Wszystkim mówi, a mnie miałyby pominąć? — pryham.

— Nie wiem. W końcu reszta naszych wychowanków dalej jest wierna swojemu powołaniu. Nie zmienili się tak jak ty.

— Daruj mi, Samanto. Nie chcę do tego wracać — wypowiadam spokojnie, by oddalić od siebie groźbę zbliżającej się kłótni, jednak po chwili gniew bierze górę. — Brzmisz pretensjonalnie.

— A jednak ciągle wracasz.

— Ot, taki ze mnie syn marnotrawny.

— Buta kiedyś cię zgubi.

— I tak nie dożyjesz tej chwili.

Odkłada pióro do kałamarza. Powoli, z widocznym trudem, podnosi się z głębokiego fotela. Grzegorz chwytą ją pod ramię i ruszamy wąskim korytarzem, w którym ledwo mieści się jej grube ciało przytrzymywane przez strażnika. Idę za nimi, a w mojej głowie coraz głośniejsz rozbrzmiewa muzyka. Magini też to słyszy, stopniowo porywa nas euforia – zbliżamy się do celu.

W prawo i w lewo prowadzą odnogi korytarza, nie wiem, dokąd wiodą, nigdy nie dane mi było sprawdzić. Podejrzewam, że kończą się gdzieś daleko stąd, nawet poza miastem. Być może to tunele ewakuacyjne. Zdarza się, że z sufitu spadnie tam kamień, posypie się pył, na ziemi leży gruz, wydrążone w ziemi, niepodtrzymywane żadnymi palami – są nieużywane od wieków. Strach w ich ciemności zatopić nawet wzrok.

Dochodzimy do solidnych drzwi zaryglowanych na siedem kłódek. Wryty na nich symbole o niewiadomym pochodzeniu i znaczeniu. Tajemne zaklęcia, strzegące wejścia – dreszcz przebiega mi przez plecy. Boję się Wyroczni.

Dźwięki wygrywane w moim umyśle brzmią coraz mocniej i pewniej. Wcześniej lekko tylko zarysowane, teraz donośniejsze, dookreślone, jednak jeszcze niepełne. Muzyka zdradzająca przyszłość, takt nadchodzących dni – opętańcze, mechaniczne odgłosy i piski przemieszane ze słodyczą podobną do tej, jaka płynie z lutni czy ze skrzypiec. Fortepianowa dostojność, potęga bębnow, krzyki duchów... Jest w tym wszystko i nic zarazem. Treść nieobleczona jeszcze w formę. Dzieło dokona się dopiero tam, za drzwiami.

— Znasz zasady — szepcze magini. — Jeśli nie chcesz pamiętać, nie spisuj niczego.

— Ktoś kiedykolwiek odważył się nie zapisywać?

Odwraca się, jej spojrzenie ucieka. Zastanawiam się, jak brzmi jej muzyka. Ta, którą słyszy tylko ona. Musi być piękna i obezwładniająca. Wolną dłonią (jedną przytrzymuje się Polaka) szuka kluczy przy pasie cekinowej sukienki.

— Wielu — odpowiada w końcu. — Czasem lepiej jest żyć w niewiedzy.

Otwiera wszystkie zamki, a ja przechodzę przez drzwi.

Pomieszczenie wygląda na zwykłą jaskinię. Nieregularny kształt, kilka ledwie ociosanych kamieni – jakby ktoś zaczął formować ściany, ale porzucił swą pracę tuż po jej rozpoczęciu. Tak jest lepiej. Tak wygląda mroczniej, ciężiej. Łuczywem szybko zapalam pierwszą z brzegu lampę, zanim zamkną się za mną drzwi. Już po tym słyszę wdzięczne westchnienie staruszki i uspokajający głos Grzegorza. Ich powolne kroki pomagają mi się skupić. Leniwe, wątłe światło wyostrza tajemnicę Wyroczni, nie odsłaniając jej ani trochę. Sens tego miejsca dalej pozostaje ukryty w mroku.

Odmawiam krótką modlitwę i posypuję głowę popiołem zgromadzonym pod skalnym podwyższeniem, na którym stoi gramofon. Ku pamięci i przestrodze – *memento mori*.

Gramofon – tylko gramofon. A z niego muzyka.

Wstaję z klęczek i nastawiam płytę. Dźwięk, rozedrgany w dusznym powietrzu, zapala wszystko wokół.

Czuję. Słyszę. Widzę.

Znowu widzę...

Glina. Wszędzie tylko glina. Nie ma śladu po Sylvie – jakby nigdy nikogo tam nie było.

Stoję i wołam ją po imieniu, jednak zaraz zapominam, jak się zowie. Moje własne imię także tonie w mroku, który otacza to miejsce. To musi być kołyska ciemności – tu z nieprzejrzanym odmetów czerni rodzą się cienie.

Chata. Gliniana chata – poruszająca się niczym zwierzę, sprawny organizm drapieżnika, przyczajona i wpatrzona we mnie, zahipnotyzowana moją obecnością. Kołysze się w rytm mojego serca, z każdym oddechem jest bliżej, coraz bliżej, aż wreszcie zatrzymuje się tuż przede mną i otwiera gliniane drzwi.

W środku jest pusto – żadnych sprzętów, jedynie ciemne korytarze skręcające w rozmaitych kierunkach oraz schody pnące się w górę pod niebywałym kątem. Dom zdaje się rozrastać z każdym moim krokiem. Boję się obejrzeć za siebie, czy aby nie zamknęły się wrota, czy glina nie spoiła się ze sobą, zamykając jedyne wyjście.

Nagle dom grzmi głęboko i... upadam w mrok, ciemność na zewnątrz jest ciepła, przyjemnie odmienna niż chłód wnętrza chaty. Obok stoją postacie, w których ledwo rozpoznaję wszystkich, których kiedyś znałem. Jest wśród nich i Sylvie – krzywi się w glinianym uśmiechu. Jest potężniejsza niż wtedy, gdy widziałem ją po raz ostatni – ciało osłoniła glinianym pancerzem, zbroją chroniącą przed światem. Wiem, że cierpi, jednak jest w tym bólu niebywały spokój, jakby pogodziła się ze wszystkim, jakby zrozumiała.

I wtedy spadam znów, na spękaną ziemię, pooraną bliznami po wybuchach i pożarach. Wokół płonie ogień – to miasta i wsie, zniszczone, dogorywają. A wraz z nimi ludzie, których przed chwilą widziałem.

Z chaty unosi się zaś pusty, gliniany śmiech.

Budzę się, spocony, moja dłoń wędruje do igły gramofonowej. Seans dobiegł końca.

* * *

W innym śnie cofam się do przeszłości. Mam dwadzieścia pięć lat i służę w armii. Widzę siebie z lotu ptaka, ubrany jestem w pokutną szatę cywila – nie pozwolono mi nosić munduru-habitu, nie mam broni. Trzymam tylko szary worek, w którym pomieściłem całe swoje życie – małe i nieważne.

Jestem jednym z tych, których obecność jest ledwo akceptowana przez żołnierzy, a jednak jestem tu niezbędny.

Przepowiadam przyszłość. Wróżę z kart.

Nazywają mnie roznosicielem śmierci – zabobonni idioci. Sплюwają na mój widok i nawet nie śmia się odezwać, gdy stoję obok. Nikt nie chce wędrować u mego boku, łaskawie pozwolono mi kroczyć wraz z wozami konnymi, niosącymi broń i prowiant. Nawet woźnica trzyma się najdalej jak to możliwe.

Jednak wiedza wyczytana z kart nie pozwala mi odejść – mam kroczyć ścieżką na wschód, aż znajdę swój kawałek gliny, tak powiedział tarot.

Chwilę potem sen rzuca mnie do miasta, w którym czeka na nas kolejna rzeź. Bogobojna Armia Zakonna wyrzyna niewiernych, nauczając ich miłości do Chrystusa. W szybkich cięciach mieczy świszczą święte słowa, w pchnięciach noży zbawienne modlitwy, w miażdżących ciosach bojowych młotów rozbrzmiewa rozgrzeszenie. Chrzest miesza się z ostatnim namaszczeniem.

I właśnie w jednej z tych chwil – przemijającej z szybkością godną najbystrzejszych aniołów – jeden z wiarusów dźga mnie pod żebra. Patrę z niedowierzaniem w jego oczy, ale nie znajduję w nich ani odpowiedzi, ani zrozumienia. Jakiś niedobitek rzuca kamień tak, że rozłupuje mu czaszkę. Prusak pada martwy, przykrywając mnie własnym ciałem.

Nie ma już płonących domów, nie ma nawet dymu, który świadczyłby o niedawnej rzezi. Przypominam sobie tarotową wróżbę – kroczyć będziesz wśród śmierci, która iść będzie wszędzie za tobą, a ty zaśniesz i zbudzisz się, widząc, że przeminęła.

Oslabiony, wydostaję się spod zimnych, zastygłych ramion zbrodniarza ubranego w szaty duchownego i pełnę do najbliższego domostwa. I tam właśnie znajduję moje dziecko. Moją Sylvie.

— Jesteś bez winy, tato? — pytanie wydobywa się z jej niemowlęcych ust.

W moim śnie pachnie gliną.

* * *

Wychodzę. Nie mogę już znieść bezustannego miotania się pośród sprzętów, pośród szarych ścian. Nie chcę dłużej patrzeć w okno, biernie chłonąc obłęd. Nie otworzę przed nim ramion, nie przyjmę go. Jeśli moje sny przybliżają mnie do czegoś, to do utraty zmysłów. Nie będę spał. Muszę mieć świeży umysł, wolny od szaleńczych wizji.

Nie pierwszy raz żałuję, że poznałem tarota. To wiedza o niczym – nie można ujrzeć jasnej przyszłości, dostrzega się tylko zamglone pytania bez odpowiedzi. Dowiadujemy się zaledwie o swojej niewiedzy. To jak poszukiwanie przyszłości pośród szczątków dawno umarłej przeszłości – grzebanie w kościach historii z nadzieją na znalezienie śladu przepowiedni. Tymczasem to wszystko pułapka – pośród szkieletów minionych dni błąka się jedynie niejasne przeczucie tego, co nadejdzie. Nigdy nie można mieć

pewności, czy to, co odnalezione, jest prawdziwe, czy to tylko jedna wielka mistyfikacja.

Buty zatapiają się w glinie. Gdzie się podział bruk? Pruskie ulice pogrążają się w jasnobrązowej brei, widocznej nawet w skąym świetle latarni ulicznych. Jakiś paromat przy katedrze ledwo dyszy, uwalniając z mechanicznych trzewi ostatnie kłębki życiodajnej pary. Nie może się poruszyć – glina uwięziła go, zalepiła koła zębate i trybiki, wypełniła żyły aluminiowych rurek tak, że zamknęła dopływ pary do stóp maszyny. Widać, że włókł się kilkanaście metrów do miejsca, w którym musiał skapitulować, metalowe kończyny wyżłobiły ostry ślad w podłożu.

Rozglądam się – fundamenty kamienic oblepione gliną, z nieba pada deszcz, jednak zmęczone z niewyspania i rozpaczy oczy wypatrują jej grudek zamiast kropel wody. Właściwie nie wiem, kiedy świat opanowała glina. Umknęło mi to.

Czuję, jakbym się przebudził, ale podświadomość szepce, że dopiero zasnąłem... Od szaleństwa ponoć nie ma ucieczki – tak mówił Heinrich.

Kiedy mijam kamienicę, pod którą ukryta jest Wyrocznia, odwracam pełen żalu wzrok i uciszam obwiniające Ją myśli. Takie rozważania nie prowadzą do niczego. Muszę być rzeczowy i szukać wyjścia z tego impasu.

Odkąd patrol Wschodniobałtów rozprawił się z Hadichami, nie mam dostępu do telegrafu. W ich domu był ostatni, o którym wiedziałem. Resztę albo zniszczono z obawy przed najeźdźcami, albo zaborcy wykryli punkty telegrafistów i zlikwidowali je, by odciąć miasto od świata.

Nie wiem, czemu wzięli Hermanna. Czemu właśnie jego? Czy po prostu potrzebowali lekarza, czy chodziło o coś innego? Bitwa pod Kortau podobno nie zabrała wielu Wschodniobałtów. Plotki mówią, że ci barbarzyńcy także nie zwykli zostawiać rannych. Raczej dobijają ich w jakimś niezrozumiałym akcie łaski. Nie wiem jednak, czy wierzyć tym pogłoskom. Może chodzi o wydobycie treści komunikatów

telegraficznych? Czy więc głównym powodem nalotu na dom Hadichów były informacje o planach wywrotowych?

Wszędzie węższą szpiedzy, więc nie sposób wejść i sprawdzić. Zresztą i tak pewnie dom gruntownie przeszukano, a sprzęt skonfiskowano. Ostatnie, co nadałem do Sylvie i Franki, to raptem krótka notka, że ze mną wszystko w porządku i że tęsknię. Błahe słowa, które w takich chwilach wydają się ważne, lecz tak naprawdę są bez wartości.

Nie wiem, gdzie jest moje dziecko...

Zbliżam się do zachodnich granic miasta – niebezpiecznie blisko nocnych patroli policji i żandarmów. Kilkadziesiąt kroków stąd, na wzniesieniu, jest stacja kolejowa z bezpośrednim połączeniem do Festung Neidenberg. Tam, pancerną koleją udała się moja córka. Pod opieką wiekowego Prusaka w stopniu *Oberstleutnanta*, Johanna Tagenkopfa, pod osłoną nocy, wyruszyła wraz z innymi uciekinierami. Ponad miesiąc temu mały dworzec tętnił życiem, powietrze elektryzowały strach i nadzieja, że na zachodzie, w Berlinie, będzie można odnaleźć spokojną kryjówkę przed inwazją. Pociąg miał się udać do Neidenbergu, by zabrać z lochów twierdzy pacjentów i ważnych więźniów, a potem ruszyć prosto do stolicy cesarstwa. Odjechały tylko kobiety i dzieci, mężczyzn zaś pozostawiono, by zatrzymali pochód dzikusów.

Chciałbym być teraz z córeczką i obiecywać jej, że wszystko będzie dobrze.

Chowam się w mrocznym zaułku, czekając, aż przejdzie policyjny patrol. Trzech mundurowych, z przyszytymi na rękawach opaskami z pruską flagą i czarnym orłem. Kilkanaście metrów za nimi – trzech Wschodniobałtów – czujnych, lecz ślepych. Policja policji, pilnująca porządku w innym porządku. Mijają mnie, obojętni na mój pot i strach, który jest wyczuwalny nawet dla mnie. Jakiś kot ubrudzony gliną miauczy przeciągle, jakby chciał zdradzić im, gdzie jestem.

Kiedy znikają za winklem, wychodzę z ukrycia i pospiesznym krokiem oddalam się. W kilka minut docieram do południowych granic Starego Miasta. Moje płuca wreszcie mogą odetchnąć pełną piersią. Zanoszę się kaszlem, kwaśne krople deszczu wpadają do ust, nikłe echo roznosi się po głównej uliczce.

Powinienem iść dalej. Jest późno – zbyt późno na dalsze nieodpowiedzialne wycieczki. Zegar na wieży ratuszowej, dwa kilometry na północ stąd, wybija dwunastą. Godzina policyjna już dawno minęła.

Przechylam się przez barierkę mostu nad Alle, oddech wyrównuje się. Mokra od potu koszula lepi się do pleców, czuję jej chłód kontrastujący z ciepłem ciała. Przed oczyma wirują mroczki, a słabość paraliżuje nogi.

W dole rzeka płynie niespokojnie, jak gdyby dławiła się wodą. Silne fale tłuką o ceglane, sztucznie utworzone koryto. Słyszę dźwięk, jak gdyby ktoś wpadł do zdradliwej Alle i nie potrafił wypłynąć.

I widzę ciało bezradnie młócające rękoma pomarszczone zwierciadło rzeki. Zapominając o osłabieniu, zbiegam ku wodzie, po czym rzucam się na pomoc.

Woda jest lodowata, co ostatecznie mnie otrzeźwia. Nurkuję, ale nie mogąc nic zobaczyć w nieskazitelnej ciemności, wynurzam się i płynąc wraz z prądem, obserwuję. Z początku nie dostrzegam nikogo, ale po kilku chwilach do moich uszu dochodzi spazmatyczny kaszel i świst raptownie wciągniętego powietrza. Jest blisko, myślę i czym prędzej podpływam w tamtą stronę.

I oto jest. Podtopiony przez rzekę, coraz słabiej rzucający się w nurcie. Gdy otaczam go ramieniem, drugą ręką próbując wiosłować do brzegu, wyczuwam jego stalowe mięśnie, które i bez napinania budzą mój podziw. Alle faluje coraz groźniej, trudno stawić jej opór. Jednak Bóg czuwa nade mną, w dziwny sposób znajduję siły, a im bliżej, tym łatwiej.

— Jeszcze trochę, już tylko kawałek! — staram się przekrzyczeć rzekę i uspokoić niedoszłego topielca. Jest bierny, skostniały w moich objęciach.

Wreszcie dobijamy do celu. Wyciągam go na mulisty brzeg i wykończony, padam na ziemię. Pali mnie całe ciało, mroczki znów pojawiają się przed oczami.

Myśli biegną w niesłychanym tempie – czy ktoś to widział? Czy zbliża się jakiś patrol? Czy zdołam uciec z topielcem na plecach? Czy ktoś pójdzie moimi śladami, prosto do kamienicy? Czy zawiadomi żandarmów?

Podczołguję się, jeszcze zmęczony, ale już silniejszy, do ciała leżącego w bezruchu. Twarz mężczyzny – bo co do tego, że jest to mężczyzna, jestem przekonany – skrywa mokry kaptur, ale z pagonów na ramieniu wnoszę, że to ktoś z nich, najeźdźców. Przez chwilę mam do siebie pretensję, że uratowałem oprawcę, ale odrzucam tę myśl.

Odsuwam mokry materiał z oblicza nieznajomego i cofam się, przerażony. Jego skóra jest z gliny.

Stwór przewraca się na bok i wtedy dostrzegam jego dłonie – mocne, skamieniałe, także gliniane. Puste oczodoły wpatrują się we mnie. Ta chwila trwa wieki, a dystans między nami się zmniejsza. Nie mam dokąd uciec – plecy napotkały pień starego drzewa, on już jest nade mną. Wpełza mi na kolana. Czuję, jakby wielki głaz unieruchomił mi nogi.

— Tato — z glinianego gardła wydobywa się głos Sylvie. Jest tak samo słodki i przestraszony jak wtedy, gdy widziałem ją po raz ostatni.

Po plecach znowu przebiega dreszcz, tym razem strachu.

— Tato — mówi stwór głosem mojej córki. — Tato! Wreszcie jesteś!

Próbuję się wyswobodzić, ale ciało potwora jest zbyt ciężkie. Miotam się, zaciskam pięści, do krwi zagryzam wargi. Uderzam go w czaszkę, odłupując kilka kawałków gliny. Opadają mi na twarz, zarazem gorące jak krew i zimne jak lód.

— Tato, tak tęskniłam! Mój kochany tatko!

Wreszcie udaje mi się uwolnić. Twarde gliniane ciało upada na ziemię, a ja uciekam. Odwracam się tylko raz, kiedy jestem już na górze, na moście. Widzę, jak potwór wrasta w grunt. Nad ziemią zostają już tylko wyciągnięta w moją stronę dłoń i twarz. I te usta, rozpaczliwie wołające:

— Tato! Wróć do mnie! Tato!!!

* * *

— Jest źle — mówi *Frau Amterstern*. — Masz wysoką gorączkę.

Leżę na łóżku, przykryty puchową kołdrą. Moje czoło rosi pot, a umysł zasnuwa mgła choroby. Nie mogę przestać się trząść, jednak nie z bólu, lecz ze strachu. Wszędzie, gdzie spojrzę, czai się ta potworna twarz. Na ścianie, suficie, w lustrze. Widzę ją nawet pod powiekami.

— On był z gliny — szepczę i kaszlę tak mocno, jakbym miał zaraz wypluć płuca. — Nie miał oczu...

— Bredzisz w malignie, mój drogi — uspokaja staruszka. — Zaśnij, sen ci pomoże.

— Nie chcę spać — oponuję. — Wtedy ona znów przyjdzie.

— Kto, Klaus? Kto przyjdzie?

— Sylvie...

Kobieta marszczy czoło ze zmartwienia. Przez tych kilka dni przybyło jej zmarszczek i siwych włosów. Ma tyle własnych trosk, a mimo to siedzi tu przy mnie.

— Wody? — pyta. — Powinieneś dużo pić.

Odwracam głowę w drugą stronę i blednę.

— Nie mogę patrzeć na wodę...

— Na nic nie możesz dziś patrzeć. — Jej spękane starością usta układają się w niepozorny uśmiech rozbawienia. — Dobrze, że chociaż mnie tolerujesz.

Podchodzi do okna, długo patrzy na ulicę tonącą w mroku i wreszcie mówi:

— Allenstein się zmieniło. Jest ciemniej niż kiedyś. Niedługo, mam wrażenie, nastanie wieczna noc. Mówiłeś mi o snach, Klaus. Ja też mam sny. Widzę w nich Heinricha leżącego bez ducha na dnie jeziora. Obok niego jakaś kobieta i nieznany mi mężczyzna. Woda jest mętna, pływają w niej grudki gliny. Ostatnim razem pytałeś mnie, czy chcę wróżby. Nie, nie chcę. Bo ja wiem, mój drogi, że Heinrich nie żyje. Ale jednak jestem spokojna, gdyż w tych snach mówi do mnie. Mówi mi takie piękne rzeczy...

Przełykam ślinę i staram się przeczekać kolejny napad kaszlu. Kobieta zawiesza głos, a gdy atak mi mija, podejmuje:

— Opowiada, że tam jest tak pięknie... Wszystko jest takie spokojne i poukładane. Myśl roznosi się przez wszystkie martwe umysły niczym nie niepokojona. Spragniona, by zdobywać dalsze tereny, nowe idee. Chce zmierzyć cały świat, poznać go, przeniknąć. Nie wiem, o co mu chodzi, Klaus. Nie wiem... Ale tego jednego bym chciała, żeby znów mieć spokój. I gdy patrzę na to miasto, tak odmienione, boję się go. Jest całe w glinie, zauważyłeś to? Glina nawet spada z nieba. Być może jest coś w tym, co syn mówi mi w snach. Chciałabym się przekonać, czy tak jest w istocie. Coraz dłużej sypiam, być może któregoś dnia nie obudzę się wcale i dołączę do niego. Chyba już niedługo. Odkąd zniknął stary Hadich, nie ma żadnego lekarza w okolicy. Wszystkich zabrali Wschodniobałtowie... Nie ma mi kto powiedzieć, że jestem chora. Nie tak chora, jak ty, Klaus. Nie. Ja choruję, by umrzeć. Ty chorujesz, by żyć.

Podchodzi i niepewną dłonią głaszcząc mnie po mokrych włosach. Jej palce, powykręcane artretyzmem, wyglądają jak szpony, a w oczach pali się ogień, niczym jakiś obłąd. Czy ja też niedługo pogrążę się w szaleństwie?

— Zapamiętaj to, Klaus. Wkrótce wszyscy pójdziemy tam, gdzie nasze przeznaczenie. Ja i ty, i Sylvie też, mój drogi. Jeżeli już tam nie

trafiła...

Jest zawstydzona, jakby nagle zdała sobie sprawę z nietypowości całej sytuacji. Dopiero gdy wyciąga chusteczkę, dociera do mnie, że płakała. Na jej pomarszczonej twarzy nie widać łez.

— Może poczytać ci? — próbuje weselszym tonem. — Mam sporo książek, ale już rzadko czytam. Oczy nie te. Akurat wzięłam ze sobą jedną.

— Jaką? — pytam, wdzięczny za zmianę tematu.

— Słynną powieść Groblera *Opary*. Kiedyś drukowali ją w „Allensteiner Zeitung”, kiedy jeszcze istniał. Potem wydali w twardej oprawie. Prawdziwe zjawisko. Zostawiła ją u mnie pewna Polka, którą ukrywałam przed sądem zakonnym. Apolońska jej było. Znałam ją od jej najmłodszych lat i nie potrafiłam opuścić, pomimo że ciążyły na niej poważne oskarżenia. Pewnej nocy uciekła, tylko to po niej zostało. Od tamtej pory staram się czytać tę książkę przynajmniej raz do roku.

— Znam — odpowiadam. — Nigdy nie doczytałem do końca.

— Och — dziwi się. — Nie lubisz tego?

— Przeciwnie, uwielbiam.

— Więc co się stało? Na którym rozdziale stanąłeś?

— Przedostatnim.

— No, chłopcze! I do tej pory nie dowiedziałaś się, co się stało w świątyni...

— Proszę nie dopowiadać. Naprawdę, błagam.

Po jej minie wnioskuję, że nie rozumie.

— To moja ulubiona książka, ale nie chcę jej doczytać. Nie chcę się dowiedzieć, co się stało. Dzięki temu dla mnie ta podróż wciąż trwa, a ten świat nigdy nie ginie.

— Skąd wiesz, że ginie? Może jest zupełnie odwrotnie?

— Nie wiem, ale nie o to chodzi. Jeśli doczytam, to zginie tak czy siak. Bo skończę książkę, zamknę ostatnią stronę i zostaną już tylko wspomnienia. Dzięki temu, że nie kończę, opowieść żyje.

Przekrzywia głowę, zafrapowana. Milczy, jednak w końcu nie wytrzymuje i mówi:

— A jednak mamy ze sobą coś wspólnego. Ty nie doczytujesz książki, bo boisz się odpowiedzi, ja z tego samego powodu nie pytam o Heinricha.

Frau Amterstern wychodzi, ale zastyga w progu. Cichym głosem dopowiada:

— A gdyby autor zostawił otwarte zakończenie? Czy dzięki temu opowieść nie trwałaby dalej, nawet gdybyś skończył książkę?

Zamyka drzwi, nie czekając na odpowiedź.

* * *

To pewne – nie ma dwóch takich samych kropel deszczu, ziarenek piasku, improwizacji muzycznych ani seansów tarota.

Ten jednak jest dziwniejszy niż wszystkie dotychczasowe. Z kart nie da się niczego wyczytać. Tylko brednie, niepasujące do siebie kawałki, nawet nie mętne przepowiednie, zaledwie ich namiastki. Nic się ze sobą nie zgadza.

Po raz pierwszy od lat nie mogę zobaczyć niczego. I to akurat wtedy, gdy wróżę los mojej córki.

Któregoś dnia, gdy Sylvie była jeszcze mała i dopiero co nauczyła się mówić, wyszliśmy na spacer po mieście. Przemierzyliśmy starówkę wzdłuż i wszerz. Wchodziliśmy do kościołów, do katedry, do świątyń protestanckich. Dziewczynka chciała poznać każdy kąt, wszędzie zaglądała, pukała do wszystkich drzwi z uporem godnym dziecka, którym była. Nie mogłem jej odciągnąć, czekała, aż ktoś jej otworzy, a gdy wrota nie uchylały się, wpadała w płacz. Nie mogłem jej uspokoić.

Byłem poirytowany, ale prowadziłem ją z jednego miejsca w drugie. Robiłem dobrą minę do złej gry, gdy zaczepiała przechodniów. Myliły jej się słowa, uciekał sens zdań. Była tańczącym chaosem wśród spokojnego dostojęstwa pruskich murów i kiedy obdarzała mnie promiennym uśmiechem kilkulatki, miękły mi kolana. Radość dziecka rozpromienia wszystko.

Zaprowadziłem ją... Nie. To Sylvie zaprowadziła mnie nad rzekę. Obserwowaliśmy wartki nurt Alle, wtedy krystalicznie czystej, pełnej ryb i raków zanurzonych w jej toniach. Wziąłem do ręki kamień i pokazałem, jak puszczą się kaczkę. Próbowała powtórzyć, za każdym razem wychodziło jej to coraz gorzej.

Wstałem, by rozprostować kości. Pomyślałem, że być może nie powinienem zabierać jej wtedy z tego spalonego domu, z objęć martwej matki. A jeśli jej miejsce było właśnie tam?

I właśnie w tamtej chwili, rozpędzona, potknęła się o kamień i upadła na stromy w tym miejscu brzeg – Alle szumiała głęboko w dole, wyczekująco, cierpliwie. Sylvie runęła kilka metrów w dół i jej małe ciało uderzyło w taflę rzeki. Nie myśląc wiele, rzuciłem się za nią. Zniknęły wszelkie wątpliwości – dziewczynka była moja, tylko moja.

— Tato! — wołała przestraszona. — Tatusiu!

Gdy wyłowilem ją, wtuliła się mocno i obiecała, że nigdy więcej nie będzie niegrzeczna. Rzeczywiście, od tamtej pory na każdym spacerze posłusznie kroczyła u mego boku. W domu potrafiła się zapomnieć, jednak poza nim... Była aniołem.

Wciąż mam do siebie żal, że wtedy pomyślałem o niej w taki sposób. Pragnąłem uciec z jej życia, jak barbarzyńca, jak tchórz. A przecież była moja i jest moja, zrozumiałem to. I właśnie dlatego muszę teraz wyjść z tego łóżka i szukać jej ile sił...

Więc wstaję i zrzucam przepoconą pizamę. Czuję się już lepiej, jednak daleko do normalności. Zakładanie ubrania sprawia trud – mięśnie, wyczerpane chorobą, płoną. W żyłach niespokojnie pulsuje krew, a w skroniach łupie niemożliwie. Inge Amterstern zostawiła szklanekę wody na sekretarzyku – sięgam po nią i gaszę pragnienie. Z gardła wydobywa mi się jęk ulgi. Jeszcze dzień, dwa i choroba odpuści.

Jest noc, ale tak cicha, jak nigdy ostatnimi czasy. Nie słychać żadnych kroków, nie widać patroli. Z okien nie zerka żadne ciekawe oko, nie wydobywa się szept przestachu. Allenstein milczy ciszą tak głuchą, że aż dzwoni w uszach. Tylko ta glina spadająca z nieba niczym śnieg – parodia rzeczywistości.

Krocę powoli, trzęsąc się i postępując. Czuję się obco we własnym mieście. Odkąd przestało być moje?

Kilkadziesiąt kroków i głęboki oddech. Spoglądam w niebo, ale gwiazdy schowały się za wszechobecnymi chmurami. Idę więc, nie zastanawiając się już nad niczym, moje myśli krążą tylko wokół Sylvie. Czy wszystko z nią w porządku? Czy niania należycie się nią opiekuje? Mam złe przeczucia...

Wyrocznia. Staję przed jej drzwiami – pukać, wzniesając hałas wśród martwej ciszy, czy lepiej po prostu wejść?

Wchodzę.

Grzegorz mierzy mnie wzrokiem. Ma zaczerwienione oczy, widać, że nie sypia dobrze. Jednak twardo trzyma się na nogach. Bije z niego jakaś pierwotna siła, która każe mi się zatrzymać.

— Wszyscy już są — mówi. — Czekają na pana.

Po czym prowadzi mnie do sali hazardowej. Gdy wkraczamy do niej, dwa tuziny oczu wpatrują się we mnie. Rzeczywiście, tej nocy całe środowisko okultystów zebrało się tutaj. Za biurkiem, na swoim fotelu, siedzi przygarbiona magini.

— Klaus, zaczynałam się już martwić. Myślałam, czy nie posłać Grzegorza, los jednak sam doprowadził cię tutaj. Usiądź, źle wyglądasz.

— A kto dziś jest zdrowy, *Madame*? — rzuca spod przeciwległej ściany Laszlo Ghed, jeden z bardziej uzdolnionych tarocistów w Allenstein.

— Chorujemy wspólnie i niedługo umrzemy razem — odpowiada siedząca obok piękna Jasmine de Baudoch, perła pruskiej kabały. — Jakież to romantyczne...

— Słyszeliście, że dopadli Diabła? — mówi Ghed. — Jego ciało wypłynęło wczoraj na brzeg Alle. Rzeka wyrzuciła go już martwego. Mówią, że urządził zasadzkę na posterunki Wschodniobałtów w Kortau.

— Nie sądziłam, że przeżył bitwę — dziwi się de Baudoch.

— A jednak. Nie wiadomo dokładnie, co się stało, ale jest pewne, że teraz nie żyje. Doszły go trzy kule. Próbował uciekać i rzucił się do rzeki.

— Dość tych utyskiwań — gasi dyskusję Samanta. — Pora się naradzić, zbierzcie się.

* * *

— Nie możemy nic zrobić, *Fraulein* — przerywa Ghed. — Chyba tylko czekać, aż zdechniemy w męczarniach.

— Oblężenie jest szczelne — dodaje de Baudoch. — Nikt nie może wejść ani wyjść. Trudno oczekiwać na jakąkolwiek pomoc, a sami nie mamy sił, by zmienić ten stan rzeczy.

Mistrzynie gwałtownie podnosi dłoń, aby wszyscy ucichli. Wstaje i podchodzi do zamkniętej na siedem zamków komody. Nie spiesząc się, otwiera każdy z nich. Zgromadzeni obserwują jej ruchy ze zniecierpliwieniem, ale nikt nie śmie przerwać ciszy.

— Musicie się stąd wydostać — oznajmia. — Jest człowiek, który jeszcze może wszystko zatrzymać. Wiem, że jest gdzieś tutaj. Przybył przed bitwą, aby doglądać swojego dzieła.

— A cóż to za sprawa? — pyta Ghed.

— Pomogłam mu lata temu i rychło pożałowałam tego czynu. On był jednym z nas, słyszał Wyrocznię. Mówiła do niego, co wzięłam za znak niebios. Miał plan, chciał zobaczyć prawdę na własne oczy, chciał poznać to, co nam wszystkim przeznaczone. Przynajmniej tak mówił.

— Kłamał — de Baudoch nawet nie pyta, lecz stwierdza, przeczuwając odpowiedź.

Mistrzynie potakuje.

— Ze wszystkich możliwych przyszłości wybrał dla nas najgorszą. Ze zgryzoty, z gniewu i lekkomyślności wybrał zemstę. A Wyrocznia, nie wiedząc czemu, zdradziła mu, jak jej dokonać.

— Co to za człowiek? Skąd w nim tyle bólu?

— Nie ma na to prostego wyjaśnienia. Przynajmniej ja nie znalazłam — mówi Samanta. — I teraz musicie go odnaleźć. Wszelkimi środkami trzeba zmienić to, co uczynił.

— Jeżeli jeszcze nie jest za późno — wtrącam się.

— Wiem, że przed bitwą przyjechał do Kortau. Być może jeszcze tam jest, może ocalał z pogromu. Tak naprawdę może być wszędzie, więc roześlę was w różne strony, poza to przeklęte miasto.

— Jak ma na imię? Jak go rozpoznamy? — głos Gheda drży.

— Sarment. Waclaw Sarment. Poznacie go po glinianych oczach.

Wreszcie Samanta wyjmuję księgę, którą każdy z nas zna. Odwraca się i mówi:

— Tutaj mam wasze wizje. To spisane waszymi dłońmi słowa Wyroczni, Jej przepowiednie.

— Dlaczego zabrałaś to z Jej miejsca? — pyta chudy staruszek, ściskający w dłoni laskę tak mocno, że aż bieleją mu kłykcie.

— Zniszczyłam Wyrocznię.

Zapada cisza, która zapowiada burzę. Wściekłość i oburzenie stają się namacalne w dusznym powietrzu izby. Ktoś podrywa się z miejsca, rzuca się z pięściami na maginię, ale drogę zagrausza mocarny Polak. Nagle emocje opadają, pozostawiają pole rozżaleniu.

— Czemu to zrobiłaś? — pada pytanie.

Samanta wraca powoli na miejsce i kładzie przed sobą otwartą księgę. Zamyka oczy i wydobywa z siebie głos pełen złości i rezygnacji. Głos człowieka, który stracił wszystko, a jednak ośmiela się żyć dalej. A ja już rozumiem, czym Wyrocznia była dla mistrzyni.

— Każdy z nas powoli umiera. Niektórzy tracą zmysły, czego dowodem są wasze zapiski tutaj. — Uderza dłonią w kartki księgi. — Od dawna nie widzę przyszłości, już nie potrafię się w niej przegłębiać. Dlatego Wyrocznia wybrała mnie na opiekunkę tego miejsca. Odprowadzam każdego z was do jej bram, odczuwając za każdym razem tę cudowną muzykę, która rozbrzmiewa w waszej obecności, ale dla mnie samej już nic nie gra. Gdybym ją słyszała, nie mogłabym jej strzec, albowiem wpędziłoby mnie to w szaleństwo. Wyobraźcie sobie, że znacie całą przyszłość świata. Czy to dopiero nie byłby obłąd?

— Ale dlaczego...

— Dlaczego ją zniszczyłam? Powiem wam! Bo my niedługo umrzemy, a ona zostanie! Jej moc nie jest przeznaczona dla niepowołanych. Pomyślcie, że mogłaby wpaść w niegodne ręce. Co wtedy? Co wtedy mogłoby się stać?

— I tak byśmy tego nie dożyli — sarkastycznie zauważa Ghed.

— Ale mam to. — Magini podnosi księgę. — Ostatnie wskazówki. Z nich wywnioskujemy, co robić, by ocalić choć część.

— Ja wiem. — Piękna de Baudoch podrywa się. — Ja wiem, co należy zrobić. Wyrocznia mi powiedziała.

Pokazuje ramię, ale nikt, poza mną, nie wierzy własnym oczom.

Ramię prześlicznej Jasmine de Baudoch jest z gliny.

Dopiero teraz dostrzegam głębokie bruzdy pod jej oczyma. Sinoniebieskie cienie na twarzy – oznaki choroby. Szyja kobiety pełna jest brodawek, których niegdyś nie było – to przecież gliniane narośla. Pomimo tego kabalistka nadal pozostaje piękna. Ta specyficzna brzydota podkreśliła tylko jej urok.

— Wszyscy umrzemy — podejmuje powoli, z namysłem. — Ja jestem chora, z dnia na dzień czuję się coraz gorzej. To zaczęło się miesiąc temu, tuż po bitwie. I was to dotknie. Widziałam to.

Niektórzy wstają i odsuwają się od niej. Patrzą jak na cyrkowego odmieńca, przerażeni, ale też zaciekawieni. Ona zaś stoi spokojnie, za nic mając upokarzające spojrzenia.

— Muszę się stąd wydostać. Z tego przeklętego miasta — mówi wreszcie. — Nie zdechnę tu tak. Nie tutaj. Wyrocznia nakazała iść.

Przez izbę przechodzi pomruk. Gwar ucina jednak Samanta, mówiąc:

— Korytarze — wskazuje drzwi, za którymi ukryty jest labirynt Wyroczni. — Możesz skorzystać z korytarzy. Prowadzą na tyły wroga, do Kortau.

Wstaję z trudem. Dźwignięcie ciężkiego ciała w pierwszej chwili odbiera mi głos, ale zaraz wypowiadam twardo:

— Idę z tobą. Nie poradzisz sobie sama, a ja nie chcę tu zostać. Pomogę ci.

Kiwa głową ze zrozumieniem i wpatruje się we mnie, jakby oceniała, czy mógłbym się przydać. Odwzajemniam spojrzenie, starając się nadać mu jak najbardziej zdeterminowany wyraz. Nikt nie ośmiela się przerwać tej chwili. Wydaje się trwać wieki.

— Czas nas goni — starczy głos magini brzmi jak przypieczętowanie paktu. — Idźcie. Zrobimy co w naszej mocy, żebyście wyszli niezauważeni.

* * *

Sen, jak każde życie, dąży do śmierci.

Obiecałem sobie, że nie będę spał, ale to czcza gadanina. Morfeusz nadchodzi niepostrzeżenie, bezsenność doprowadza do śnienia na jawie. Można więc tylko liczyć na to, że żadne nocne marzenie nie przyjdzie.

Więc śnię o śmierci. Czuję, jak każdy kolejny odpoczynek przybliża mnie do niej. Jakbym się zbliżał do wrót wybawienia – powinienem czuć spokój, ale boję się. Śniąc o śmierci, śnię strach.

Ten strach ma imię – Sylvie.

Nic nie mówi, tylko patrzy niewidzącymi oczyma, w których nie ma już ani śladu życia. To spojrzenie prowadzi mnie dalej, na gliniane pustkowia wypalone słońcem. Jest tam nic – bezkresne nic.

Dziewczynka robi krok w moją stronę i wyciąga dłoń.

— Gdzie mam iść? — rzucam.

Zamiast odpowiedzi otrzymuję następną wizję. Stoję przed domem, w którym dziesięć lat temu znalazłem córkę. Nie jest jednak spalony. Drewnianych ścian nie tknęły języki ognia. Okna zostały wybite, drzwi wyważone, chybczą na zawiasach, ale nie ma śladu pożaru. W środku widzę kobietę, w której rozpoznaję matkę Sylvie – dogorywa. Reszką sił pełźnie w moją stronę, mówiąc coś. Ja jednak nic nie słyszę – odgłosy potyczki, wystrzałów i szczęknięć stali są zbyt głośne.

Do piersi przyciskam zawiniątko, z którego bije niezwykle ciepło. Biały kocyk poplamiony jest krwią. Sylvie głośno płacze. Jej matka desperacko czołga się do mnie po podłodze.

Nie oddam jej dziecka.

Jest moje.

Tylko moje.

Wtedy w dłoni pojawia się pochodnia. Sylvie przestaje płakać, a wraz z nią cichnie bitwa, jakby zależna była od jej zawodzenia. Pełznąca kobieta próbuje mówić, ale z jej gardła nie wydobywa się żaden głos.

Rzucam do środka pochodnię. Ogień chwyta zasłony, pożera meble i posłanie, oblizuje lubieżnie dziecięcą kołyskę. Płomienie są już wszędzie. Wschodniobałtka wyciąga ku mnie dłoń w nadziei na pomoc.

Odwracam się i zostawiam ją tam, gdzie jej miejsce.

Sylvie zasypia ze zmęczenia.

* * *

Gdyby nie światło lampy naftowej, którą mistrzyni dała nam na drogę, podziemia byłyby tak ciemne, że zwątpiłbym we własne istnienie. Mrok znika, cofa się przed światłem, by po chwili znowu pochłonąć korytarze. Droga zdaje się ścieżką wiecznych wątpliwości – czy to, co widzę, jest prawdą, czy może tylko ułudą?

Jasmine wydaje się myśleć o tym samym, gdyż jej kroki są tak niepewne i powolne, jakby jej ciało balansowało nad przepaścią.

— Glina jest grzeszna — mówi moja towarzyszka. Odkąd idziemy, usta jej się nie zamykają, słowami próbuje zagłuszyć strach. — W księgach kabalistycznych są całe rozdziały o tym, jak Jahwe chciał, by stworzenie było w każdej mierze doskonałe i szukał materiału, w który mógłby tchnąć życie. Duch musi mieć formę, prawda? Doskonałość musi mieć dwa oblicza: materialne i duchowe.

Odchrząkuje i powraca do opowieści:

— Jahwe jednak się wpędził w pułapkę, bo zanim się tchnie życie w materiał, musi on być życia pozbawiony. Nie może więc mieć duszy, musi być pusty, aby został wypełniony. Wziął glinę, ulepił z niej Adama, tchnął w niego duszę i tak dał początek ludzkości. Od tamtej pory człowiek stoi na rozdrożu. Mając duszę, ma także wiedzę, że może ją stracić. Wiedza

ta zaś przybliżyła go do tej duszy utraty. To siła fatalna, jak mawiają kabaliści. Człowiek jest dobry poprzez posiadanie tchnienia oraz zły poprzez możliwość tchnienia utraty... Paradoks. Z gliny powstałeś...

— Co pokazała ci Wyrocznia? — przerywam jej.

Nie odpowiada, zajęta badaniem nierównej podłogi korytarza. Idzie przodem, nie odwraca się. Według mojej rachuby zbliżamy się do Kortau, niedługo powinniśmy znaleźć wyjście, jeżeli nie zbłądziliśmy. Mijaliśmy wiele odnóg, ale uparcie szliśmy naprzód drogą, którą obraliśmy na początku. Nie zbaczyliśmy ze szlaku.

Wreszcie słyszę:

— To samo, co i tobie. Glinianą chatę. Pożogę i gliniany świat. Nakazała iść prosto w to piekło.

— Skąd wiesz, co ja ujrzałem?

— Nie wiem. Ale myślę, że gdyby nie ta wizja i nie nasze sny, nie spotkalibyśmy się w tamtej piwnicy wszyscy razem. To dręczyło nas od początku. Każdy w końcu musiał przyjść. A my musieliśmy stamtąd uciec.

— Uciekasz?

— A ty nie? To po co idziesz ze mną?

— Szukam córki. Wysłałem ją do Berlina, ale przepadła bez wieści. Telegrafy nie dochodziły, nie dostałem od niej żadnej wiadomości.

— Pojechała pancernym pociągiem Tagenkopfa?

— Tak. Skąd wiesz?

— Tylko on ostatnio odwiedzał Allenstein. Zabierał mnóstwo ludzi, ale nie wiem, czy tak naprawdę wybierał się do Berlina. A nawet jeśli, to nie dojechał, bo rozeszłyby się jakieś wieści.

— Chciałbym się tego dowiedzieć.

Kobieta odwraca się. Na jej szyi pojawiło się więcej glinianych brodawek, a te, które już tam były, powiększyły się – rozlały po skórze

niczym plamy na tkaninie.

— Mam nadzieję, że znajdziesz swoje dziecko — mówi.

— Tak naprawdę, to Sylvie nie jest moim dzieckiem — szepczę.

Jest zdziwiona, ale to maskuje. Nie odpowiada. Dobrze więc, myślę sobie, dobrze byłoby, gdyby ktoś wreszcie usłyszał naszą historię – tak, jak zawsze chciałem ją opowiedzieć.

— Znalazłem ją w spalonym domu, dziesięć lat temu. Szliśmy wtedy na Rygę, zostawiając za sobą spaloną ziemię. Posuwaliśmy się w głąb kontynentu, do miejsc tak zimnych, że nikt, kogo tam nie było, nie potrafił sobie tego wyobrazić. Naszym sposobem na mróz był ogień. Im było chłodniej, tym więcej chat i wsi paliliśmy. Wyprzedzała nas zła sława, kto rozumny, uciekał, kto nazbyt przywiązany do dotychczasowego życia, kto przepełniony prózną nadzieją, zostawał na swą zgubę... Oddział był wyjątkowo brutalny, zarządzany przez szaleńca i fanatyka. Składał się z morderców i skazańców, dla których jedyną szansą na życie było nieustanne igranie ze śmiercią. Po wojnie obiecano im wolność. Mieli zająć te miejsca, z których wtedy wysiedlali ludność. Wreszcie doszliśmy tak daleko, że nawet ogień gasł. Moi kompani, najtwardsi i najwytrwalsi, zdychali z wyziębienia. I właśnie wtedy znalazłem Sylvie. Jej matka już dawno nie żyła, więc nie chcąc, by i dziecko zmarło, wziąłem ją. Cud, że przeżyła...

— Cśśśś — przykłada mi palec do ust. — Nie musisz mówić nic więcej. Jeśli wydostałeś ją z piekła, to jesteś jej ojcem i kochasz ją tak, jak na to zasługuje. Możesz mi wierzyć.

Obdarza mnie smutnym uśmiechem. Jej dłoń pieszczotliwie krąży po brzuchu, jakby w łonie wzrastało nowe życie. Jednak w oczach kobiety nie ma tego żaru matki. Odwzajemniam więc smutny uśmiech, nie wiedząc, co jeszcze mógłbym zrobić.

Jasmine odwraca się i idzie dalej. Stoję, zakłopotany, rozważając jej słowa, gdy słyszę znowu:

— Szybko! Tu są schody, a dalej wyjście!

* * *

Puste pola, bez roślinności, bez ludzi, bez życia. Jedynie wiatr hula między wzniesieniami i kikutami drzew. Wypalona ziemia, budynki zniszczone pociskami, leje po kulach armatnich. Kortau jest martwe. Zdechło w ogniu bitewnym.

Tam, gdzie glina nie zasnuwa podłoża, widać zaschniętą na kamieniach krew i odciski butów wojskowych. W oddali skrzydła okienne, pozbawione już szyb, uderzają głośno o ściany.

Idziemy wolno, pochyleni tuż nad ziemią, starając się ukryć przed wzrokiem wartowników. Jednak nikogo tu nie ma, choć co chwila natrafiamy na ślady czyjejś niedawnej obecności. Jakby rozwarła się tutaj piekielna czeluść i porwała wszystkich, wciągnęła w otchłań. Myśląc o tym, odczuwam strach. Obawiam się spoglądać pod nogi.

Moja towarzyszka czuje chyba to samo, również patrzy tylko przed siebie. Ma jednak więcej odwagi, lub głupoty, gdyż w końcu prostuje się i przestaje się kryć.

— Co robisz? — syczę przez zęby. — Schowaj się, głupia!

Nie słucha mnie, idzie dalej wyprostowana.

— Słyszysz? — mówi wreszcie.

— Co takiego?

— Muzyka...

Myślę, że postradała zmysły, ale oblicze ma spokojne. Na jej twarzy nie dostrzegam ani śladu szaleństwa czy zwątpienia. Jakby nagle wszystko zrozumiała, jakby sens tego tutaj stał się dla niej jasny.

— Woła mnie — dopowiada.

— Jasmine — charczę z trudem, trzęsąc się w gorączce. — Co w ciebie wstąpiło?

Dotykam jej ramienia i czuję coś twardego. Kobieta przypomina posąg herosa. Zatrzymana gra mięśni, dynamizm stateczności, energia bezruchu. W mgnieniu oka jednak wszystko wraca do normy – Jasmine wzdryga się i patrzy na mnie trzeźwym wzrokiem.

— Co... Co się stało? — pyta.

— Nic. Chodźmy, prędko.

Napotyka małe wzniesienie, wspinamy się na jego szczyt. Podłoże ucieka spod butów – glina jest miękka, zapada się pod naszym ciężarem. Jest wszędzie – przed nami, za nami, pod nami, na ubraniach, pod paznokciami. Skleja włosy i zasycha na twarzach. Byle dalej...

Wreszcie stajemy na szczycie i widzimy budynki szpitala dla obłąkanych. Tonie w mroku ogromnych, także już glinianych drzew. Wszechobecność tej gliny sprawia wrażenie, jakby nigdy nie istniało nic innego. Z daleka wygląda jak rudy śnieg – jest taka puszysta i miękka.

Schodzimy i naszym oczom ukazują się zasieki – porozrywane, jak gdyby rozegrała się tu jeszcze jedna bitwa. Pod stopami widzimy kolejne tropy – ślady podkutych wojskowych butów, tym razem prowadzące z obozu w kierunku, z którego przyszliśmy.

Kilka opancerzonych powozów, kikuty końskich zaprzęgów, rozbite armaty i połamane karabiny. Namioty, w których ziele pustką. Rozszarpane tobołki nieprzyjaciół, rozrzucone tu i ówdzie nienaruszone konserwy. Każdy krok jest szokiem, każde spojrzenie ułudą – oto krajobraz po bitwie, a nie obóz Wschodniobałtów. Znikąd nie dochodzi żaden ludzki głos, nie widać żywej duszy. Czy już nikt nie oblega Allenstein, czy nikt nie stacjonuje w Kortau?

Wreszcie naszym oczom ukazuje się sterowiec WBA „Falkon”. Mocne liny cumują go do ziemi, jednak balon jest rozszarpany, a wielki stalowy pokład pokryty gliną. Przytulony do podłoża, wygląda jak nieżywy stwór. Niegdyś duma, prawdziwa chluba zaborców, dziś trup.

— Tu musi się znajdować jakaś radiostacja! — podnoszę głos w desperacji. — Może uda nam się ją znaleźć i zawiadomić naszych?!

— Jakich „naszych”? — pyta moja towarzysza.

— Jak to?

— To wszystko jest takie dziwne, Klaus. Może nic nie jest już takie samo, jak wcześniej?

— O czym ty mówisz? Muszę znaleźć córkę. Poszukajmy radiostacji.

— Moja matka udała się w podróż tym samym pociągiem, co Sylvie. Nie mam od niej żadnej wiadomości, Klaus, to nie może być przypadek. Widzę ją, gdy zamykam oczy...

— Przestań! — krzyczę. — Przestań! Oszalałaś?!

— Chyba już tylko to nam pozostało.

Biorę zamach i uderzam ją w twarz. W tym samym momencie pada strzał.

Stoję osłupiały ze strachu, a Jasmine ma szeroko otwarte oczy, rozszerzone źrenice, w których mieści się całe przerażenie świata.

Znowu strzał.

I kolejny.

Cisza.

Pierwsza opamiętuje się de Baudoch – upada na ziemię i ciągnie mnie za sobą. Leżymy przytuleni, czekając. Nasłuchujemy.

Północny kraniec szpitala, to stamtąd dobiegają głosy. Kilku ludzi, coraz głośniejsza dyskusja.

Podejmujemy decyzję bez słów. Znowu wstajemy i pędzimy w tamtą stronę najszybciej oraz najciszej jak się da. To mój najdłuższy bieg w życiu, czuję świszczące pomiędzy nogami powietrze, pod stopami uginający się grunt, błogie zimno na skórze przynoszące ulgę w gorączce.

Wyprzedzam Jasmine i kryję się, przyklepiony do ściany najbliższego budynku. Stąd słyhać więcej, ale nie sposób rozróżnić słów, więc powoli, pochylony, podsuwam się jeszcze bliżej. Docieram do winkla i kucam, a ona tuż za mną. Oddychamy ciężko. Przymykam powieki, aby lepiej się skoncentrować.

— To wszystko na darmo? — słyszę łamany niemiecki. — Nic więcej nie da się zrobić?

— *Nein, mein Herr* — odpowiada jeden z mężczyzn, prawdopodobnie Prusak. — To posuwa się wciąż dalej i dalej. Nie sposób tego zatrzymać.

Ryzykuję i wychylam głowę. Jasmine łapie mnie za rękaw, ale strząsam jej dłoń – jest ciężka, stwardniała, kamienna...

Trzech mężczyzn w mundurach Wschodniobałtów stoi nad klęczącym. Mierzą do niego z pistoletów. Chwieją się, pochyleni. Nie widać twarzy biedaka, ale wydaje mi się, że go znam. Nosi lekarski kitel.

— Co jeszcze możesz zrobić? — łamanym niemieckim pyta klęczącego jeden z nich.

— Nie wiem... — odpowiada mężczyzna.

Rozpoznaję go po głosie, to Hadich.

— Coś chyba można zrobić, prawda? — próbuje drugi z egzekutorów. Jego słowa szeleszczą.

— Nie wiem, naprawdę — mówi lekarz. — Nic nie działa.

— Spójrz, psie, patrz. — Pierwszy podciąga rękawy kurtki, ukazując glinianą rękę. Światło pada na jego twarz. Lewą stronę także pożarła glina. — Coście dolali do wody? Mów, gnido!

— Nie wiem — powtarza Hadich. — Skąd miałbym wiedzieć?

— Ktoś musi wiedzieć, a w tym przeklętym mieście nie zostało wielu.

— Nie współpracowałem z Zakonem.

— On kłamie. — Wschodniobał odwraca się do reszty.

— Widzisz go? Sam jest cały w glinie — zauważa trzeci, który do tej pory milczał. — Gdyby wiedział, sam by się wyleczył.

— To ich plan — zaprzecza pierwszy. — Oszuści!

— Więc to wszystko na darmo, to chcesz mi powiedzieć, ty pruski psie?! — wydziera się ten z szeleszczącym głosem.

— Nie potrafisz usunąć tego świństwa? Co z ciebie za medyk?!

— Umrzemy, tak? — spokojny ton trzeciego zmienia nutę. Pobrzmiewa w nim prosty, ludzki smutek zmieszany ze strachem.

— Nie wiem — odpowiada Hadich nerwowo. Cofa się, ale oprawca przystawia mu broń do skroni. — Zrobiłem wszystko, co mogłem...

— Mówiłem, żeby nie pić wody z tych przeklętych rzek! — Pierwszy z mężczyzn nie przestaje krzyczeć. — Mówiłem, że powinniśmy wykopać studnie, sami czerpać i rozdzielać wodę, ale nie! Wy przecież swoje!

— Nikt nie wiedział o zarazie, przestań!

— Jak to nikt? A te groby masowo odnajdywane na południe i na wschód stąd? Te gliniane ciała z kulkami we łbach? Z poucinanymi nogami, z protezami zamiast dłoni?! Czy to nie było dość oczywiste?!

— Uspokój się! Daliśmy się oszukać, wpędzić w pułapkę, ale to przecież nie koniec...

— Nie?! A ilu nas zostało?! A ilu ich?! Czy w ogóle ktoś został w tamtym mieście? Jakiś inny doktor? Bo nasi już dawno zakopani!

— To nie jest zwykła choroba — wtrąca Hadich. — To przekleństwo.

Mierzą go wzrokiem, zastygając w bezruchu. De Baudoch ściska mocno moją dłoń. Szepcze do ucha:

— Widziałam to.

Czuję kolejną falę gorąca, a skronie przeszywa mi ból. Chwytam się za głowę, pod palcami coś wyczuwam, jakby narośle. We włosach, małe bryłki.

Glina.

— To moja wizja... — dodaje kobieta.

— Cóż — mówi jeden ze Wschodniobałtów, zanosząc się nerwowym śmiechem. — W takim razie chyba potrzebujemy kapłana, a nie medyka.

Kolejny podchodzi blisko Hadicha i także przystawia lufę do jego głowy.

— Już się nie przydasz.

Naciska spust.

Lekarz nie pada na ziemię. Jego przestrzelona na wylot głowa odskakuje, a później wraca, jakby odbita od niewidzialnej przeszkody. Zwiesza się na karku bezwładnie. Zabójcy dyszą ciężko, dopiero teraz pojmując, co tak naprawdę ich czeka. Mówią coś w nieznanym mi języku.

Jeden z nich mierzy w stronę towarzysza. Ten nie broni się. Po prostu rozkłada ręce. Pada następny strzał, potem kolejny.

Gdy zostaje tylko jeden, przystawia sobie lufę pod brodę, by dołączyć do pozostałych. Wokół klęczącego ciała Hadicha układają się zwłoki jego morderców. Przeżyli go ledwie o parę chwil.

De Baudoch puszcza moją dłoń i mówi:

— Więc właśnie to miałam zobaczyć...

* * *

Sylvie... Znowu Sylvie...

Jakbym nie potrafił śnić już o niczym innym, tylko o niej, ukrytej w ciężkiej zbroi z gliny. Kiedy zamknę oczy i gdy ona nie przyjdzie, będę wiedział, że oto nadszedł koniec.

Tymczasem nie odróżniam już jawy od snu.

To dziwne – pytania nie znikają, pomimo narastającej obojętności. Uciekając z Allenstein, uciekałem od tych snów, a teraz zjawiam się w nich, tak czysty i niewzruszony. Twarz Sylvie przestała budzić grozę, stała się naturalna. Chyba pogodziłem się z tym, co się dzieje. Wyszedłem naprzeciw, pełen zwątpienia i strachu, ale wykułem już pancierz, odziałem się w spokój. Rzeczywistość jest snem, a sen rzeczywistością. Stoję na glinianej ziemi, obecnej zarówno tu, jak i tam.

Ale tu jest nawet lepiej – tu jest moja córka...

Tu jestem ja.

— Nie jesteś bez winy, tato — mówi tysiącem glinianych ust golemów zebranych wokół nas.

* * *

Gdy otwieram oczy, słońce chowa się za horyzontem, rozświetlając złocistymi promieniami glinianą twarz Jasmine.

Leżę oparty o fontannę, w tym samym miejscu, w którym zasnąłem, wycieńczony. Parę metrów dalej widzę ciała Wschodniobałtów i Hadicha. Wszystko tonie w glinie.

— Nie sądziłem, że jeszcze cię zobaczę — mówi Mistrz Oddziału.

To on, mój dowódca. Heinrich von Gerth, Pruski Diabeł.

Tak nazywaliśmy go dziesięć lat temu. Bezwzględny, oddany sprawie. Jeśli rozkazano by mu podbić piekło, ruszyłby bez wahania. Oddałby wszystko, aby osiągnąć cel. Oprawca i szaleniec, kat własnych podkomendnych. Mimo kapłańskich święceń, nie było w nim nic świętego. Wręcz przeciwnie – jego despotyzm oraz nieugięty kark w połączeniu z paskudnym charakterem sprawiały wrażenie, jakby opętał go demon. Niejednokrotnie byłem świadkiem, jak dokonywał publicznych egzekucji na swoich ludziach. To wtedy, podczas krwawego marszu na Moskwę,

nadano mu przydomek „Diabeł”. Widziałem strach w oczach jego żołnierzy, gdy tylko pojawiał się w pobliżu.

Lęk gościł także we mnie, pomimo że byłem jego wiernym i zaufanym człowiekiem.

— Tak, widzę, że wiesz, o czym mówię — podejmuje. — Wtedy, pod Rygą, w pobliskiej wsi... To było nasze ostatnie spotkanie. Wiedziałeś, kiedy uciec, Klaus. Nic z nas nie zostało. Rozbili nas w pył. Tylko ja wróciłem. I ty. Ale i tak się nam nie udało.

Pusty wzrok Jasmine skierowany jest ku słońcu. Ostatnie promienie światła wędrują po jej nieskazitelnie glinianej twarzy. Nie ma w niej już śladu człowieczeństwa, tak samo jak w obliczu von Gertha.

Chcę odpowiedzieć, ale nie mogę wydobyć głosu. Czuję piekielny chłód, który zmroził mi ciało. Obrazy nadchodzą same...

Spogląda na swoje gliniane dłonie. Zaciska pięść, jakby podziwiając nowe ciało. Odruchowo zerkam na własne ręce. Zamykam powieki.

— Gdy oddawali mi was pod komendę, pomyślałem, że trzeba będzie całego morza krwi, aby odkupić wasze winy. Sami zbrodniarze, kryminaliści. Idealny materiał na każdą wojnę. Bezwzględni, okrutni, nieobawiający się grzechu. Zostaliście potępieni, zanim ktokolwiek z was wziął pierwszy oddech, więc żadna kara wam nie straszna. To było jak wyrok, dowodzić wami. Nie wiedziałem, czym sobie zasłużyłem na taką karę. Ale wkrótce miałem się przekonać.

Odchodzi kilka kroków, ale zatrzymuje się, by rzec:

— Ryga, mój żołnierzu, nie była nawet w połowie takim piekłem, jak to. Tutaj nie jestem już Diabłem. Tutaj nie trzeba żadnego diabła. Jego grzechy są niczym w porównaniu z naszymi.

Słońce spływa za linię horyzontu, pozostawiając ostatnie promyki – wątle i zimne. Jasmine wstaje i rusza na północ. Wiem, co chce tam znaleźć. Wiem, kogo szuka. Teraz wszystko jest jasne – słyszę to samo, co

ona. Tysiąc głosów rozbrzmiewających w głowie, nawołujących się wzajemnie. Tysiąc grzeszników pochłoniętych przez glinę. Stwardniały grzech.

Jasmine idzie do matki, która czeka na północy. Von Gerth zniknął za moimi plecami, podąża na wschód – tam, gdzie zostawił duszę. Ja zaś słyszę Sylvie. Woła mnie.

Jakiś chór z wysoka śpiewa rzewną ektenię. Skądś znam słowa, choć nigdy jej nie słyszałem. Dołączam do nich.

Wszyscy wkrótce trafimy tam, gdzie skończyło się nasze życie. Jasmine, piękna gliniana kukielka, odnajdzie matkę, której pozbyła się miesiąc, a może całą wieczność temu. Schorowana starowinka miała tylko jedno marzenie – umrzeć w Allenstein, umrzeć spokojnie, we własnym łóżku. Piękna kabalistka jednak nie pozwoliła na to, pamiętając wszystkie krzywdy i niepotrzebne ciosy, które wymierzyła jej rodzicielka. I ona wszak też nie była bez winy – całą miłość przelała na siebie, a najbliższych torturowała nienawiścią. Teraz, podnosząc się z glinianej ziemi (chłód... co za chłód...) widzę i to.

Pruski Diabeł zmierza do miejsca, gdzie zamordował własnego brata z zawiści o kobietę, gdzie utracił serce i rozum. Tylko tam, gdzie oszalał, gdzie oddał całe swoje człowieczeństwo na żer demonom, tylko tam może znaleźć siebie.

Ja poszukam płonącej chaty, z której wyniosłem Sylvie. Chaty, którą sam podpaliłem, zabiwszy wcześniej całą rodzinę małej bezbronnej dziewczynki.

Glinianej chaty.

Z odmętów glinianego jeziora wynurza się postać z glinianymi oczami oraz dziurą w sercu. Uśmiecha się. To o nim mówiła Samanta.

Idę tam, do niego, pewien, że spotkam wszystkich przyjaciół i wrogów. Wszystkich tych, których kochałem i zdradziłem.

Bo wszyscy spotkamy się tutaj. Bo nikt z nas nie jest bez winy.

* * *

W snach (czy to aby sny?) wciąż ją widzę – chatę z gliny, unoszącą się nad płomieniami. Ziemia krzyczy, ale z domostwa nie dochodzi żaden głos. Nikt nie wygląda przez okno, by obserwować dzieło zniszczenia. Skądś wiem, że wszystko zaczęło się właśnie tam. Tam też musi się skończyć. Gliniane drzwi piekła zamkną się, dopiero gdy przekroczy je ostatni z nas – grzeszników.

Dlatego nie śpię już drugą noc, chodzę po izbie, od ściany do ściany. Czy sen, dzień i noc mają jeszcze znaczenie? Wpatruję się w mrok, starając się nie zamknąć oczu, bo gdy tylko opadną gliniane powieki, powraca widok tańczącego ognia i dziwnego domu, żywego i zarazem martwego. Chata zdaje się pulsować światłem, poruszać. Jakby coś próbowało się z niej wydostać. Jednak więzienie jest mocne – jego ścian nie da się sforsować, jego wrót nie sposób wyważyć.

Gdy tylko kładę się do łóżka, nadpływa zmęczenie. Na przemian więc drepczę z jednego kąta w drugi, siadam do fajki (tytoń – jeżeli to jeszcze jest tytoń – nie ma bowiem żadnego smaku), obserwuję i nasłuchuję, czy gdzieś niedaleko ktoś się nie przechadza.

Odkąd tu jestem, spotkałem jeszcze tylko jedną osobę – glinianego truposza bez oczu, w pikielhaubie. Powiedział, że wszystko spełniło się, tak jak tego oczekiwał. Odchodząc, dodał jeszcze, że każdy z nas jest z tej samej gliny.

Na glinianym stole leżą gliniane karty. Nie patrzę na nie. Zatapiam się w myślach – nic innego nie pozostało. Chwytam się nadziei, że może jeszcze zdołamy zmasać nasze winy. Po coś w końcu musimy tu być... Dopóki nie znajdę Sylvie, będę żył (żył?) nadzieją. Bo Sylvie tu nie ma. Wierzę, że jej nie ma.

Na glinianym stole leżą gliniane karty.
Tarot wreszcie jest jasny i prawdziwy, prawdziwy jak nigdy wcześniej.
Wszystkie karty są takie same.
Zwiastują nadzieję.
Nadzieję?

2006–2012

Guernsey–Ostrołęka–Olsztyn

Seria wydawnicza:



—

Patroni medialni:





Książka przygotowana dla zamówienia numer 1952 w
sklep.powergraph.pl